



OSCAR WILDE

**Portret Doriana
Graya**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

OSCAR WILDE

Portret Doriana Graya

TLUM. KAZIMIERZ CZACHOWSKI

PRZEDMOWA

Artysta jest twórcą rzeczywistego piękna.

Celem jego jest utaić siebie, objawiając sztukę.

Kto własne wrażenia z dzieła sztuki umie wyrazić w odrębny sposób albo przekształcić na nowy środek artystycznego wzruszenia, ten jest krytykiem.

Najwyższą i zarazem najniższą formą krytyki jest autobiografia.

Trzeba być zepsutym i bez wdzięku, aby w pięknie dopatrywać się myśli brzydkich. Jest to grzech.

Człowiek kulturalny w rzeczach pięknych widzi myśli piękne. Przyszłość jest jego.

Tylko ci są wybrani, dla kogo w rzeczach pięknych nic nie ma poza Pięknem.

Książka nie może być moralna lub niemoralna. Jest tylko dobrze albo źle napisana.

Nic więcej.

Niechęć wieku dziewiętnastego do Realizmu jest wściekłością Kalibana¹ oglądającego w zwierciadle własną twarz.

Niechęć wieku dziewiętnastego do Romantyzmu jest wściekłością Kalibana, gdy w zwierciadle nie widzi własnej twarzy.

Życie moralne człowieka stanowi dla artysty część podmiotowego materiału twórczego, lecz moralność sztuki polega na doskonałym użyciu niedoskonałego środka.

Artysta nie stara się niczego udowodnić. Każda rzecz prawdziwa może być dowiedziona.

Żaden artysta nie kieruje się upodobaniami etycznymi. Upodobania etyczne u artysty są niewybaczalnym zniekształceniem stylu.

Żaden artysta nigdy nie jest chorobliwy. Artysta ma prawo wyrażać wszystko.

Myśl i język są dla artysty narzędziami sztuki.

Występek i cnota są dla artysty tworzywem sztuki.

Ze stanowiska formy wzorem wszystkich sztuk jest muzyka. Ze stanowiska wrażenia wzorem jest sztuka aktorska.

Wszelka sztuka jest zarazem kształtem i symbolem.

Na własną odpowiedzialność wnika się poza kształt.

Na własną odpowiedzialność odczytuje się symbol.

Sztuka odzwierciedla widza, a nie życie.

Różnorodność zdań o dziele sztuki świadczy, że jest nowe, złożone i żywotne.

Jeżeli krytycy spierają się o artystę, to znaczy, że jest on ze sobą w zgodzie.

Możemy przebaczyć człowiekowi dzieło użyteczne, dopóki nie zachwyca się nim. Jedynym usprawiedliwieniem dzieł nieużytecznych jest wywołana nimi potęga zachwytu.

Sztuka jest beżużyteczna.

Oscar Wilde

ROZDZIAŁ I

Pracownia była przesycona zapachem róż, skoro zaś wietrzyk letni poruszył drzewami

Artysta

Piękno

Piękno

Książka

Artysta

Artysta

Artysta, Sztuka

Artysta, Sztuka

Muzyka, Sztuka, Teatr

Sztuka

Sztuka

Zapach

¹Kaliban — postać z *Burzy* Szekspira, dziki, zdeformowany syn wiedźmy. [przypis edytorski]

w ogrodzie, przez otwarte drzwi wnikała ociążała woń bzu lub wątlej pachniał głóg.

W rogu perskiej sofy wyciągnął się wygodnie lord Henryk Wotton, pałac swym zwyczajem papierosa po papierosie. Mógł stamtąd patrzeć na słodkie jak miód, miodowej barwy kiście wielokwiatu, którego drżące gałązki z trudem zdawały się dźwigać ciężar tak płomiennego piękna. Od czasu do czasu po zawieszonych nad wielkim oknem jedwabnych firankach przesuwały się fantastyczne cienie przelatujących ptaków, wywołując na chwilę wrażenie japońskiego obrazu. Przypominało mu to owych malarzy tokijskich, o twarzach bladych i znużonych, którzy w sztuce z konieczności nieruchomej starali się oddać wrażenie szybkości i ruchu. Jednostajne brzęczenie pszczół, poszukujących drogi wśród źdźbeł wysokiej, nieprzyciętej trawy lub wytrwale kręcących się dokoła złocistych pyłków powoju, dotkliwie potęgowało panującą ciszę. Stłumiony pogwar Londynu wydawał się niby grzmiący ton dalekich organów.

Na pionowo ustawionych w środku pokoju sztalugach był umieszczony naturalnej wielkości portret młodego mężczyzny wyjątkowej urody. W niewielkiej odległości przed portretem siedział jego malarz, Bazyli Hallward, którego nagłe zniknięcie przed paru laty wywołało dużą wrzawę i dało sposobność do najrozmaitszych plotek.

W chwili gdy artysta przyglądał się wdzięcznej i czarującej twarzy, tak subtelnie odтворzonej w dziele sztuki, na jego obliczu ukazał się uśmiech zadowolenia i wydawało się, że będzie trwał dłużej. Nagle malarz zdrzął, przymknął oczy, powieki przycisnął palcami, jakby chciał zatrzymać w swym mózgu dziwne marzenie, obawiając się, iż mógłby je postradać.

— To twoje najlepsze dzieło, Bazyli, najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłeś — odezwał się lord Henryk znużonym głosem. — Na przyszły rok musisz posłać je na wystawę w Grosvenor². Akademia³ jest za wielka i za pospolita. Ile razy tam pójde, zastaję tylu ludzi, że nie mogę oglądać obrazów, co jest okropne, lub tyle obrazów, że nie widzę ludzi, co jeszcze bardziej odstrasza. Grosvenor jest istotnie jedyną wystawą.

— Wątpię, abym miał je gdziekolwiek wystawiać — odrzekł malarz, odrzucając w tył głowę tym swoim zwykłym ruchem, który był przedmiotem drwin kolegów w Oxfordzie. — Nie, nie dam go nigdzie.

Lord Henryk podniósł oczy, ze zdziwieniem nań spoglądając poprzez błękitne kłęby dymu, unoszące się w fantastycznych zwojach z ciężkiego, opiumowanego papierosa.

— Nie pošlesz nigdzie? Dlaczegoż, mój drogi? Z jakiego powodu? Co za okazy z was, malarze! Robicie wszystko, aby zdobyć sławę, a skoro ją macie, zawadza wam. To niemał drze, bo gorsze od tego, że o was mówią, jest to, że o was nie mówią. Tym portretem możesz się wybić ponad wszystkich młodych malarzy, a starych przyprawić o zazdrość, jeżeli w ogóle zdolni są odczuwać cokolwiek.

— Wiem, że będziesz drwił ze mnie — odrzekł — ale ja go naprawdę nie mogę wystawić. Za wiele włożyłem weń samego siebie.

Lord Henryk, wyciągając się na sofie, roześmiał się.

— Za dużo siebie! Słowo daję, Bazyli, że nie podejrzewałem cię o tyle próżności; w istocie nie widzę żadnego podobieństwa między tobą, o rysach twarzy ostrych i surowych, o czuprynie czarnej jak węgiel, a tym młodzieńczym Adonisem⁴, wyglądającym jakby był zrobiony z kości słoniowej i z płatków róży. Ależ, drogi Bazyli, to jest Narcyz⁵, a ty — z twojej twarzy bije inteligencja i tak dalej, lecz piękno, prawdziwe piękno kończy się tam, gdzie zaczyna się wyraz myśli. Rozum jest sam w sobie pewnego rodzaju przesadą, psującą harmonię każdego oblicza. Gdy człowiek zabiera się do myślenia, zamienia się cały w nos, czoło lub w coś równie okropnego. Popatrz na ludzi cieszących się powodzeniem w jakimkolwiek uczonym zawodzie. Jak są doskonale brzydcy! Oczywiście, z wyjątkiem Kościoła. Ale ci z Kościoła nie myślą wcale. Każdy biskup w osiemdziesiątym roku życia powtarza to, czego nauczono go w osiemnastym, i tylko dlatego wygląda za-

²Grosvenor — galeria sztuki w Londynie, założona w 1877; odgrywała ważną rolę dla artystów nowego pokolenia, których prace nie odpowiadały oczekiwaniom konserwatywnej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

³Akademia — tu: Królewska Akademia Sztuk Pięknych (*Royal Academy of Arts*). [przypis edytorski]

⁴Adonis (mit. gr.) — piękny młodzieniec, ulubieniec bogini Afrodyty. [przypis edytorski]

⁵Narcyz (mit. gr.) — urodziwy młodzieniec, który wzgardził uczuciem nimfy Echo, za co bogini Afrodyta wzbudziła w nim miłość do jego własnego obrazu odbitego w wodzie. [przypis edytorski]

wsze czarująco. Twój tajemniczy młody przyjaciel, którego nazwiska nie wymieniłeś mi wprawdzie, ale którego portretem się zachwycam, nigdy nie myślał. Jestem tego pewny. Jakaś czarująco bezmyślna istota, mogąca w zimie zastąpić brak kwiatów, a w lecie orzeźwiać nasz umysł. Nie pochlebiaj sobie, Bazylu, wcale nie jesteś do niego podobny.

— Nie zrozumiałeś mnie, Henryku — odparł artysta. — Sam to wiem najlepiej, że nie jestem do niego podobny. Nie chciałbym zresztą być nim. Wzruszasz ramionami? Mówię prawdę. Na wszelkim wyróżnieniu fizycznym lub umysłowym ciąży jakiś fatalizm, który w dziejach idzie śladem chwiejnego kroku królów. Dobrze jest nie różnić się wcale od współczesnych. Dlatego brzydki i głupi są na świecie uprzywilejowani. Mogą żyć wedle woli albo przyglądać się zabawie. Jeśli nic nie wiedzą o zwyczajach, zaoszczędzono im też wrażenia kłęski. Żyją tak, jak pragnęlibyśmy żyć wszyscy: cicho, obojętnie i spokojnie. Nie przeszkadzają nikomu i nikt im nie przeszkadza. Ale ty, Henryku, z twoim tytułem i majątkiem, ja ze swoim umysłem, jaki by on nie był, i ze swoją sztuką, choćby najbardziej niedoskonałą, Dorian Gray ze swoją urodą, musimy cierpieć za udzielone nam dary bogów.

— Dorian Gray? Więc tak się nazywa? — zapytał lord Henryk, zbliżając się do Bazylego Hallwarda.

— Tak, to jego nazwisko. Nie chciałem ci go powiedzieć.

— Dlaczego?

— Ach, nie umiałbym tego wytłumaczyć. Kiedy kogoś bardzo kocham, nikomu nie wymieniam jego imienia. Wydaje mi się to zdradą względem niego. Nauczyłem się kochać tajemnicę. Jest to jedyne, co nasze nowoczesne życie czyni niezwykłym i cudownym. Najpospolitsza sprawa ludzka staje się wytworna, skoro ktoś ją przed nami ukryje. Gdy wyjeżdżam z miasta, nikomu nie mówię, dokąd jadę. Jeżeli powiem, tracę całą przyjemność. Może to niemądre, przyznaję, ale w ten sposób przywracam memu życiu romantyczność. Obawiam się, że weźmiesz mnie za kiepskiego wariata.

— Bynajmniej — odparł lord Henryk — bynajmniej, mój drogi Bazylu. Wydajesz się zapominać, że jestem żonaty i że jedynym urokiem małżeństwa jest wzajemne łudzenie się, niezbędnie konieczne dla obu stron. Ja nigdy nie wiem, gdzie przebywa moja żona, i ona nie wie, gdzie ja się udaję. Gdy się spotkamy, a zdarza się to niekiedy, że jesteśmy razem na jakimś obiedzie lub wspólnie wybieramy się do księcia, z najpoważniejszą miną opowiadamy sobie najniedorzeczniejsze historie. Pod tym względem żona przewyższa mnie znakomicie. Nigdy nie zabrnę w datach, gdy ja zawsze mam z nimi kłopot. Zdając sobie z tego sprawę, nie robi mi żadnych wyrzutów. Chciałbym nieraz usłyszeć je od niej, ale jej wystarcza, że wyśmieje się ze mnie.

— Nie znoszę, gdy w ten sposób wyrażasz się o swym małżeństwie — rzekł Bazylu Hallward, kierując się ku drzwiom wychodzącym na ogród. — Wydaje mi się, że w istocie jesteś bardzo dobrym mężem i tylko wstydzisz się swej cnoty. Dziwny z ciebie człowiek. Nigdy nie powiesz nic moralnego i nigdy nie zrobisz nic złego. Twój cynizm jest zwykłym udawaniem.

— Naturalność jest również udawaniem i to najbardziej drażniącym z tych, jakie znam — zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Wyszli obaj do ogrodu i usiedli na długiej ławce bambusowej, w cieniu krzewu wawrzynowego. Po lśniących liściach ślizgały się promienie słoneczne. Białe stokrocie drżały wśród traw.

Po chwili lord Henryk spojrział na zegarek.

— Muszę już iść, Bazylu — wyszeptał — zanim pójdę, chciałbym jednak usłyszeć odpowiedź na moje niedawne pytanie.

— Co za pytanie? — rzekł malarz, nie podnosząc oczu utkwionych w ziemi.

— Wiesz dobrze.

— Nie wiem, Henryku.

— Więc je powtórzę. Musisz mi wytłumaczyć, dlaczego nie chcesz wystawić portretu Dorian Graya. Chcę znać prawdziwą przyczynę.

— Powiedziałem ci całą prawdę.

— Wcale nie. Wskazałeś, że w portret zbyt wiele włożyłeś samego siebie. Nie, to byłoby dziecinne.

— Henryku — rzekł Bazylu Hallward, patrząc mu prosto w oczy — każdy portret

Uroda, Rozum

Tajemnica

Małżeństwo

Artysta, Portret

malowany z przejściem jest portretem artysty, nie modela. Model to tylko przypadek, okoliczność. Nie jego, ale samego siebie ujawnia malarz na płótnie. Przyczyną, dla której nie chcę wystawić obrazu, jest obawa odsłonięcia tajemnicy mej własnej duszy.

Lord Henryk roześmiał się.

— Jakież to? — zapytał.

— Powiem ci — powiedział Hallward, ale po jego twarzy przeszedł wyraz zmieszania.

— Z ciekawością słucham cię, Bazyli — podjął towarzysz, patrząc na niego.

— Ach, doprawdy niewiele tu do mówienia — odparł malarz — obawiam się, że trudno ci będzie mnie zrozumieć. Może nie uwierzysz nawet.

Lord Henryk uśmiechnął się. Schyliwszy się, zerwał z trawnika różową stokrotkę i zaczął ją oglądać.

— Jestem pewny, że zrozumieć — odparł, uporczywie wpatrując się w drobną, złotawą, pierzastą tarczę kwiatu — i wierzę we wszystko, co jest niewiarygodne.

Wiatr strząsnął z krzewu nieco kwiatów, a ciężkie pęki rozkwitłego bzu bujały się w parnym powietrzu. Gdzieś pod murem ćwierkał konik polny, a długa, cienka ważka o skrzydełkach z brązowej gazy mignęła w powietrzu niebieską nitką. Lord Henryk miał wrażenie, że słyszy bicie serca Bazylego Hallwarda, i zdumiony, czekał na ciąg dalszy.

— Historia jest zupełnie prosta — rzekł malarz po pewnym czasie. — Przed dwoma miesiącami byłem na przyjęciu u lady Brandon. Wiesz, że i my, biedni artyści, musimy niekiedy pokazać się w świecie, ażeby nie miano nas za dzikusów. Powiedziałeś raz, że we fraku i w białym krawacie nawet makler giełdowy może zdobyć opinię człowieka cywilizowanego. Zaledwie dziesięć minut przebywałem w tym salonie, rozmawiając z przesadnie wystrojonymi damami i nudnymi akademikami, gdy nagle uczulem, że ktoś na mnie patrzy. Odwróciłem się nieco i po raz pierwszy zobaczyłem Doriana Graya. Gdy spotkaliśmy się wzrokiem, poczułem, że błędę. Ogarnęło mnie dziwne przerażenie. Zrozumiałem, że stanąłem wobec człowieka, którego sama osobowość jest tak ujmująca, iż skoro poddałbym się jej, wchłonęłaby całą moją istotę, całą moją duszę, całą moją sztukę. W moim życiu staram się unikać wpływów zewnętrznych. Wiesz, Henryku, jak zawsze byłem niezależny. Byłem panem samego siebie, panowałem nad sobą, dopóki nie spotkałem Doriana Graya. Wtedy... ale nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Poczułem, że stanąłem wobec strasznego przełomu w moim życiu. Miałem dziwne przeświadczenie, że los przynosi mi wyjątkowe radości i wyjątkowe cierpienia. Przerażony, odwróciłem się, aby opuścić salon. Wyganiało mnie nie sumienie, lecz osobliwego rodzaju tchórzostwo. Nie będę upiększał, że po prostu chciałem uciec.

— Mój Bazyli, sumienie i tchórzliwość są w istocie tym samym. Sumienie jest nazwą firmy. Oto wszystko.

— Nie wierzę w to, Henryku, i nie wierzę, żebyś ty tak wierzył. Jakikolwiek był jednak powód — może była nim duma, bo istotnie jestem bardzo dumny — dość że kierowałem się ku drzwiom. Na drodze natknąłem się na lady Brandon. „Chyba pan nie odejdzie tak wcześnie, panie Hallward?“, wykrzyknęła. Znasz jej szczególnie ostry dźwięk głosu?

— Tak, we wszystkim, prócz piękności, jest ona pawiem — powiedział lord Henryk, oskubując stokrotkę swymi długimi, nerwowymi palcami.

— Nie mogłem się jej wykręcić. Zaprowadziła mnie do królewskich wysokości i ludzi w orderach i gwiazdach, do starszych dam w olbrzymich tiarach i o papuzich nosach. Mówiła o mnie jako o najlepszym z przyjaciół. Przedtem widziałem ją raz w życiu, zawzięła się jednak, aby zrobić mnie lwem towarzystwa. Zdaje się, że właśnie któryś z moich obrazów cieszył się dużym powodzeniem, przynajmniej pisano o nim w prasie dwugroszowej, co w wieku dziewiętnastym jest sztandarem nieśmiertelności. Nagle znalazłem się oko w oko z młodym mężczyzną, którego postać tak dziwnie mnie zajęła. Staliśmy koło siebie i niemal dotykaliśmy się. Znowu spotkaliśmy się wzrokiem. Wbrew woli poprosiłem lady Brandon, ażeby mnie jemu przedstawiła. Nie było to może nawet nierozważne, bo nieuniknione. Bylibyśmy mówili ze sobą nawet nieprzedstawieni. Jestem tego pewny. Dorian Gray powiedział mi później to samo; również czuł konieczność poznania się ze mną.

— Jakże lady Brandon określiła owego cudownego młodzieńca? — spytał towarzysz. — Wiem, że o wszystkich swych gościach zwykła jest urabiać zwięzłe powiedzenia. Przy-

pominam sobie, jak przedstawiając mnie pewnemu jegomościowi, dosłownie pokrytemu orderami i wstęgami, tragicznym szeptem, który wszyscy w pokoju doskonale słyszeli, trąbiła mi w ucho najdziwniejsze o nim szczegóły. Po prostu uciekłem. Lubię mieć własny sąd o ludziach. Ale lady Brandon postępuje ze swymi gośćmi jak akcjonariusz ze swym towarem. Albo zupełnie ich pomija, albo opowiada o nich wszystko prócz tego, co byłoby naprawdę ciekawe.

— Biedna lady Brandon! Ostro ją sądzisz, Henryku! — rzekł Hallward niedbale.

— Mój drogi, chciała mieć salon, a udało się jej otworzyć tylko restaurację. Za cóż miałbym się nią zachwycać? Powiedz mi jednak, co powiedziała o panu Dorianie Grayu?

— Ach, coś w tym rodzaju: „Śliczny chłopiec, jego biedna matka była moją nierozłączną przyjaciółką. Zupełnie zapomniałam, czym on się zajmuje, chyba niczym... ach, tak, grą na fortepianie, jeżeli nie na skrzypcach, kochany panie Gray?”. Nie mogliśmy powstrzymać się od śmiechu i od razu zostaliśmy przyjaciółmi.

— Śmiech to wcale niezły początek przyjaźni i najczęściej bywa też najlepszym jej zakończeniem — rzekł młody lord, zrywając znowu stokrotkę.

Hallward wstrząsnął głową.

— Ty nie rozumiesz, Henryku — wyszeptał — co to jest przyjaźń albo nieprzyjaźń. Ty lubisz wszystkich, lub, jeśli wolisz, dla każdego jesteś obojętny.

— Jakże okropnie niesprawiedliwy jesteś! — zawołał lord Henryk, zsuwając kapełusz na tył głowy i patrząc w górę na obłoki, płynące po głęboko turkusowym błękitnie letniego nieba niby lśniące płatki białego jedwabiu. — Tak, okropnie niesprawiedliwy. Robię między ludźmi wielkie różnice. Przyjaciół wybieram sobie dla ich dobrego wyglądu, znajomych dla ich dobrego charakteru, a nieprzyjaciół dla ich bystrego umysłu. Człowiek nigdy nie może być dość oględny przy wyborze swych wrogów. Nie mam ani jednego, który by był głupcem. Owszem, są to wszystko ludzie o wybitnie mocnej inteligencji, więc też umieją ocenić mnie. Czy świadczy to o mej próżności? Zdaje się, że jestem próżny.

— Myślę, że tak jest naprawdę. Ale stosując się do twojej metody doboru, winienem uważać się tylko za zwykłego znajomego.

— Mój drogi, stary Bazyli, jesteś dla mnie więcej niż znajomym.

— A mniej niż przyjacielem, czymś, jak mniemam, w rodzaju brata?

— Ach, bracia! Za nic mam braci. Mój starszy brat nie myśli umierać, a młodsi, zdaje się, nie robią nic innego.

— Henryku! — wykrzyknął Hallward, marszcząc brwi.

— Mój drogi towarzyszu, nie mówię tego zupełnie poważnie. Ale nie mogę się powstrzymać od nienawiści do mych krewnych. Pochodzi to zapewne stąd, że nikt z nas nie znosi widoku osób mających te same wady. Razem z demokracją angielską podzielałam nienawiść do tego wszystkiego, co nazywają występkami wyższych sfer. Tłum rozumie doskonale, że pijaństwo, głupota i rozpusta są jego własnością, więc jeśli ktoś z nas, robiąc z siebie osła, przywłaszczy sobie jedną z tych przywar, wygląda jak kłusownik polujący na cudzym polu. Gdy ów biedny Southwark stanął przed sądem rozwodowym, wspaniałe było oburzenie tłumu. Jestem zaś przeświadczony, że dziesięć procent proletariatu nie prowadzi się naleźycie.

— Nie zgadzam się z tobą nawet w jednym słowie, Henryku, czuję przy tym na pewno, że ty się nie zgadzasz z tym, co mówisz.

Lord Henryk gładził swą ciemną, długą, spiczasto przystrzyżoną brodę i hebanową laską uderzał w swój but z wyborowej skóry.

— Jaki z ciebie Anglik, Bazyli! Po raz wtóry już robisz mi tę uwagę. Jeżeli ktoś prawdziwemu Anglikowi powie swoją myśl, co zawsze jest rzeczą bardzo śmiałą, on nigdy nie patrzy na to, czy sama przez się jest dobra albo zła. Obchodzi go bardziej to, w co ktoś wierzy albo nie wierzy. Tymczasem wartość myśli jest zupełnie niezależna od wygłaszającego ją człowieka. Jest całkiem prawdopodobne, że wartość myśli jest tym większa, im człowiek jest mniej szczery, tym bardziej bowiem będzie zabarwiona jego potrzebami, pragnieniami lub przesadami. Nie chcę jednak rozprawiać z tobą o polityce, socjologii lub metafizyce. Bardziej niż zasady podobają mi się ludzie, a ludzie bez zasad bardziej

Wróg

Tłum

od wszystkich innych. Opowiedz mi lepiej coś o panu Dorianie Grayu. Czy często go widzisz?

— Codziennie. Inaczej nie czułbym się szczęśliwy. Jest mi niezbędnie potrzebny.

— To nadzwyczajne! Myślałem, że poza sztuką nic cię już nie będzie obchodzić.

— On jest teraz całą moją sztuką — odparł malarz poważnie. — Przychodzi mi niekiedy na myśl, że w dziejach świata są tylko dwie epoki o pewnej doniosłości. Pierwszą jest zdobycie dla sztuki nowego środka, drugą zjawienie się nowej osobowości twórczej. Tym, czym dla Wenecjan był wynalazek malarstwa olejnego, czym oblicze Antinusa⁶ dla dawnej sztuki greckiej, tym stanie się kiedyś dla mnie Dorian Gray. Nie tylko dlatego, że maluję według niego, według niego rysuję i szkicuję, bo robiłem to już przedtem, ale poza tym jest on dla mnie czymś więcej niż modelem lub wzorem. Nie mówię, żebym nie był zadowolony z tego, com z niego utworzył, albo że jego piękna nie można oddać w sztuce. Na świecie nie ma nic, czego by nie można wyrazić w sztuce, i wiem dobrze, że dzieło, które namalowałem po spotkaniu z Dorianem Grayem, jest pięknym, najlepszym dziełem mego życia. Ale jakimś dziwnym, niepojętym sposobem — będę zdumiony, jeśli zdołasz mnie zrozumieć — jego osobowość natchnęła mnie zupełnie nowym rodzajem sztuki, zupełnie nowym stylem. Odmiennie widzę rzeczy, odmiennie o nich myślę. Mogę teraz tworzyć na drodze poprzednio przede mną zamkniętej. „Kształt wymarzony w godzinach myśli”, kto to powiedział, nie pamiętam, lecz tym właśnie stał się dla mnie Dorian Gray. Jedynie widoma obecność tego młodzianka, gdyż jest on dla mnie młodziankiem, choć ma lat przeszło dwadzieścia, jedynie widoma jego obecność! Ach, zdumiewałoby mnie, jeślibyś uświadamiał sobie, co to wszystko znaczy. Bezwiednie odsłonił on przede mną linie świeżej szkoły, szkoły łączącej namiętność ducha romantyzmu z doskonałością ducha greckiego. Harmonia duszy i ciała — jakże wiele! W naszym zaślepieniu oddzieliłoby oboje, aby wynaleźć prostacki realizm i pusty idealizm. Henryku! Gdybyś tylko wiedział, czym jest dla mnie Dorian Gray! Pamiętasz mój krajobraz, za który Agnew dawał mi tak wysoką cenę, ale z którym nie chciałem się rozstać? To jeden z mych najlepszych obrazów, a dlaczego? Bo gdy go malowałem, Dorian Gray siedział przy mnie. W jego obecności działał na mnie jakiś subtelny wpływ i po raz pierwszy w życiu w zwykłym krajobrazie leśnym uchwyciłem ten czar, którego poszukiwałem od dawna i zawsze na próżno.

— To nadzwyczajne, Bazyli! Muszę zobaczyć Doriana Graya.

Hallward powstał z ławki i począł chodzić po ogrodzie. Po chwili wrócił.

— Henryku — powiedział — Dorian Gray jest tylko dla mnie wątkiem artystycznym. Ty nie dojrzyś w nim nic, ja widzę w nim wszystko. W moim dziele nigdy nie jest bardziej obecny niż wtedy, kiedy jego obrazu tam nie ma. Jak powiedziałem, jest on natchnieniem nowego stylu. Odnajduję go w załamaniach niektórych linii, we wdzięku i subtelności niektórych barw. Oto wszystko.

— Dlaczegoż więc nie chcesz wystawić jego portretu? — zapytał lord Henryk.

— Gdyż mimo woli włożyłem wenię wyraz tego całego ubóstwienia artystycznego, o jakim zresztą Dorianowi nigdy nie wspominałem. On o tym nic nie wie. Nigdy nie będzie wiedział. Ale ludzie mogliby odgadnąć, a przed przyziemnymi spojrzeniami ciekawych nie chcę odsłaniać swej duszy. Serca mego nigdy nie oddam pod ich mikroskop. W obrazie tym, Henryku, jest za wiele mnie samego, za wiele!

— Poeci nie mają tytułu zastrzeżeń, gdyż wiedzą, ile namiętność artysty sprzyja rozpowszechnieniu jego dzieł. W dzisiejszych czasach złamane serce osiąga wiele wydań.

— Nienawidzę ich za to — zawołał Hallward. — Artysta winien tworzyć dzieła piękne, ale w nie nie wkładać nic z własnego życia. Żyjemy w wieku, w którym uważa się sztukę tylko za rodzaj autobiografii. Zatraciliśmy zmysł piękna abstrakcyjnego. Pewnego dnia ukazę światu, czym ono jest, i dlatego świat nigdy nie zobaczy mego portretu Doriana Graya.

— Zdaje mi się, Bazyli, że nie masz racji, ale nie będę się z tobą sprzeczał. Tylko umysłowi bankruci prowadzą spory. Powiedz mi, czy Dorian Gray kocha cię bardzo?

Malarz namyślał się przez chwilę.

Historia, Sztuka

Artysta, Piękno

⁶Antinous (111–130) — grecki młodzieniec, oficjalny kochanek cesarza Hadriana; kiedy utonął w Nilu, na rozkaz Hadriana powstało wiele rzeźb i portretów przedstawiających Antinosa jako ideał młodzieńczej piękności. [przypis edytorski]

— Lubi mnie — odparł po przerwie — wiem, że mnie lubi. Zresztą bardzo mu schlebiam. Uczuwać dziwną przyjemność, mówiąc mu rzeczy, których mówić mu nie powinienem. Zazwyczaj jest dla mnie bardzo miły, całe dni spędzamy w pracowni na rozmowach o tysiącnych rzeczach. Niekiedy bywa mocno roztargniony, i zdaje się, że sprawia mu wówczas przyjemność, jeśli mi czymś dokuczy. Wówczas czuję, Henryku, że całą swą duszę oddałem człowiekowi obchodzącym się z nią jak z kwiatem do butonierki, ze schlebiającym jego próżności skrawkiem odznaki lub jak z ozdobą na jeden dzień letni.

— Letnie dni, Bazyli, są długie — szepnął lord Henryk. — Może prędzej sprzykrzy się on tobie, niż ty jemu. Jest to smutne, ale geniusz bez wątpienia trwa dłużej niż piękno. Tłumaczy to, czemu zadajemy sobie tyle trudu, aby zdobyć sobie wyższą kulturę. W dziekiej walce o byt potrzeba nam czegoś, co trwa, i dlatego w karłej nadziei zachowania światowego stanowiska zawalamy nasz umysł rumowiskiem faktów. Idealem nowoczesnym jest człowiek wykształcony wszechstronnie. Umysł takiego człowieka jest czymś przerażającym, wygląda niczym tandetny stragan, pełen dziwactw i kurzu, gdzie wszystko ocenia się powyżej wartości. Sądzę, że właśnie ciebie znudzi on pierwej. Pewnego dnia spojrzysz na swego przyjaciela, aby dostrzec, że jest przerysowany albo przejaskrawiony w kolorze, lub coś podobnego. W duszy będziesz wymawiał mu to z goryczą, z tym przeświadczeniem, że wyrządził ci krzywdę. Gdy opanujesz się znowu, będziesz dlań zimny i obojętny. Będzie to smutne, gdyż zmieni ciebie. Opowiadałeś mi cały romans, nazwałbym go romansem sztuki, a najgorszą stroną każdego romansu jest to, że robi ludzi tak bardzo nieromantycznymi.

— Nie mów tak, Henryku. Póki będę żył, będę pod wpływem osoby Doriana Graya. Nie możesz czuć tego, co ja. Jesteś zbyt zmienny.

— Ach, mój drogi Bazyli, właśnie dlatego odczuć to mogę tak dobrze. Wierni znają tylko powszednią stronę miłości, niewierni znają jej tragedie.

Lord Henryk, potarłszy zapalną o misterne srebrne pudełko, zapalił papierosa z wyrazem tak pewnym i zadowolonym, jak gdyby jednym zdaniem udało mu się określić cały świat.

Na ciemną zielen bluszczu opadła wrzaskliwa ciżba wróbli, a błękitne cienie obłoków przemykały się po trawniku jak jaskółki. Pięknie było w tym ogrodzie! Wrażenia innych ludzi wydawały się lordowi czarujące, bardziej czarujące od ich myśli. Godne uwagi w życiu były dlań własna dusza i uczucia jego przyjaciół. Z cichym zadowoleniem wyobrażał sobie nudne śniadanie, które opuścił z powodu tak długiej bytności u Bazylego Hallwarda. Gdyby był poszedł do ciotki, na pewno spotkałby u niej lorda Goodberry, rozmowa toczyłaby się około wspomaganiania ubogich i konieczności zakładania wzorowych przytułków. Słyszałby, jak ludzie głoszą ważność cnót, do których uprawiania nie mieli w swym życiu sposobności. Bogaci mówiliby o znaczeniu oszczędności, wymowni próżniacy o dostojności pracy. Cudownie, że ominął to wszystko! Wspomnienie ciotki nasunęło mu pewną myśl. Zwrócił się do Hallwarda, mówiąc:

— Mój drogi towarzyszu, teraz sobie przypominam.

— Co przypominasz sobie, Henryku?

— Przypominam sobie, gdzie usłyszałem nazwisko Doriana Graya.

— Gdzież to? — spytał Hallward, lekko marszcząc brwi.

— Nie patrz tak srogo, Bazyli. Było to u mej ciotki, lady Agaty. Opowiadała mi, że poznała uroczego młodego mężczyznę, który będzie jej pomagał w East End⁸ i nazywa się Dorian Gray. Mogę cię upewnić, że nic nie wspominała o jego urodzie. Kobiety, przynajmniej kobiety dobre, nie znają się na urodzie. Mówiła, że jest bardzo poważny i ma piękny charakter. Wyobraziłem go sobie jako chuderławego osobnika w okularach, o rzadkich włosach, bardzo piegowatego i z dużymi nogami. Szkoda, iż nie wiedziałem, że to jest twój przyjaciel.

— Rad jestem, Henryku, żeś o tym nie wiedział.

— Dlaczego?

— Nie chcę, abys się z nim spotykał.

— Nie chcesz, żebym spotykał się z nim?

⁷Gdyby był poszedł — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość. [przypis edytorski]

⁸East End — obojętne dzielnice Londynu położone we wschodniej części miasta. [przypis edytorski]

— Nie.

— Proszę pana, pan Dorian Gray jest w pracowni — oznajmił służący, wchodząc do ogrodu.

— Teraz będziesz musiał mi go przedstawić — zawołał lord Henryk, śmiejąc się.

Malarz zwrócił się do służącego, który stojąc w słońcu, mrużył oczy:

— Poproś, Parkerze, pana Graya, aby zaczekał na mnie. Przyjdę tam za chwilę.

Służący, skłoniwszy się, odszedł.

Hallward spojrział na lorda Henryka.

— Dorian Gray jest mym najdroższym przyjacielem — powiedział. — To natura prosta i piękna. Ciotka twoja określiła go zupełnie trafnie. Nie psuj go. Nie staraj się wpływać na niego. Twój wpływ byłby dlań zgubny. Świat jest wielki i nie brak ludzi ciekawych. Nie zabieraj mi jedyne go człowieka nadającego mej sztuce cały jej czar; me życie jako artysty zależy od niego. Pamiętaj, Henryku, że polegam na tobie.

Mówił bardzo powoli i zdawało się, że słowa wymykały mu się z ust wbrew jego woli.

— Co za głupstwa pleciesz! — z uśmiechem rzekł lord Henryk i biorąc Hallwarda pod rękę, niejako siłą wprowadził go do domu.

ROZDZIAŁ II

Wchodząc, spostrzegli Doriana Graya, siedzącego tyłem do nich za pianinem i przewracającego karty *Scen leśnych*⁹ Schumanna.

— Musisz mi to pożyczyć, Bazyli — zawołał. — Muszę się tego nauczyć. Jest wprost czarujące.

— To zależy od tego, jak mi będziesz dziś pozował, Dorianie.

— Ach, dość już mam pozowania i nie zależy mi na portrecie wielkości naturalnej — odparł młodzieniec z przekorą, kręcąc się na taborecie. Na widok lorda Henryka przelotnie zarumienił się i zerwał. — Przepraszam cię, Bazyli, ale nie wiedziałem, że nie jesteś sam.

— Oto, Dorianie, lord Henryk Wotton, stary mój przyjaciel z Oxfordu. Opowiadałem mu właśnie, jaki doskonały z ciebie model, a ty wszystko popsuleś.

— Nie popsuł mi pan przyjemności poznania pana, panie Gray — powiedział lord Henryk, przystępując doń i podając mu rękę. — Ciotka moja często opowiadała mi o panu. Jest pan jednym z jej ulubieńców i, obawiam się, że również jedną z jej ofiar.

— Obecnie lady Agata patrzy na mnie krzywo — odparł Dorian z zabawnym wyrazem skruchy. — Przyrzekłem w zeszły wtorek towarzyszyć jej do jakiegoś klubu w Whitechapel i zapomniałem o tym zupełnie. Mieliśmy tam grać razem duet, czy raczej trzy duety. Nie mam wprost odwagi pójść teraz do niej.

— Ach, pogodzę pana z moją ciotką. Jest dla pana bardzo życzliwa i nie sądzę, aby to zapomnienie panu zaszkodziło. Słuchacze i tak zapewne myśleli, że był to duet, gdyż ciotka Agata sama jedna wali w fortepian za dwoje.

— Jest to złośliwe w stosunku do niej, a i dla mnie niezbyt pochlebne — odparł Dorian, śmiejąc się.

Lord Henryk patrzył na niego. Tak, w istocie był cudownie piękny ze swymi cienko zarysowanymi purpurowymi ustami, z pogodnymi, błękitnymi oczami, z falistymi, złotymi włosami. Twarz jego od razu wzbudzała zaufanie. Malowała się na niej szczerokość młodości i niepokalana czystość. Czuć było, że świat go jeszcze nie zepsuł. Nic dziwnego, że Bazyli Hallward uwielbiał go.

— Ma pan doprawdy zbyt wiele wdzięku, aby robić filantropię, panie Gray, zbyt wiele wdzięku.

I lord Henryk spoczął na kanapie, otwierając papierośnicę.

Malarz zajęty był tymczasem mieszaniem farb i porządkowaniem pędzli. Wyglądał, jakby był niezadowolony, a po ostatniej uwadze lorda Henryka, spojrział na niego i po chwili wahania rzekł:

— Henryku, chciałbym dziś skończyć obraz. Czy bardzo będziesz się gniewał, jeżeli poproszę cię, abys sobie poszedł?

⁹*Sceny leśne* (niem.: *Waldszenen*) — cykl miniatur muzycznych na fortepian, skomponowany w l. 1848–49 przez niem. kompozytora i pianistę Roberta Schumanna. [przypis edytorski]

Lord Henryk uśmiechnął się i spojrzał na Doriana Graya.

— Czy mam odejść? — zapytał.

— Och nie, proszę pana, lordzie Henryku. Widzę, że Bazyli jest znowu w złym humorze. Nie znoszę go, kiedy marudzi. Przede wszystkim, chciałbym zapytać pana, dlaczego nie powinienem zajmować się filantropią.

— Nie sądzę, panie Gray, abym miał tak panu powiedzieć. Jest to nudny przedmiot, o którym należałoby mówić poważnie. Ale chyba nie odejdę, skoro pan mnie zaprasza, abym pozostał. Jest to ci chyba wszystko jedno, Bazyli? Nieraz wspominałeś mi, że lubisz, gdy twój model ma z kim rozmawiać.

Hallward zagryzł wargi.

— Skoro Dorian sobie tego życzy, oczywiście musisz zostać. Kaprysy Doriana są prawem dla każdego, oprócz dla niego.

Lord Henryk wziął kapelusz i rękawiczki.

— Bardzo jesteś uprzejmy, Bazyli, ale muszę odejść. Przyszedłem spotkać się z kimś u Orleanów¹⁰. Do widzenia, panie Gray. Niech pan odwiedzi mnie kiedy na Curzon Street. Prawie zawsze jestem w domu o piątej. Niech pan napisze mi, kiedy pan przyjdzie. Byłbym niezadowolony, gdyby pan mnie nie zastał.

— Bazyli — zawołał Dorian Gray — jeśli lord Henryk Wotton pójdzie, to i ja odejdę. Kiedy malujesz, nigdy ust nie otworzysz, a to strasznie nudno stać na podium i robić do tego przyjemny wyraz twarzy. Poproś pana, aby pozostał. Nalegam na to.

— Zostań Henryku, aby zobowiązać Dorian, a zobowiążesz mnie — powiedział Hallward, wpatrzony całkowicie w swój obraz. — To prawda, że nigdy nic nie mówię, kiedy pracuję, i nigdy nie słucham, gdy mówią do mnie, co musi być strasznie nudne dla moich nieszczęsnych modeli. Zostań, proszę cię.

— Ale co będzie z tym znajomym u Orleanów?

Malarz roześmiał się.

— Nie sądzę, aby miało to być przeszkodą. Siadaj, Henryku. A teraz, Dorianie, wejdź na podium, nie ruszaj się zanadto i nie zwracaj zbyt wielkiej uwagi na to, co mówi lord Henryk. Ma bardzo zły wpływ na wszystkich swych przyjaciół, z wyjątkiem mnie jednego.

Dorian Gray wstąpił na podium z wyrazem młodego męczennika greckiego, rzucając porozumiewawczy gest lekkiego niezadowolenia w kierunku lorda Henryka, którego już zdążył polubić. Taki był niepodobny do Bazylego. Oni obaj stanowili krańcowe przeciwieństwo. I miał tak piękny głos. Po paru chwilach zwrócił się do niego:

— Czy pan naprawdę wywiera tak zły wpływ, lordzie Henryku? Tak zły, jak o tym mówił Bazyli?

— Nie ma, panie Gray, czegoś, co można by nazwać dobrym wpływem. Każdy wpływ jest niemoralny, niemoralny ze stanowiska naukowego.

— Dlaczego?

— Wpływać na kogoś, jest to oddawać mu swą duszę. On już nie może myśleć swym własnym umysłem ani kierować się swym własnym uczuciem. Jego cnoty nie należą już do niego. Nawet jego grzechy, jeśli grzechy w ogóle istnieją, są pożyczane. Staje się echem czyjejś obcej muzyki, aktorem w roli nie dla niego pisanej. Celem życia jest rozwój siebie samego. Naszym zadaniem jest doskonałość wyrażenia własnej istoty. Obecnie ludzie obawiają się samych siebie. Zapominają o najwyższym ze wszystkich obowiązków, o obowiązku względem siebie samego. Są istotnie miłośni. Karmią głodnych i odziewają nagich. Ale ich własna dusza cierpi głód i marznie. Rasa nasza pozbyła się odwagi. Może naprawdę nie posiadaliśmy jej nigdy. Przemoc społeczeństwa, będącego podstawą moralności, przemoc Boga, będącego tajemnicą religii — oto rządzące nami czynniki. A jednak...

— Odwróć głowę nieco na prawo, Dorianie, jak dobry chłopiec — wtrącił malarz, pogrążony w swej pracy, zdoławszy zauważyć tylko, że twarz Dorian, przybrała nieznaną mu przedtem wyraz.

— A jednak — mówił dalej lord Henryk cichym, dźwięcznym głosem, podkreślając słowa tym wytwornym ruchem ręki, z dawna mu właściwym jeszcze od czasów szkoły

¹⁰u Orleanów — w londyńskim Orleans Club, klubie zrzeszającym graczy w krykieta, istniejącym w l. 1878–1888. [przypis edytorski]

w Eton¹¹ — sędzę, że gdyby człowiek zdobył się, aby wyżyć się w pełni do dna, zechciał dać kształt każdemu uczuciu, wyraz każdej myśli, rzeczywistość każdemu marzeniu — sędzę, że świat doznałby takiego napływu świeżej radości, iż zapomnielibyśmy o wszystkich chorobach średniowiecza i powrócilibyśmy do ideału helleńskiego, być może nawet do czegoś piękniejszego i bogatszego od ideału helleńskiego. Ale najodważniejszy wśród nas lęka się samego siebie. Samookaleczanie się dzikiego człowieka jest tragicznym przeżytkiem w samozaprzeczeniu zabagniającym nasze życie. Jesteśmy karani za naszą wstrzemięźliwość. Każde dążenie, które staramy się unicestwić, trawi naszego ducha i zatruiwa nas. Najpierw grzeszy ciało i zadowala się swym grzechem, bowiem czyn jest pewnego rodzaju oczyszczeniem. Pozostaje tylko wspomnienie rozkoszy lub rozpustny żal. Jedy- nym sposobem zwalczania pokusy jest poddanie się jej. Gdy się opieramy, dusza nasza chorobliwie pożąda tego, czego jej odmówiono, potęgując swą żądzę pragnieniem tego, co potworne prawa uczyniły potwornym i bezprawnym. Powiedziano, że największe zdarzenia świata dokonywują się w mózgu. W mózgu też, i jedynie w mózgu spełnia- ją się największe grzechy świata. Pan, panie Gray, z pańską różano-czerwoną młodością i z różano-białą chłopięcością, miewałeś uczucia, które cię napawały lękiem, myśli, które cię napełniały przerażeniem, marzenia na jawie i marzenia senne, na których samo wspomnienie twarz twoja oblewała się rumieńcem...

— Dość! — jęknął Dorian Gray. — Dość! Przeraża mnie pan. Nie wiem, co po- wiedzieć. Miałbym czym zaprzeczyć panu, ale nie umiem znaleźć. Niech pan nie mówi. Niech pan pozwoli mi się zastanowić. Albo raczej, niech pan pozwoli, abym przestał myśleć.

Blisko dziesięć minut stał bez ruchu, z otwartymi ustami, z dziwnie rozszerzonymi źrenicami. Niewyraźnie uświadamiał sobie, że jest pod wpływem działania zupełnie nowych sił, ale wydawało mu się zarazem, iż wypływają z niego samego. Kilka zdań wypowiedzianych przez przyjaciela Bazylego, zapewne przypadkowych, a bez wątpienia celowo paradoksalnych, poruszyło w nim jakąś tajemniczą, nigdy jeszcze niepotrąconą strunę, która jednak rozedrgała teraz i rozkołysała się ciekawymi falami.

Podobnie oddziaływała nań muzyka. Niepokoiła go niekiedy, ale nie przemawiała doń słowami. Nie był to nowy świat, lecz raczej przez nią stwarzany w nas chaos. Słowa! Tylko słowa! Jakież przerażające! Jakież jasne, oczywiste i okrutne! Nikt im nie ujdzie. A jednak, jaki w nich magiczny czar! Zdają się tworzyć plastyczny kształt dla rzeczy bezkształtnych, posiadać swój własny rytm, równy dźwiękiem skrzypcom lub lutni. Tylko słowa! Jestże cokolwiek równie rzeczywistego jak słowa?

Tak, w dzieciństwie jego bywały zdarzenia, których nie rozumiał. Rozumie je teraz. Życie nabrało dlań nagle płomiennych barw. Wydawało mu się, że kroczył był w ogniu. Dlaczego nie wiedział o tym?

Lord Henryk czuwał nad nim ze swym spokojnym uśmiechem. Rozumiał psychologiczny moment milczenia. Poczul się głęboko zaciekawionym. Zdumiewał się nagłością wrażenia, wywołanego jego słowami, a przypominając sobie książkę czytana w szesnastym roku życia, która odkryła mu nieprzeczuwane przedtem rzeczy, zachwycał się, że Dorian Gray doznaje podobnego doznania. Strzałę swoją wypuścił wprost w powietrze. Czyżby trafiła? Jaki czarujący jest ten młodzieniec!

Hallward wciąż malował w swój cudownie śmiały sposób, pełen prawdziwej wytwor- ności i doskonałej szlachetności, co w sztuce jest, bądź co bądź, oznaką wypływającą z siły. Nie zauważył milczenia.

— Bazyli, jestem znudzony pozowaniem — zawołał Dorian Gray. — Muszę odejść i spocząć w ogrodzie. Tu jest duszno.

— Bardzo mi cię żal, mój drogi chłopcze. Kiedy maluję, o niczym nie myślę. Nigdy nie pozowałeś lepiej. Byłeś zupełnie spokojny. Ująłem nareszcie ów poszukiwany wyraz: wpółotwarte usta i szeroko rozwarte oczy. Nie wiem, co mówił ci Henryk, ale to na pewno on wywołał w tobie ten cudowny wyraz. Podejrzewam, że musiał prawić ci pochlebstwa. Nie wierz mu ani słowa.

¹¹Eton — angielskie miasteczko nad Tamizą, na zachód od Londynu; znane głównie jako siedziba Eton College, elitarniej internatowej szkoły męskiej. [przypis edytorski]

— Właśnie, że nie prawil mi pochlebstw. Moze tez dlatego nie powinienem wierzyc w to, co powiedzial.

— Wie pan najlepiej, ze wierzy pan we wszystko — powiedzial lord Henryk, patrzac na niego swymi marzycielskimi, znuzonymi oczami. — Pjdę z panem do ogrodu. W pracowni jest strasznie goraco. Bazyli, kaz nam podac jaki napoj chlodzacy, cos z poziomkami.

— Dobrze, Henryku. Badz laskaw zadzwonic na Parkera, abym powiedzial mu, czego chcecie. Musze jeszcze podmalowac to tlo, po czym przyjde do was. Nie zatrzymuj mi Doriana za dlugo. Nigdy jeszcze lepiej jak dzis nie bylem usposobiony do pracy. Będzie to moje arcydzieło. To juz jest moje arcydzieło.

Wyszedszy do ogrodu, lord Henryk ujrzal Doriana Graya z glowa wtulona w olbrzymie pekni kwiecica bzu, namiętnie wchlaniajacego mocna won, jakby to bylo wino. Zblizyl sie do niego i polozyl reke na jego ramieniu.

— Dobrze pan robi — wyszeptal. — Nic tak nie zdoła uleczyc duszy, jak zmysly, tak samo, jak nie co innego, tylko dusza moze uleczyc zmysly.

Mlody czlowiek zadrzal i cofnal sie. Byl bez kapelusza, a listie bzu odsunely na tyl glowy przekorne pukle wlosow, placzac ich zluciste nici. W jego spojrzeniu zdawala ukazywac sie trwoga, jak u czlowieka nagle obudzonego. Wytwornie wyrzezbione nozdrza drzaly, a jakis ukryty nerw kurczowo dygotal purpurowymi ustami.

— Tak — mowil lord Henryk — to jedna z najwiekszych tajemnic zycia: leczyc dusze za pomoca zmyslow i zmysly za pomoca duszy. Jest pan zachwycajaca istota. Wie pan wiecej, niz zdaje sie wiedziec, a jednak wie pan mniej, niz powinien.

Dorian Gray, marszczac brwi, odwroutil glowe. Nie mogl nie polubic tego pieknego i pelnego wdzieku mlodego mezczyzny, ktory stal przy nim. Jego romantyczna, oliwkowo zabarwiona, znuzeniem nacechowana twarz zajmowala go. Jakis nieprzeparty urok udzielal sie z jego cichego, omdlewajacego glosu. Nawet jego rece, zimne, biale, podobne do kwiatow, mialy w sobie niezwykly czar. Gdy mowil, poruszaly sie w takt rytmu, jakby posiadaly swa wlasna wymowe. Dorian lkal sie go i rownoczesnie wstydzil sie swej obawy. Dlaczego musial przyjsc ow obcy czlowiek, aby zobaczyl sie sam w sobie? Bazylego Hallwarda znal od kilku miesiecy, ale przyjazn z nim nie zmienila go wcale. Nagle wkroczyl w jego zycie ktos, majacy — zda sie — otworzyc mu tajemnice zycia. A jednak, dlaczego obawia sie go? Nie jest przeciez uczniakiem ani dziewczyna. Niedorzeczny jest ten jego lek.

— Usiadzmy w cieniu — rzekl lord Henryk. — Parker przyniosl wlasnie napoje, a jesli dluzej bedzie pan stal na tym skwarze, zepsuje pan sobie cerę i Bazyli nie bedzie chcial pana malowac. Istotnie, nie powinien sie pan opalac. Byloby z tym panu nie do twarzy.

— Cóz mi na tym zalezyc? — smiejac sie, zawolal Dorian Gray, siadajac na lawce w glębi ogrodu.

— Panu powinno bardzo na tym zalezec, panie Gray.

— Dlaczego?

— Bo jest pan cudownie mlody, a mlodosc jest jedyna rzecza godna posiadania.

— Nie uwazam tego, lordzie Henryku.

— Nie uwaza pan tego teraz. Przyjdzie dzien, gdy stanie sie pan stary i brzydki, gdy mysl pomarszczy panu czoło, a ohydny zar namiętnosci spali usta, wowczas pan to zrozumie. Teraz gdziekolwiek sie pan zwróci, czaruje pan wszystkich. Czy zawsze tak będzie?... Panie Gray, jest pan cudownie piekny. Niech pan nie marszczy czoła. Piekność jest jednym z ksztaltow geniusza, piekność jest czymś wiecej niz geniusz, bo nie wymaga objaśnień. Nalezyc do wielkich zdarzen swiata, jak slonce, wiosna lub odbicie srebrnego sierpa księzycowego na ciemnych wodach. Ona nie podlega zaprzeczeniu. Posiada swe boskie prawo panowania. Księżetami czyni tych, co ją posiadaja. Pan sie usmiecha? Kiedyś, gdy ją pan postrada, nie będzie sie pan usmiechal... Mowia wprawdzie, ze piekność jest tylko zewnetrzna. Byc moze. W istocie jednak jest mniej powierzchowna niz mysl. Dla mnie piekność jest cudem cudow. Tylko ludzie plytcy nie sadza wedlug pozorow. Prawdziwa tajemnica swiata tkwi w widzialnym, a nie w niewidzialnym... Tak, panie Gray, cieszy sie pan laska bogow. Co daja jednak, rychlo tez odbieraja. Malo lat ma pan na zycie prawdziwe, doskonale i pelne. Z mlodoscia przeminie paniska piekność i nagle

Uroda, Przemijanie, Carpe diem

odkryje pan, iż nie czekają już pana triumfy lub musi się pan zaspokajać tymi błahymi zwycięstwami, które wspomnienie pańskiej młodości uczyni gorszymi od klęsk. Każda odmiana księżycy zbliża pana do czegoś straszego. Czas zazdrości panu i wiedzie bój o pańskie lilie i róże. Stanie się pan błądy, twarz panu zapadnie, spojrzenie przygaśnie. Okropnie pan będzie cierpiał... Ach! Póki ją pan ma, niech pan urzeczywistnia swą młodość. Nie roztrwania złota swych dni, nie słucha głupców, starających się powstrzymać nieuniknioną klęskę, a strzeże się ludzi ciemnych, pospolitych i ordynarnych. To chorobliwy cel, fałsz naszej epoki. Niech pan żyje! Żyje swoim cudownym życiem! Nie traci ani jednej chwili. Niech pan szuka nowych wzruszeń. Nie lęka się niczego... Nowy hedonizm¹² — oto, co stoi przed naszym stuleciem. Pan może być jego widomym symbolem. Nic nie istnieje, czego swoją osobowością nie mógłby pan dokazać. Na jeden sezon cały świat jest pański... Kiedy ujrzałem pana, od razu zauważyłem, iż nie wie pan sam, czym pan właściwie jest i czym może się stać. Czar, który w panu ujrzałem, podbił mnie, więc uczułem się zmuszony, aby opowiedzieć panu cośkolwiek o panu samym. Pomyślałem, iż byłoby tragiczne, gdyby się pan miał zmarnować. Bo młodość pańska będzie trwała tak krótko — tak bardzo krótko. Zwykle kwiaty polne więdną, ale rozkwitają na nowo. Na przyszły czerwiec wielokwiat będzie złościł się tak jak teraz. Za parę tygodni purpurowe gwiazdy będą się unosiły nad tym oto powojnikiem, a co roku zielona noc jego listowia tak samo będzie nosiła purpurę tych gwiazd. Ale nasza młodość nie wraca nigdy. Drgające w nas w roku dwudziestym tętno radości zaczyna słabnąć, nasze członki stają się ociężałe, zmysły tępieją. Wyradzamy się w obrzydliwe szkielety, w których pokutuje jedynie upierne wspomnienie namiętności, którym nie ulegliśmy z lęku, i pokus, które odsunęliśmy przez brak odwagi. Młodość! Młodość! Na świecie nie ma nic ponad młodość!

Dorian Gray wsłuchiwał się, ze zdumienia rozszerzając źrenice. Gałązka bzu wypadła mu z ręki na ogrodową ścieżkę. Nadfrunęła włochata pszczoła i przez chwilę słychać było jej brzęk. Następnie zaczęła się wspinać po gwiazdzistych koronach wytwornego kwiatu. Patrzył na nią z owym dziwnym zaciekawieniem dla rzeczy drobnych, jakie usiłujemy ukazywać, kiedy zajmują nas i trwożą rzeczy wielkie lub wstrząsa nami nowe uczucie o nieznanym wyrazie, lub jakaś straszna myśl napada nasz mózg i chce go opanować. Po chwili pszczoła odleciała. Widział, jak wchodziła w głąb kielicha powoju. Kwiat poruszył się i przez chwilę kołysał się wdzięcznie w dwie strony.

Nagle w drzwiach pracowni ukazał się malarz, niecierpliwymi znakami przyzywając ich z powrotem. Spojrzeli na siebie, uśmiechając się.

— Czekam — wołał on. — Chodźcież. Światło jest teraz doskonale, a szklanki możecie wziąć z sobą.

Powstali i wolno podążyli ścieżką. Dwa zielono-białe motyle przefrunęły obok nich, a ze stojącej w kącie ogrodu gruszy odezwał się drozd.

— Cieszy się pan, panie Gray, że mnie pan poznał — rzekł lord Henryk, patrząc na niego.

— Tak, cieszę się... teraz. Czy zawsze będę się cieszył?

— Zawsze! To straszne słowo. Kiedy je słyszę, dreszcz mnie przechodzi. Słowo to lubią kobiety. Psują każdy romans, usiłując zrobić go wiecznym. Słowo to jest bez znaczenia. Jedyną różnicą między kaprysem a długotrwałym uczuciem jest to, że kaprys trwa nieco dłużej.

Gdy weszli do pracowni, Dorian Gray położył swą rękę na ramieniu lorda Henryka.

— W takim razie niech przyjaźń nasza będzie tylko kaprysem — wyszeptał, rumieniąc się ze wstydu nad własną odwagą, po czym wstał na podium i przyjął właściwą pozę.

Lord Henryk umieścił się wygodnie w szerokim trzcinowym fotelu i z uwagą śledził go. Ciszę mąciło jedynie tarcie pędzlem o płótno, tudzież kroki Hallwarda, zbliżającego się i oddalającego od obrazu dla sprawdzenia wyglądu swego dzieła. W ukośnych promieniach słońca, wpływających przez otwarte drzwi, wirował pył, złocąc się. Nad wszystkim zdawał się ciążyć upajający zapach róż.

Natura

Słońce, Zapach

¹²hedonizm — pogląd uznający przyjemność za najwyższe dobro i cel życia. [przypis edytorski]

W jakiś kwadrans później Hallward przestał malować, długo przyglądał się Dorianowi Grayowi, następnie obrazowi, ogryzając trzonek jednego z grubych pędzli i marszcząc brwi.

— Skończone — zawołał w końcu i schyliwszy się, wielkimi szkarłatnymi literami wypisał swe nazwisko w lewym rogu płótna.

Lord Henryk podszedł do obrazu i przyglądał mu się. Było to naprawdę cudowne dzieło sztuki i cudownie uchwycone podobieństwo.

— Mój drogi towarzyszu — powiedział — pozwól, że powinszuję ci najgoręcej. Jest to najpiękniejszy portret naszych czasów. Panie Gray, proszę przyjść zobaczyć siebie.

Młodzieniec zadrżał, jakby nagle przebudzony z marzenia.

— Naprawdę jest skończony? — wyszeptał, schodząc z podium.

— Najzupełniej — rzekł malarz. — Doskonale dziś pozowałeś. Jestem ci niezmiernie wdzięczny.

— Jest to całkowicie moją zasługą — wtrącił lord Henryk. — Prawda, panie Gray?

Dorian nie odpowiedział, zbliżył się niedbale do portretu i popatrzył nań. Spojrzawszy, cofnął się, a policzki jego okryły się na chwilę rumieńcem zadowolenia. Błysk radości ukazał się w jego oczach, jakby rozpoznawał siebie samego po raz pierwszy. Stał chwilę bez ruchu i w zachwycie, na pół uświadamiając sobie, że Hallward mówi do niego, lecz zupełnie nie rozumiejąc znaczenia jego słów. Wrażenie własnej piękności zawładnęło nim jak objawienie. Nigdy dotąd tego nie odczuwał. Pochlebstwa Bazylego Hallwarda uważał raczej za czarującą przesadę przyjaźni. Słuchał ich, śmiejąc się, i wnet zapominał. Nie miało to na niego żadnego wpływu. Wtedy przyszedł lord Henryk Wotton ze swym dziwnym panegirkiem młodości i przerażającym ostrzeżeniem o krótkości jej trwania. W danej chwili uderzyło go to, a teraz wobec obrazu własnej piękności uczuł w sobie pełnię urzeczywistnienia tego wszystkiego. Tak, przyjdzie dzień, kiedy twarz jego zemnie się i pomarszczy, oczy zapadną się i utracą blask, wdzięk całej postaci złamie się i zniekształci. Zniknie purpura warg i zmatowieje złoto włosów. Życie, kształtując jego duszę, oszpeci ciało. Stanie się niemal straszny, okropny i niezdarny.

Na myśl o tym przeszył go ból dotkliwy, niby uklucie noża, wprawiając w drganie całe jego ciało aż do najdrobniejszego włókna. Pociemniał ametyst jego oczu, zaćmiła je łzawa mgła. Zdawało mu się, że jakaś lodowata dłoń dotyka jego serca.

— Czy ci się nie podoba? — zawołał w końcu Hallward, nieco urażony milczeniem, nie odgadując jego znaczenia.

— Oczywiście, podoba mu się — rzekł lord Henryk. — Komuż mógłby nie podobać się? Jest to jedno z największych dzieł nowej sztuki. Dam ci za nie, co zechcesz. Muszę je mieć.

— Nie jest już moją własnością, Henryku.

— Do kogóż należy?

— Do Doriana, oczywiście — odparł malarz.

— Ten ma naprawdę szczęście.

— Jakie to smutne! — szeptał Dorian Gray, mając oczy wciąż wpatrzone we własny portret. — Jakie to smutne! Będę stary, obrzydliwy i ohydny. Jednak ten obraz pozostanie zawsze młody. Nigdy nie będzie starszy niż w dzisiejszy dzień czerwcowy... Gdybyż była tylko inna droga! Gdyby mogło stać się, abym ja był zawsze młody, a obraz starzał się. Za to, za to — dałbym wszystko! Tak, nie ma nic na świecie, czego bym za to nie oddał! Oddałbym za to własną duszę!

— Dla ciebie, Bazylu, zamiana taka nie byłaby pożądana — zawołał lord Henryk, śmiejąc się. — Zbyt ostre linie zarysowałyby się na twym obrazie.

— Broniłbym się przed tym bardzo ostro, Henryku — rzekł Hallward.

Dorian Gray odwrócił się i spojrzał na niego.

— I ja tak sądzę, Bazylu. Ty bardziej kochasz sztukę niż przyjaciół. Nie jestem dla ciebie niczym więcej od tej zielonej figurki z brązu. Najwyżej tyle, naprawdę.

Malarz patrzył nań zdziwiony. Nigdy nie słyszał Doriana mówiącego w podobny sposób. Co się zdarzyło? Wyglądał na rozgniewanego. Jego twarz zapłonęła, policzki oblały rumieniec.

Portret, Uroda,
Przemijanie, Starość,
Młodość

Portret, Starość

— Tak — mówił dalej — nie znaczą dla ciebie tyle, co Hermes¹³ z kości słoniowej albo Faun¹⁴ ze srebra. Te będą ci się zawsze podobały. Jak długo mogą ci się jeszcze podobać? Przypuszczam, że dopóki nie dostanę pierwszej zmarszczki. Wiem już teraz, że tracąc urodę, jakkolwiek by była, traci się wszystko. Twój obraz mnie tego nauczył. Lord Henryk Wotton ma zupełną rację. Młodość jest jedyną rzeczą mającą wartość. Skoro zauważę na sobie pierwsze oznaki starości, odbiorę sobie życie.

Hallward zbladł i schwycił go za rękę.

— Dorianie! Dorianie! — zawołał — Nie mów tak. Nigdy nie miałem równego tobie przyjaciela i mieć nie będę. Nie możesz być zazdrosny o rzeczy martwe, nieprawdaż? Jesteś piękniejszy nade wszystko!

— Jestem zazdrosny o wszystko, co nie traci swej urody. Jestem zazdrosny o namalowany przez ciebie mój portret. Dlaczego on zachowa to, co ja muszę utracić? Każda przemijająca chwila zabiera coś ze mnie, a jemu dodaje. Ach, gdyby mogła być inna droga! Gdyby obraz mógł podlegać zmianom, a ja żeby pozostał taki, jak teraz! Po co go namalowałeś? Pewnego dnia będzie się naigrawał ze mnie, będzie się strasznie naigrawał! — Pałace łzy napełniły jego oczy; załamał ręce i, osunąwszy się na kanapę, wtulił swą twarz w poduszkę, jak gdyby modląc się.

— Oto twoje dzieło, Henryku — rzekł gorzko malarz.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— To jest prawdziwy Dorian Gray. Oto wszystko.

— Nieprawda.

— Jeśli nie, to cóż to może mnie obchodzić?

— Powinieneś być odejść, kiedy prosiłem cię o to — wyszeptał.

— Zostałem na twoją prośbę — odparł lord Henryk.

— Henryku, nie będę się sprzeczał naraz z moimi dwoma najlepszymi przyjaciółmi, ale obaj obrzydliście mi moje najpiękniejsze dzieło, jakie kiedykolwiek zrobiłem. Dlatego je zniszczę. Czymże jest ono, jeśli nie płótnem i farbą? Nie chcę, aby stawało na przekór nam trzem i gubiło nas.

Dorian Gray podniósł złocistą głowę z poduszek i zażawionymi oczami bladej twarzy spojrzął na niego, gdy podchodził do stolika z farbami, ustawionego pod wysokim, zasłoniętym oknem. Co on chce zrobić? Palce jego szukały czegoś w stosie starych tubek i suchych pędzli. Tak, szukał szpachli o cienkim ostrzu z giętkiej stali. Znalazł ją wreszcie. Podszedł do płótna, aby je pokrajać.

Ze zdławionym łkaniem Dorian zerwał się z kanapy, doskoczył do Hallwarda, wyrwał mu nóż i odrzucił na drugi koniec pracowni.

— Nie rób tego, Bazylu, nie rób tego! — zawołał. — To byłoby morderstwem!

— Cieszę się, Dorianie, iż wreszcie cenisz me dzieło — rzekł malarz chłodno, otrząsnąwszy się z niespodziewanego zwrotu. — Nie myślałem, że dojdzie do tego.

— Cenić je? Ależ ja ubóstwiam je, Bazylu. Ono jest częścią mnie samego. Ja to czuję.

— Dobrze zatem, gdy tylko będziesz suchy, powerniksuj się siebie, oprawi w ramy i odeśle do domu. Będziesz wówczas mógł zrobić z sobą wszystko, co ci się podoba. — Przeszedł w poprzek przez pokój i zadzwonił, aby podano herbatę. — Wszak napijesz się herbaty, Dorianie? I ty także, Henryku? Czy może gardzicie tak zwyczajną przyjemnością?

— Przepadam za zwykłymi przyjemnościami — powiedział lord Henryk. — Są one ostatnim schronieniem ludzi niezwykłych. Nie cierpię jednak scen, z wyjątkiem w teatrze. Z was obu, jacyż wariaci! Dziwię się temu, kto określił człowieka jako rozumne zwierzę. Jest to najbardziej przedwczesne określenie, jakie kiedykolwiek wygłoszono. Człowiek jest wszystkim, ale nie rozumnym. Zresztą jestem zadowolony, że nim nie jest. Przede wszystkim chciałbym, abyście nie kłócili się o ten portret. Zrobiłbyś, Bazylu, najlepiej, jeśliśbyś oddał go mnie. Ten niemądry chłopiec nie potrzebuje go wcale, a mnie na nim zależy.

— Bazylu, nie przebaczyłbym ci nigdy, gdybyś oddał go komukolwiek innemu niż mnie! — zawołał Dorian Gray. — A poza tym nie pozwalam nikomu, aby nazywano mnie niemądrym chłopcem.

¹³*Hermes* (mit. gr.) — bóg podróży, kupców i złodziei, posłaniec bogów. [przypis edytorski]

¹⁴*Faun* (mit. rzym.) — bóg płodności, pól i lasów, opiekun pasterzy, przedstawiany jako brodaty mężczyzna z koźlimi kopytami i rogami. [przypis edytorski]

— Wiesz o tym, Dorianie, że obraz jest twój. Oddałem ci go, zanim jeszcze powstał.
— Wie pan także, że był pan nieco niemądry, panie Gray, i wie pan również, że nie powinien pan gniewać się, gdy panu ktoś przypomni, iż jest pan jeszcze bardzo młody.
— Jeszcze dziś rano, lordzie Henryku, bardzo bym się o to gniewał.
— Ach, dziś rano! Od tego czasu przeżył pan coś.

Zapukano do drzwi, wszedł służący z pełną tacą i postawił ją na małym japońskim stoliku. Wszczął się brzęk filiżanek i spodków i syk parującego samowaru. Chłopiec przyniósł dwa kuliste naczynia chińskie. Dorian Gray, podszedłszy, nalewał herbatę. Obaj mężczyźni powoli zbliżyli się do stołu i popatrzyli, co jest pod pokrywkami.

— Chodźmy wieczorem do teatru — odezwał się lord Henryk. — Gdzieś przecież znajdziemy cokolwiek. Przyrzekłem dziś obiad u White'a¹⁵, ale tylko ze starym przyjacielem, więc zawiadomię go, że jestem słaby albo że zostałem zaskoczony późniejszym zaproszeniem. Będzie to doskonała wymówka, mająca pozory szczerości.

— Nieznośne jest ubieranie się we frak — zaznaczył Hallward. — Wygląda się w nim tak okropnie.

— Tak — odparł marząco lord Henryk — ubiory w wieku dziewiętnastym są obrzydliwe. Są tak ciemne, tak przygnębiające. Jedyne grzech jest rzeczywiście barwnym czynnikiem nowoczesnego życia.

— Nie powinieneś mówić w ten sposób przy Dorianie, Henryku.

— Wobec którego Doriana? Czy tego, który nalewa herbatę, czy tego tam z obrazu?

— Wobec obu.

— Chciałbym pójść z panem do teatru, lordzie Henryku — odezwał się młodzieniec.

— Więc chodźmy. Ty też pójdziesz, Bazyli, prawda?

— Doprawdy, że nie mogę. Wolę pozostać. Mam dużo roboty.

— Zatem, pójdziemy my dwaj, panie Gray.

— Mam wielką ochotę.

Malarz przygryzł wargi i z filiżanką w ręku podszedł do portretu.

— Zostanę z prawdziwym Dorianem — odezwał się smutno.

— Czyż to jest prawdziwy Dorian? — zawołał model portretu, podchodząc do obrazu.

— Czyż jestem naprawdę taki?

— Tak, istotnie jesteś taki.

— To cudowne, Bazyli!

— Przynajmniej wydajesz się być taki z wyglądu. Ale on nie zmieni się nigdy — zaznaczył Hallward. — To ma wartość.

— Co za hałas robią ludzie z powodu wieczności! — zawołał lord Henryk. — Nawet w miłości jest to zagadnienie czysto fizjologiczne. Nie ma to nic wspólnego z naszą wolą. Młodzi ludzie chcieliby być wierni, ale nie są, starzy ludzie pragnęliby być niewierni, ale nie mogą, oto wszystko, co można o tym powiedzieć.

— Nie chodź dziś do teatru, Dorianie — powiedział Hallward. — Zostań u mnie na obiedzie.

— Nie mogę, Bazyli.

— Dlaczego?

— Ponieważ obiecałem lordowi Henrykowi Wottonowi, że pójde z nim.

— Nie weźmie ci za złe, że nie dotrzymujesz obietnicy, bo sam często zawodzi. Proszę cię, nie chodź.

Dorian Gray roześmiał się, wstrząsając głową.

— Błagam cię o to.

Młodzieniec zawahał się i spojrzął na lorda Henryka, który spoza stołu z herbatą przyglądał mu się z rozbawionym uśmiechem.

— Muszę pójść, Bazyli — odparł.

— Więc dobrze — rzekł Hallward, zbliżając się do stolika i stawiając filiżankę na tacy.

— Jest już późno, a jeśli macie się przebrać, nie powinniście tracić czasu. Do widzenia, Henryku. Do widzenia, Dorianie. Odwiedźcie mnie niebawem. Przyjdźcie jutro.

— Na pewno.

¹⁵u *White'a* — w najstarszym i jednym z najbardziej ekskluzywnych londyńskich klubów dla dżentelmenów, położonym przy St James's Street. [przypis edytorski]

- Nie zapomnisz?
- Ależ na pewno — zawołał Dorian.
- A ty... Henryku?
- Ja również, Bazyli.
- Pamiętaj, o co prosiłem cię dziś rano w ogrodzie.
- Zapomniałem już.
- Polegam na tobie.
- Chciałbym sam móc polegać na sobie — powiedział lord Henryk, śmiejąc się. —

Chodźmy, panie Gray, mój powóz czeka, odwiozę pana do domu. Do widzenia, Bazyli. Popołudnie dzisiejsze było bardzo ciekawe.

Skoro zamknęły się za nimi drzwi, malarz osunął się na kanapę, a na jego twarz wystąpił wyraz bólu.

ROZDZIAŁ III

Nazajutrz o wpół do pierwszej lord Henryk Wotton udał się z Curzon Street do Albany¹⁶, do swego wuja lorda Fermora, dowcipnego, acz nieco rubasznego starego kawalera, nazywanego egoistą przez ludzi, którzy nie mogli nic z niego wyciągnąć, ale w towarzystwie uchodzącego za hojnego, bo suto podejmował tych, którzy umieli go zabawić. Jego ojciec był ambasadorem w Madrycie, gdy Izabela¹⁷ była młoda, a Prim¹⁸ nieznanymi, wycofał się jednak ze służby dyplomatycznej w chwili kapryśnego rozdrażnienia o to, że nie zaofiarowano mu ambasady w Paryżu, uważał bowiem to stanowisko jakby za przeznaczone dla siebie ze względu na urodzenie, bezwrażliwość usposobienia, poprawną angielszczyznę depeš i niezwykłe upodobanie w wesołym życiu. Syn był sekretarzem ojca i razem ze swym szefem również podał się do dymisji, co poczytywano mu wówczas za pewną lekkomyślność. Zostawszy w parę miesięcy później spadkobiercą tytułu, zabrał się do poważnych studiów nad wielką arystokratyczną sztuką doskonałego próżnowania. Posiadał w mieście dwa duże domy, wołał jednak mieszkać w hotelu, bo to wygodniej, a jadał przeważnie w klubie. Trochę zajmował się swymi kopalniami węgla w hrabstwach środkowej Anglii, czynione mu z tego powodu zarzuty odpierając tym, że posiadanie kopalni węgla jest dla człowieka z towarzystwa przewagą pozwalającą mu na zbytek palenia we własnym kominku drzewem. W polityce był torysem¹⁹, o ile torysi nie byli u steru władzy, bo wówczas wciąż ich oskarżał, że są bandą radykałów. Był bohaterem dla swego służącego, który nim powodował, a postrachem dla przyjaciół, których on znowu tyranizował z kolei. Jedynie Anglia mogła wydać podobnego człowieka, on zaś utrzymywał stale, że w kraju wszystko schodzi na psy. Jego zasady były przestarzałe, ale o jego przesądach dałoby się powiedzieć wiele dobrego.

Gdy lord Henryk wszedł do pokoju, zastał wuja w grubej kurtce myśliwskiej, palącego cygaro i pomrukującego nad przeglądaniem „Timesem”.

— I cóż, Henryku — zapytał stary lord — cóż cię sprowadza tak wcześnie? Sądziłem, że złota młodzież nie wstaje nigdy przed drugą i przed piątą nie jest widzialna.

— Czysty sentyment rodzinny, zapewniam cię, wuju Jerzy. Chciałem cię o coś prosić.

— Przypuszczam, że o pieniądze — rzekł lord Fermor z wyrazem niezadowolenia. — Zresztą, siadaj i mów, o co chodzi. Dzisiejsza młodzież wyobraża sobie, że pieniądze to wszystko.

— Tak — odparł lord Henryk, poprawiając kwiat w butonierce — a gdy zestarzeją się, wiedzą o tym na pewno. Ale ja nie potrzebuję pieniędzy. Potrzebują ich, wuju Jerzy, tylko

¹⁶Albany — kompleks ekskluzywnych kawalerskich apartamentów przy ulicy Piccadilly w Londynie. [przypis edytorski]

¹⁷Izabela II Hiszpańska (1830–1904) — królowa Hiszpanii (1844–1868) z dynastii Burbonów; w 1868 obalona w wyniku zamachu stanu, osiadła we Francji. [przypis edytorski]

¹⁸Prim y Prats, Juan (1814–1870) — hiszpański polityk i generał; w 1843 wystąpił przeciwko buntowi radykalnych liberalów, co zapewniło mu awans na generała; w 1847 mianowany gubernatorem wojskowym Portoryko; w 1859–60 walczył w Maroku, w 1861 dowodził korpusem ekspedycyjnym w Meksyku, w 1868 odegrał ważną rolę podczas udanego zamachu stanu przeciw Izabeli II, w 1869 został szefem rządu Hiszpanii. [przypis edytorski]

¹⁹torys — członek powstałego pod koniec XVII w. angielskiego stronnictwa politycznego, wspierającego silną władzę królewską, interesy ziemiaństwa i Kościoła; w 1834 stronnictwo przekształciło się w Partię Konserwatywną, potocznie nadal nazywaną torysami. [przypis edytorski]

ci, którzy płacą długi, ja nie płacę swoich. Kredyt jest kapitałem młodszych synów i żyje się z niego doskonale. Zresztą, mam stałe stosunki z dostawcami Dartmoora, a ci nigdy mnie nie niepokoją. Chciałem prosić wuja o pewne objaśnienie, i to nie o objaśnienie pożyteczne, ale właśnie o zgoła nieużyteczne.

— Świetnie, mogę powiedzieć ci wszystko, co zawiera angielska *Błękitna Księga*²⁰, choć obecnie pisze się w niej same głupstwa. Było znacznie lepiej, gdym jeszcze był dyplomatą. Lecz słyszałem, że teraz przyjmują do dyplomacji dopiero po egzaminie. Czegóż można się po tym spodziewać? Egzamin, panie, są zwykłym nabieraniem, od początku do końca. Jeżeli jest się człowiekiem z towarzystwa, już przez to samo wie się dosyć, jeżeli nie, wszystko, czegokolwiek można się nauczyć, jest tylko szkodliwe.

— Pana Doriana Graya, wuju Jerzy — rzekł lord Henryk znużonym głosem — nie ma w *Błękitnej Księdze*.

— Pan Dorian Gray? Cóż to za jeden? — spytał lord Fermor, ściągając białe, krzaczaste brwi.

— Tego właśnie chciałbym dowiedzieć się, wuju Jerzy, choć właściwie wiem, kim on jest. To ostatni wnuk lorda Kelso. Matka jego była z domu Devereux, lady Małgorzata Devereux. Chciałbym, abys mi opowiedział, wuju, o jego matce. Jak żyła? Z kim się pobrała? Za swoich czasów znałeś, wuju, cały świat, musiałeś więc znać ją również. Bardzo mnie teraz obchodzi pan Gray. Poznałem go właśnie.

— Wnuk lorda Kelso! — powtórzył stary lord. — Wnuk lorda Kelso!... Oczywiście... matkę jego znałem wybornie. Zdaje się nawet, że byłem na jej chrzcinach. Małgorzata Devereux była niezwykle piękną panną i pogrążyła nas wszystkich w rozpacz, uciekając z jakimś ubogim młodzieńcem, z człowiekiem bez znaczenia i bez grosza, niższym oficerem piechoty czy coś podobnego. Oczywiście. Pamiętam te sprawy, jakby działy się wczoraj. W parę miesięcy po ślubie zginął biedak w Spa²¹ w pojedynku. Była to nieładna historia. Opowiadano, że Kelso najął jakiegoś lajdackiego awanturnika, jakiegoś belgijskiego chama, ażeby publicznie znieważył jego zięcia. Zapłacił go, tak, panie, zapłacił go, a ów łotr zakłuł ofiarę jak gołębia. Sprawę zatuszowano, ale mimo to Kelso przez długi czas jadał swe zrazy w klubie w zupełnym osamotnieniu. Sprowadził córkę z powrotem, ale, jak opowiadano, nigdy nie odezwała się do ojca ani słowa. Och, tak, była to nieładna sprawa. W rok później panna umarła. Więc zostawiła syna? Zapomniałem o tym. I cóż to za chłopiec? Jeżeli podobny do matki, musi być urodziwy.

— Jest bardzo urodziwy — potwierdził lord Henryk.

— Spodziewam się, że pójdzie w dobre ręce — mówił dalej stary lord. — Jeżeli Kelso się nim zajął, dostanie kupę pieniędzy. Jego matka również miała majątek. Po dziadku dostała jej się cała dobra Shelby. Dziadek jej nienawidził Kelso, nazywał go podłym psem. Był nim naprawdę. Za mojego pobytu przybył kiedyś do Madrytu. Zaiste, wstyd mi było za niego. Królowa dopytywała się mnie, kto zacy jest ów szlachcic angielski, ustawicznie sprzeczący się z woźnicami o cenę przejazdów. Była z tego cała gadanina. Przez miesiąc nie mogłem pokazywać się u dworu. Spodziewam się jednak, że z wnukiem obszedł się lepiej niż z tamtymi drabami.

— Nie wiem tego — odparł lord Henryk. — Zdaje mi się jednak, że chłopiec ma się dobrze. Jeszcze nie jest pełnoletni. Wiem, że Shelby jest jego. Mówił mi to. A... czy jego matka była naprawdę bardzo piękna?

— Małgorzata Devereux była jedną z najpiękniejszych istot, jakie kiedykolwiek znałem. Nigdy nie mogłem zrozumieć jej postępków. Mogła być dowolnie wybierać męża. Carlington przepadał za nią. Bez wątpienia była romantyczką. W tej rodzinie każda kobieta jest romantyczna. Mężczyźni do niczego, ale kobiety zachwycające. Carlington czuł się u jej stóp. Sam mi to opowiadał. Śmiała się z niego, a przecież nie było w Londynie panny, która by o nim nie marzyła. Ale, Henryku, skoro mówimy o niedorzecznych małżeństwach, powiedz mi, co znaczy ten kawał twego ojca, jakoby Dartmoor żenił się z Amerykanką? Czyż nie ma już dla niego odpowiedniej Angielki?

— Teraz, wuju Jerzy, jest w dobrym tonie żenić się z Amerykankami.

²⁰*Błękitna Księga* — tu: książka z nazwiskami i adresami ważnych osób, takich jak osobistości rządowe. [przypis edytorski]

²¹*Spa* — miasto uzdrowiskowe w Belgii, w prowincji Liège, znane ze źródeł mineralnych. [przypis edytorski]

— Przeciw całemu światu trzymam za Angielkami, Henryku — odrzekł lord Fermor, uderzając pięścią w stół.

— O Amerykanki idą dzisiaj zakłady.

— Mówiono mi, że nie dotrzymują placu — odburknął wuj.

— Długi bieg je wyczerpuje, ale są świetne w wyścigu z przeszkodami. W lot osiągają metę. Nie sądzę, aby Dartmoor miał widoki powodzenia.

— Cóż to za rodzina? — burczał stary lord. — Czy jest w ogóle rodziną?

Lord Henryk potrząsnął głową.

— Amerykanki ukrywają swych krewnych równie zręcznie, jak Angielki swą przeszłość — odpowiedział, zabierając się do odejścia.

— Przypuszczam, że są to świniobójcy?

— Spodziewam się tego, wuju Jerzy, na pomyślność Dartmoora. Słyszałem, że bicie świń jest w Ameryce zawodem po polityce najzyskowniejszym.

— Czy jest ładna?

— Zachowuje się tak, jakby była piękna. Wiele Amerykanek postępuje podobnie. Jest to tajemnicą ich wdzięku.

— Dlaczego te Amerykanki nie zostają u siebie w kraju? Wciąż nam przecież opowiadają, że jest to raj dla kobiet.

— Jest nim, ale zarazem jest to przyczyną, że na wzór Ewy starają się wydostać z niego jak najprędzej — odpowiedział lord Henryk. — Do widzenia, wuju Jerzy. Spóźniłbym się na śniadanie, pozostając dłużej. Dziękuję za udzielone mi wiadomości. Lubię wiedzieć wszystko, co dotyczy mych nowych przyjaciół, natomiast o starych niczego nie jestem ciekawy.

— Gdzie jesz śniadanie, Henryku?

— U ciotki Agaty. Zaprosiłem się do niej z panem Grayem. To jej ostatni protegowany.

— Ba! Powiedz no, Henryku, ciotce Agacie, aby dała mi już spokój ze swymi sprawami filantropijnymi. Mam tego dosyć. Poczciwa kobieta sądzi zapewne, że nie mam nic lepszego do roboty, niż wystawiać czeki na jej niemądre zachcianki.

— Dobrze, wuju Jerzy, powiem jej to, ale wątpię, czy na coś się przyda. Filantropi są pozbawieni humanitaryzmu. Jest to wyróżniającą cechą ich charakterystyki.

Stary lord mruknął potwierdzająco i zadzwonił na służącego. Lord Henryk, wyszedłszy przez niskie podcienie Burlington Street, skręcił w kierunku Berkeley Square.

Taka więc była historia rodziny Doriana Graya. Choć opowiedziana bez ogródek, zrobiła na nim wrażenie dziwnego, na wskroś nowoczesnego romansu. Piękna kobieta dla szalonej miłości stawiająca wszystko na jedną kartę. Kilka tygodni dzikiego szczęścia, przerwane nagle ohydną, zdradziecką zbrodnią. Długie miesiące niemej męczarni, wreszcie dziecko zrodzone w niedoli. Matka zabrana przez śmierć, chłopiec opuszczony i oddany na pastwę tyranii starego egoisty. Tak, tło jest zajmujące. Postawiony na nim chłopiec występuje lepiej, niż było naprawdę. Poza wytwornością odnajduje się zwykle jakąś tragedię. Ziemia musi pracować, aby mógł rozwinąć się najdrobniejszy kwiat... Jakież był on czarujący przy wczorajszym obiedzie, gdy z promieniejącymi oczami i na pół rozwartymi ustami, pełen niespokojnej radości, siedział w klubie naprzeciw niego, a czerwone blaski świec silniej różowiły budzący się cud jego twarzy. Rozmowa z nim była grą na wyśmienitych skrzypcach. Odpowiadał na każde dotknięcie, każde pociągnięcie skrzypka... Było w tym doświadczeniu wpływu coś przerażająco ujmującego. Podobnego działania nie da się porównać z niczym. Własną duszę wlać w jakiś wykwintny kształt i pozostawić ją w nim przez chwilę; słyszeć, niby w odbiciu echa, swój własny rozum, wzbogacony rytmem uczucia i młodości; swój temperament wcielić w kogoś drugiego, niczym subtelny fluid lub niezwykły aromat — w tym była radość prawdziwa, może najwyższa radość, jaka zadowolić może w naszych ograniczonych, nędznych czasach, czasach gruboskórnego użycia i wielce pospolitych dążeń... Spotkany przypadkiem w pracowni Bazylego chłopiec był cudownym wzorem człowieka, albo raczej doskonałym nań tworzywem. Ucieleśniał on w sobie urok i białą czystość chłopięcości i takie piękno, jakie dochowały nam stare greckie marmury. Nie ma nic, czego by się nie dało z niego utworzyć. Może być zarówno

tytanem²², jak zabawką. Jakież to smutne, że takie piękno musi podlec zwiędnięciu!... A Bazyli? Jakież był zajmujący ze stanowiska psychologicznego! Nowy styl w sztuce, nowy sposób poglądu na życie, natchniony jedynie przez obecność nieświadomego swej roli człowieka; duch milczenia, przebywający w leśnym mroku, kroczący niepostrzeżenie przez otwarte pola, ukazujący się nagle i bez wywoływania lęku, jak driada²³, budzący w duszy tego, co go szukał, cudowną moc widzenia, jedyną, która objawia rzeczywiste cuda. Zewnętrzne pozory podniesiono tu do wzniosłości symbolu, jakby one same nie były tylko cieniem innych, doskonalszych kształtów. Jakże to wszystko dziwne! Szukał czegoś podobnego w historii. Czyż Plato²⁴, ów mistrz myśli, nie pierwszy zastanawiał się nad tym? Czy Buonarrotti²⁵ nie wyrzeźbił tego w barwnym marmurze cyklu sonetów? W naszym jednak wieku było to niezwykle... Tak, spróbuje stać się tym dla Doriana Graya, czym chłopiec ów był nieświadomie dla malującego jego portret artysty. Spróbuje go opanować, już nim niemal owaładnął. Podbije na własność tę cudowną istotę. Jest coś uroczego w tym synu Miłości i Śmierci.

Nagle przystanął i rozejrzał się po domach. Spostrzegł, że minął już dom ciotki i uśmiechając się do siebie, zawrócił. Gdy wchodził do dość ciemnego przedpokoju, służący oznajmił mu, że właśnie podano do stołu. Jednemu z lokajów oddał kapelusz i laskę i wszedł do jadalni.

— Henryk spóźniony, jak zwykle — zawołała ciotka, kłaniając mu się głową.

Łatwo znalazł wymówkę i siadając na niezajętym przy niej krześle, rozglądał się po zebranych. Z końca stołu skłonił mu się nieśmiało Dorian, z zadowolenia rumieniąc się. Naprzeciw siedziała księżna Harley, dama o niezwyklej dobroci charakteru i usposobienia, lubiana przez każdego, kto ją tylko znał. Odznaczała się obfitością architektonicznych proporcji, które historyk współczesny, gdyby nie chodziło o księżną, nazwałby otyłością. Obok niej, po prawej stronie, siedział pan Tomasz Burdon, radykalny członek parlamentu, tylko w polityce idący za swym przywódcą, natomiast w życiu prywatnym kierował się dobrą kuchnią, jadając z torysami, a myśląc z liberałami, zgodnie z mądrą i dobrze znaną zasadą. Miejsce z lewej strony zajmował pan Erskine z Treadley, starszy pan z dużym wdziękiem i kulturą, który jednak popadł w zły nałóg milczenia, ponieważ — jak to kiedyś wyluszczył ciotce Agacie — wszystko co miał do powiedzenia, powiedział już był przed trzydziestym rokiem swego życia. Sąsiadką lorda Henryka była pani Vandeleur, jedna z najstarszych przyjaciółek ciotki, prawdziwa święta między niewiastami, ubrana jednak tak okropnie, że przypominała niedbale oprawioną książkę do nabożeństwa. Na szczęście z drugiej strony siedział obok niej lord Faudel, bardzo sprytna miernota w średnim wieku, świecący łysiną jak orędzie ministerialne w Izbie Gmin²⁶; ona jednak rozmawiała z nim z ową głęboką powagą będącą niewybaczalną wadą, w jaką, jak sam to raz zauważył, popadają wszyscy ludzie naprawdę dobrzy, aby już nie wyleczyć się z niej.

— Mówimy o tym biednym Dartmoorze, lordzie Henryku — odezwała się księżna, wdzięcznie pochylając ku niemu głowę ponad stołem. — Czy sądzi pan, że istotnie ożeni się z tą zachwycającą dziewczyną?

— Przypuszczam, księżno, że to ona ma zamiar mu się oświadczyć.

— Coś strasznego! — krzyknęła lady Agata. — Należałoby temu przeszkodzić.

— Wiem z najlepszego źródła, że jej ojciec ma olbrzymią fabrykę towarów łokciowych²⁷ — rzekł pogardliwie pan Tomasz Burdon.

— Mój wuj, panie Tomaszu, miał go już za świniobójcę.

— Towary łokciowe! Jakież towary łokciowe wyrabia Ameryka? — zapytała księżna, podnosząc w górę swą szeroką rękę, jakby podkreślając swe słowa.

²²tytani (mit. gr.) — bogowie z pokolenia olbrzymów poprzedzającego bogów olimpijskich. [przypis edytorski]

²³driady (mit. gr.) — boginki leśne, duchy drzew. [przypis edytorski]

²⁴Platon (427–347 p.n.e.) — gr. filozof, kluczowa postać w rozwoju filozofii; uczeń Sokratesa, nauczyciel Arystotelesa; twórca idealizmu filozoficznego, założyciel szkoły zwanej Akademią Platońską. [przypis edytorski]

²⁵Buonarrotti, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni*, zw. *Michałem Aniołem* (1475–1564) — włoski malarz, rzeźbiarz, poeta i architekt epoki renesansu. [przypis edytorski]

²⁶Izba Gmin — niższa izba brytyjskiego parlamentu. [przypis edytorski]

²⁷towary łokciowe (przestarz.) — tkaniny, wstążki itp. sprzedawane w sklepiku na łokcie, tj. odwijane z beli i przycinane do długości pożądaną przez klienta. [przypis edytorski]

— Amerykańskie romanse — odparł lord Henryk, biorąc z półmiska kawałek pie-
piórki.

Księżna zmieszała się.

— Nie zważaj na niego, moja droga — szepnęła lady Agata. — On sam nigdy nie
wie, co mówi.

— Kiedy odkryto Amerykę — odezwał się poseł radykalny i począł przytaczać banalne
zdarzenia.

Jak każdy, kto pragnie wyczerpać przedmiot, i on wyczerpał cierpliwość swych słu-
chaczy. Księżna westchnęła i skorzystała z przysługującego jej przywileju, przerywając
mu:

— Bodajby nie odkryto jej nigdy! — zawołała. — Doprawdy, nasze panny nie mają
teraz powodzenia. To niesprawiedliwe.

— A może Ameryka wcale nie została odkryta — rzekł pan Erskine. — Twierdziłbym
niemal, że to tylko urojenie.

— O, kiedy ja widziałam próbki jej mieszkanki — odparła, wahając się, księżna.
— Muszę przyznać, że po większej części nadzwyczaj przystojne. Ubierają się też bardzo
dobrze. Wszystko dają sobie robić w Paryżu. Byłabym zadowolona, gdybym sobie mogła
na to pozwolić.

— Opowiadają, że gdy dobry Amerykanin umrze, udaje się do Paryża — chichocząc,
wtrącił pan Tomasz, posiadając w zapasie obszerną garderobę znoszonych ubrań księcia
Dowcipu.

— Naprawdę! A dokąd idzie po śmierci zły Amerykanin? — zapytała księżna.

— Do Ameryki — odpowiedział lord Henryk.

Pan Tomasz zmarszczył brwi.

— Obawiam się, że siostrzeniec pani ma uprzedzenie do tego wielkiego kraju —
rzekł do lady Agaty. — Byłem tam, przejechałem cały kraj w pociągu dostarczonym
przez dyrekcję, która w podobnych wypadkach jest niesłychanie uprzejma. Zapewniam
państwa, że taka podróż bardzo kształci.

— Ale, czy istotnie musimy zwiedzać Chicago po to, aby się wykształcić? — zapytał
żałośnie pan Erskine. — Nie czuję się na siłach do takiej podróży.

Pan Tomasz machnął ręką.

— Pan Erskine z Tredley ma cały świat w swej bibliotece. My, ludzie praktyczni,
lubimy rzeczy oglądać, a nie czytać o nich. Amerykanie są narodem nadzwyczaj zajmu-
jącym. Są przede wszystkim bezwzględnie rozsądni. Sądzę, że jest to ich główną cechą
charakterystyczną. Tak, panie Erskine, bezwzględnie rozsądny naród. Upewniam pana,
że w Ameryce nie ma ludzi niedorzecznych.

— Jakie to straszne! — zawołał lord Henryk. — Mogę znieść surową przemoc, ale
surowy rozsądek jest wprost nieznośny. W jego postępkach jest coś z niesprawiedliwości.
On schodzi poniżej rozumu.

— Nie rozumiem pana — rzekł pan Tomasz, czerwieniejąc.

— Ja rozumiem, lordzie Henryku — wyszeptał pan Erskine, uśmiechając się.

— Na tym polu paradoksy są na miejscu... — zauważył baronet.

— Czy to był paradoks? — zapytał pan Erskine. — Nie sądzę. Zresztą możliwe. Droga
paradoksów jest drogą prawdy. Aby udowodnić rzeczywistość, musimy zobaczyć ją na
wyciągniętej linii. Prawdy możemy sądzić dopiero wówczas, gdy staną się akrobatkami.

— Mój Boże! — rzekła lady Agata. — Czego ci mężczyźni nie wygadują! Z pew-
nością nigdy nie zrozumieję tego, o czym rozprawiacie. Och! Henryku, jestem na ciebie
naprawdę rozgniewana. Dlaczego starasz się wpłynąć na naszego miłego pana Doriana
Graya, aby opuścił East End? Zapewniam cię, iż byłby dla nas wprost nieoceniony. Jego
muzyka podobałaby się na pewno.

— Chciałbym, aby zagrał dla mnie — zawołał lord Henryk, uśmiechając się, i patrzył
na koniec stołu, skąd biegło doń błyszczące spojrzenie odpowiedzi.

— Ale ci w Whitechapel są tacy nieszczęśliwi — nalegała lady Agata.

— Ze wszystkim mogę współczuć, oprócz cierpienia — rzekł lord Henryk, wzru-
szając ramionami. — Nie mogę z nim współczuć. Zbyt jest brzydkie, zbyt straszne, zbyt

przygnębiające. Jest coś straszliwie chorobliwego w nowoczesnym współczuciu dla niedoli. Można się wzruszać barwą, pięknem, radością życia. Im mniej się mówi o mrokach życia, tym lepiej.

— A jednak East End jest zagadnieniem bardzo doniosłym — zauważył pan Tomasz, poważnie poruszając głowę.

— Całkiem słusznie — odparł młody lord. — Jest to zagadnienie niewolnictwa, a my staramy się rozwiązać je, zabawiając niewolników.

Polityk spojrział nań przenikliwie.

— Jakież więc zmiany pan by wprowadził? — zapytał.

Lord Henryk roześmiał się.

— Nic w Anglii nie chcę zmieniać oprócz pogody — odparł. — W zupełności wystarczy mi rozmyślanie filozoficzne. Ponieważ wszakże wiek dziewiętnasty zbankrutował przez nadmiar współczucia, więc radziłbym, aby przywołać na pomoc Naukę. Zaletą uczyć jest to, że wiodą nas na bezdroża, zaletą Nauki, że wcale nie jest uczuciowa.

Nauka

— Mamy jednak na sobie tak poważną odpowiedzialność — zauważyła bojaźliwie pani Vandeleur.

— Niezmiernie poważną — potwierdziła lady Agata.

Lord Henryk spojrział na pana Erskine'a.

— Ludzkość sama siebie bierze zbyt poważnie. Jest to pierworodny grzech świata. Gdyby człowiek jaskiniowy umiał się być śmiać, historia poszłaby odmiennym torem.

Śmiech

— Pokrzepia mnie pan, naprawdę — zaszczębiotała księżna. — Zawsze poczuwałam się do winy wobec pańskiej drogiej ciotki, gdyż East End nie zajmuje mnie wcale. Odtąd będę mogła spoglądać w jej oczy, nie rumieniąc się.

— Rumieniec, księżno, jest zawsze do twarzy — zauważył lord Henryk.

— Tylko wtedy, gdy jest się młodą — odparła. — Kiedy rumieni się kobieta tak stara, jak ja, jest to złym znakiem. Ach, lordzie Henryku, chciałabym, aby nauczył mnie pan, jak odzyskać młodość.

Namyślał się chwilę.

— Czy księżna przypomina sobie jakiś wielki grzech popełniony w młodości? — zapytał, patrząc na nią ponad stołem.

— Obawiam się, że nazbyt wiele — zawołała.

— Niech pani je znowu popełnia — odrzekł poważnie. — Aby wrócić młodość, należy tylko powtarzać dawne szaleństwa.

— Zachwycająca teoria! — wykrzyknęła. — Muszę zastosować ją praktycznie.

— Niebezpieczna teoria! — wycedził pan Tomasz z zaciśniętych ust.

Lady Agata poruszyła głowę, ale nie mogła powstrzymać się od rozbawienia. Pan Erskine słuchał.

— Tak — mówił dalej — jest to jedna z największych tajemnic życia. Większość ludzi umiera dziś z nadmiaru zdrowego rozsądku, za późno spostrzegając, że jedyną rzeczą, której im żal, to własne błędy.

Rozum, Carpe diem

Całe towarzystwo wybuchło śmiechem.

A on igrał z myślą i rozzuchwalał się coraz więcej; ciskał ją w przestrzeń i przetwarzał ją; pozwalał jej umknąć i znowu ją chwycił; ubierał ją w tęcze barwy fantazji i uskrzydlał paradoksami. Pochwałę głupstwa wznosił na wyżyny filozofii, a filozofię odmładzał, poddawał ją pod rytm muzyki rozkoszy, złościł wyobraźnią, ubierał w suknie splamione winem i wieńczył bluszczem, wiódł ją tanecznym krokiem bachantki²⁸ przez wzgórze życia, naigrawając się z trzeźwości leniwego piękna. Rzeczywistość uciekała przed nią niczym zwierzyna leśna. Jej białe stopy uderzały o wzburzone fale, nad którymi zasiadł mądry Omar²⁹; kipiący sok winnego grona bluznął na jej ciało purpurową strugą lub czerwoną pianą przelewał się po czarnych, obryzanych ścianach kadzi. Była to nadzwyczajna improwizacja. Czuł, że oczy Doriana Graya spoczywały na jego ustach, a świadomość, iż między słuchaczami znajduje się ten, kogo pragnie oczarować i usidlić, podniecała bystrość jego dowcipu i barwność wyobraźni. Był świetny, fantastyczny, nieokiełzany.

²⁸*bachantka* (mit. gr.) — nimfa z orszaku boga wina Dionizosa (Bakchosa). [przypis edytorski]

²⁹*Omar Chajjam* (1048–1131) — perski poeta, astronom, filozof, lekarz i matematyk; znany przede wszystkim jako autor *Rubajjatów*, poetyckich czterowierszy, przetłumaczonych przez angielskiego pisarza i poetę Edwarda FitzGerala w 1859. [przypis edytorski]

Wywiódł słuchaczy poza nich samych, aby wśród śmiechu zdążyli za grą jego fletu. Dorian Gray nie spuszczał go z oczu, trwał jak zaklęty, po jego wargach przesuwały się cienie uśmiechu, a głębokie zdumienie mroczyło mu oczy.

Wreszcie rzeczywistość wkroczyła do sali w nowoczesnym stroju służącego, oznajmiającego księżnej, że powóz czeka. Załamała ręce z komiczną rozpaczą.

— Jakie to nieznośne! — zawołała. — Muszę pójść. Mam wstąpić do klubu po męża, aby zabrać go na jakieś głupie zebranie w Salonach Willisa³⁰, gdzie ma przewodniczyć. Jeśli się spóźnię, będzie zły, a w tym kapeluszu nie mogę się narażać na sceny. Zbyt jest wiotki. Ostre słowo mogłoby go zniszczyć. Nie, muszę pójść, droga Agato. Do widzenia, lordzie Henryku, był pan przemiły i straszliwie znieprawiający. Nie mam pojęcia, co sądzić o pańskich poglądach. Musi pan przyjść któregoś wieczoru do nas na obiad. We wtorek? Jest pan wolny we wtorek?

— Dla księżnej gotów jestem każdemu innemu zrobić zawód — rzekł lord Henryk, kłaniając się.

— O, to bardzo pięknie i bardzo niesprawiedliwie z pańskiej strony — zawołała. — Więc przyjdzie pan. — Po czym wyszła z pokoju, odprowadzana przez lady Agatę i inne panie.

Gdy lord Henryk znów usiadł, pan Erskine okrążył stół i zajmując krzesło obok niego, położył rękę na jego ramieniu.

— Mówi pan jak z książki — powiedział. — Dlaczego pan nie pisze?

— Zbyt lubię czytać książki, abym je pisał, panie Erskine. Zresztą, napisałbym może powieść tak piękną, jak perski kobierzec i równie nieprawdziwą. Ale publiczność angielska czytuje tylko dzienniki, podręczniki i encyklopedie. Z całego świata Anglicy mają najmniej poczucia dla literackiego piękna.

— Obawiam się, że ma pan rację — odparł pan Erskine. — Ja sam miałem ambicje literackie, ale od dawna pożegnałem się z nimi. A teraz, mój drogi przyjacielu, jeśli pozwolisz, że cię tak nazwę, powiedz, czy naprawdę wierzysz sam w to, coś nam opowiadał przy śniadaniu.

— Już nie pamiętam, co mówiłem — odparł lord Henryk z uśmiechem. — Czy coś złego?

— I to bardzo złego. Wydaje mi się pan człowiekiem niezwykle niebezpiecznym, jeśli więc przydarzy się cokolwiek naszej kochanej księżnej, odpowiedzialność złożymy przede wszystkim na pana. Chciałbym jednak pomówić z panem o życiu. Moje pokolenie było nudne. Któregoś dnia, kiedy poczuje się pan znużony Londynem, niech pan przyjedzie do Treadley, aby wyłożyć mi swą filozofię rozkoszy, popijając wybornego burgunda, którego posiadam, na szczęście, dość wiele.

— Jestem zachwycony. Wizyta w Treadley będzie dla mnie dużym zaszczytem. Jest tam doskonały gospodarz i świetna biblioteka.

— Całości dopełni pan — odpowiedział stary pan z dworskim ukłonem. — A teraz muszę pożegnać pańską cudowną ciotkę. Czeka ją na mnie w Ateneum³¹. To godzina naszego tam spania.

— Czy dla wszystkich, panie Erskine?

— Dla nas czterdziestu, w czterdziestu fotelach. Przygotowujemy Angielską Akademię Umiejętności.

Lord Henryk roześmiał się, wstając.

— Idę do parku — zawołał.

W drzwiach Dorian Gray dotknął jego ramienia.

— Proszę mi pozwolić sobie towarzyszyć — wyszeptał.

— Zdawało mi się, że pan obiecał wizytę Bazylemu Hallwardowi — odparł lord Henryk.

³⁰*Salony Willisa*, ang. *Willis's Rooms* — sieć klubów towarzyskich w Londynie, z głównym klubem przy King Street w dzielnicy St. James, do którego przynależność uważano za potwierdzenie wysokiej rangi społecznej; członkami mogli być zarówno mężczyźni, jak i kobiety; były miejscem obiadów, koncertów i balów; pierwotnie nazywane Almack's Assembly Rooms, od swego założyciela, Williama Almacka, od 1792 w zarządzie Jamesa Willisa, stąd nazwa używana w XIX w. [przypis edytorski]

³¹*Ateneum*, ang. *Athenaeum Club* — klub w Londynie dla mężczyzn i kobiet o zainteresowaniach intelektualnych, szczególnie dla mających osiągnięcia w nauce, literaturze lub sztuce, zał. w 1824. [przypis edytorski]

— Wolalbym pójść z panem. Tak, czuję, że muszę być z panem. Niech mi pan pozwoli. I przyrzeknie mi pan mówić do mnie przez cały czas? Nikt nie mówi tak cudownie, jak pan.

— Ach! Na dziś mówiłem już dosyć — odrzekł lord Henryk, uśmiechając się. — Chciałbym teraz nieco popatrzeć na życie. Jeżeli ma pan ochotę, może pan pójść i patrzeć razem ze mną.

ROZDZIAŁ IV

Pewnego popołudnia w miesiąc później Dorian Gray, zagłębiony w wygodnym fotelu, siedział w małej bibliotece lorda Henryka na Mayfair. W swoim rodzaju był to prześliczny pokój, z wysokimi boazeriami z drzewa dębowego, zabojcowanego na oliwkę, z fryzem żółtego koloru, ze sztukateriami na suficie i z ceglastym perskim kobiercem o jedwabnym, długim włosie. Na misternym stoliku z politurowanego drzewa stała statuetka Clodiona³², obok niej egzemplarz *Cent Nouvelles*³³, oprawiony przez Clovisa Eve³⁴ dla Małgorzaty de Valois³⁵ i obficie ozdobiony w ulubiony emblemat tej królowej, złociste stokrotki. Na kominku stały rzędem niebieskie wazy chińskie i pstre tulipany, a przez wąskie szybki witrażowego okna przedostawało się brzoskwińowe światło letniego londyńskiego dnia.

Lorda Henryka jeszcze nie było. Spóźniał się z zasady, twierdząc, że punktualność jest złodziejem czasu. Młodzieniec wydawał się nieco nadąsany i z roztargnieniem przewracał kartki wspaniale ilustrowanego wydania *Manon Lescaut*³⁶, które znalazł na jednej z półek. Monotonne cykanie zegara w stylu Ludwika XIV drażniło go. Parokrotnie zbierał się do odejścia.

Nagle usłyszał na zewnątrz kroki i drzwi otworzyły się.

— Tak bardzo się spóźniłeś, Henryku! — burknął.

— Niestety, to nie Henryk, panie Gray — odpowiedział ostry głos.

Odwrócił się szybko i powstał.

— Przepraszam panią. Myślałem...

— Myślał pan, że to mój mąż. To tylko jego żona. Musi pan przedstawić mi się sam. Znam pana dobrze z fotografii. Zdaje mi się, że mąż mój ma ich coś ze siedemnaście.

— Nie siedemnaście, lady Henrykowo?

— Więc osiemnaście. A zeszłego wieczora widziałam pana z nim w operze. — Mówiła, śmiejąc się nerwowo i patrząc nań mglistymi oczami o barwie niezapominajki. Była to szczególna kobieta, ubrana zawsze w suknie pomyślane w przystępnie szalu, a włożone wśród burzy. Była wciąż kimś zajęta, a ponieważ nie znajdowała wzajemności, mogła zachować swe złudzenia. Starła się być malownicza, a wyglądała niezgrabnie. Na imię jej było Wiktoria i miała wyraźną manię chodzenia do kościoła.

— Zdaje się, lady Henrykowo, że było to na *Lohengrinie*³⁷?

— Tak, na moim ulubionym *Lohengrinie*. Wagnera przekładałam nad wszystkich muzyków. Taki jest głośny, że można ciągle mówić i nie być słyszaną. To duża zaleta, panie Gray, nieprawdaż?

Ten sam nerwowo urywany śmiech zerwał się z jej cienkich warg, a palce jej zaczęły bawić się szylkretowym³⁸ nożem do papieru.

Dorian uśmiechnął się, potrząsając głową.

— Przykro mi, lady Henrykowo, że nie podzielam pani zdania. Nigdy nie rozmawiam podczas muzyki, przynajmniej podczas dobrej muzyki. Gdy trafi się na złą, to bez wątpienia należy zagłuszyć ją rozmową.

³²Clodion, właśc. Claude Michel (1738–1814) — francuski rzeźbiarz tworzący w stylu rokoka, znany gł. z dzieł w terakocie. [przypis edytorski]

³³Cent Nouvelles — fr.: Sto opowieści, zbiór opowiadań francuskich wydany w 1455. [przypis edytorski]

³⁴Eve, Clovis (ok.1565–1634) — renesansowy francuski intrologator i księgarz. [przypis edytorski]

³⁵Małgorzata de Valois a. Małgorzata Walezjuszka (1553–1615) — królowa Francji i Nawarry. [przypis edytorski]

³⁶Manon Lescaut — właśc.: Historia kawalera des Grieux i Manon Lescaut, powieść Antoine'a Prévosta wyd. w 1731, poświęcona problemowi namiętności. [przypis edytorski]

³⁷Lohengrin — opera romantyczna niem. kompozytora Ryszarda Wagnera (1813–1883) z 1850 r., na podstawie średniowiecznej legendy o Rycerzu Łabędzia. [przypis edytorski]

³⁸szylkret — tworzywo pozyskiwane ze skorup żółwi morskich. [przypis edytorski]

— Ach, to pogląd Henryka, nieprawdaż, panie Gray? Zazwyczaj poznaję poglądy Henryka z ust jego przyjaciół. To jedyna droga, na której mogę je poznać. Proszę jednak nie myśleć, że nie lubię dobrej muzyki. Zachwycam się nią, ale również obawiam się jej. Czyni mnie zbyt romantyczną. Henryk wymawiał mi nawet, że wprost przepadam za pianistami, nieraz za dwoma naraz. Nie wiem, czemu to przypisać. Być może ich cudzoziemczyźnie. Bo wszak oni wszyscy są cudzoziemcami, nieprawdaż? Nawet jeśli są urodzeni w Anglii, po pewnym czasie stają się cudzoziemcami, czyż nie? To zręcznie z ich strony i szlachetnie dla sztuki, bo czyni ją zupełnie kosmopolityczną, nieprawdaż? Pan nigdy, panie Gray, nie był u mnie na przyjęciu, dlaczego? Musi pan przyjść. Nie mogę sobie pozwolić na orchidee, ale nie szczędzę starań o cudzoziemców. Nadają salonowi tak malowniczy wygląd. Ale oto i Henryk! Henryku, weszłam tu, aby zapytać cię o coś, zapomniałam o co, i zastałam pana Graya. Bardzo przyjemnie gawędziliśmy o muzyce. Mamy zupełnie te same poglądy. Nie, raczej wręcz przeciwnie. Ale pan był bardzo uprzejmy. Cieszę się, że go poznałam.

— Jestem zachwycony, moja kochana, wprost zachwycony — powiedział lord Henryk, wznosząc do góry czarne łuki brwi i z drwiącym uśmiechem spoglądając na ich dwoje. — Wybacz, Dorianie, że się spóźniłem. Byłem na Wardour Street po kawałek dawnego brokatu i musiałem się godzinami targować. Dziś każdy zna się na cenie wszystkiego, nie znając wartości niczego.

— Martwi mnie, że muszę już odejść — zawołała lady Henrykowa, krępująco milczenie przerywając nagle pustym śmiechem. — Obiecałam księżnej, że przejadę się z nią. Do widzenia, panie Gray. Do widzenia, Henryku. Czy jesteś gdzieś zaproszony? Ja również. Może spotkamy się u lady Thornbury.

— Prawdopodobnie, moja droga — rzekł lord Henryk, zamykając za nią drzwi.

Wyglądała, jak rajski ptak, który całą noc spędził na deszczu. Wymknęła się z pokoju, pozostawiając po sobie wątyły, migdałowy zapach. Lord Henryk zapalił papierosa i rzucił się na kanapę.

— Nie żęń się nigdy, Dorianie, z kobietą o włosach koloru słomy — powiedział, zaciągawszy się parę razy.

— Dlaczego, Henryku?

— Bo są zbyt uczuciowe.

— Ależ ja lubię ludzi uczuciowych.

— Nigdy się nie żęń, Dorianie. Mężczyzna żeni się ze znużenia, kobieta przez ciekawość: oboje doznają rozczarowania.

— Nie zdaje mi się, Henryku, abym miał się ożenić. Jestem zanadto zakochany. To twój aforyzm. Stosuję go w praktyce, jak wszystko, co mówisz.

— W kim jesteś zakochany? — po chwili zapytał lord Henryk.

— W jednej aktorce — odrzekł Dorian Gray, rumieniąc się.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— To twój debiut jest nieco pospolity.

— Nie mówiłbyś tak, Henryku, gdybyś ją zobaczył.

— Cóż to za jedna?

— Nazywa się Sybilla Vane.

— Nic o niej nie słyszałem.

— Nikt jeszcze o niej nie słyszał. Niebawem będą mówili wszyscy. Ona jest genialna.

— Mój drogi chłopcze, żadna kobieta nie jest genialna. Kobiety są dla ozdoby. Nie mają nigdy nic do powiedzenia, ale to nic mówią czarująco. Kobieta oznacza triumf ciała nad umysłem, jak mężczyzna triumf umysłu nad obyczajami.

— Henryku, jak możesz?

— Mój drogi Dorianie, to jest szczerą prawdą. Zajmuję się właśnie analizą kobiety, więc rozumiem się na tym. Przedmiot jest mniej zawiły, niż to sądziłem. Dochodzę do wniosku, że ostatecznie istnieją tylko dwa rodzaje kobiet: naturalne i malowane. Kobiety naturalne są bardzo pożyteczne. Jeśli chcesz zdobyć miano człowieka porządnego, weź jedną z nich pod ramię i poprowadź do stołu. Te drugie są bardzo czarowne. Popęlniają jednak jeden błąd. Malują się, by wyglądać młodo. Nasze babki malowały się, by wyglądać i mówić wspanialej. Róż i dowcip słyły wówczas w parze. To minęło. Kobieta jest zupełnie zadowolona, dopóki może wyglądać o dziesięć lat młodziej od swej córki. Co się tyczy

Kobieta

rozmowy, to Londyn ma pięć kobiet, z którymi warto mówić, dwie z nich nie należą do dobrego towarzystwa. Ale do rzeczy, opowiedz mi o swym geniuszu. Jak dawno ją znasz?

— Ach, Henryku, twoje poglądy mnie przerażają.

— Nie zważaj na nie. Jak dawno ją znasz?

— Około trzech tygodni.

— A gdzie ją poznałeś?

— Opowiem ci, Henryku, ale nie drwij. Ostatecznie, nie przyszłoby do tego, gdybym cię nie był poznał. Ty rozbudziłeś we mnie dziką żądzę poznania życia. Od czasu mojego spotkania z tobą, inna krew krąży w mych żyłach. Włóczęc się po parku lub po Piccadilly³⁹, przyglądałem się każdemu przechodniowi, chcąc przeniknąć, jakie życie prowadzi. Niektórzy czarowali mnie, inni budzili przerażenie. Jakby w powietrzu unosiła się trucizna. Namiętnie szukałem wrażeń... Wreszcie pewnego wieczoru koło siódmej postanowiłem wyjść na spotkanie przygody. Czuję, że ten szary, olbrzymi Londyn, z miriadami⁴⁰ ludności, równie brudnych grzeszników, jak wspaniałe są ich grzechy, jak to raz sam określiłeś, musi i dla mnie mieć coś w zapasie. Wyobrażałem sobie tysiące rzeczy. Najniebezpieczniejsze napawały mnie uczuciem zachwytu. Przypominałem sobie, coś mówił mi w ten cudny wieczór naszego pierwszego obiadu, że prawdziwa tajemnica życia polega na poszukiwaniu piękna. Sam nie wiem, czego oczekiwałem, dość że wyszedłszy z domu, skierowałem się do zachodniej dzielnicy, wikłając niebawem mą drogę w labiryncie brudnych i ciemnych ulic i pustych placów. Koło wpół do ósmej znalazłem się przed jakimś śmiesznie małym teatrykiem, z jaskrawym oświetleniem gazowym i krzykliwymi afiszami. Obskurny Żyd w najdziwniejszej kamizelce, jaką kiedykolwiek widziałem, stał u wejścia, paląc cygaro. Miał masę pierścionków, a w samym środku wyplamionego gorsu koszuli błyszczał olbrzymi brylant. „Życzy pan sobie łoży, milordzie?” zapytał, ujrawszy mnie i unióśł kapelusza z wyniosłą służbistością. Było w nim coś, Henryku, co mnie bawiło. Był taki potworny. Wiem, że będziesz śmiał się ze mnie, ale wszedłem i zapłaciłem za łożę całą gwineę⁴¹. Do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć, jak to się stało; gdybym był nie wszedł jednak, mój drogi Henryku, gdybym był nie wszedł, ominąłby mnie największy romans mego życia. Widzę, że śmiejesz się. Jesteś szkaradny!

— Nie śmieję się, Dorianie; przynajmniej nie z ciebie. Ale nie powinieneś nazywać go największym romansem swego życia. Nazwij go pierwszym twoim romansem. Będziesz zawsze kochany i zawsze zakochany. Wielkie namiętności są przywilejem ludzi niemających nic do roboty. Jedyny to pożytek dla kraju z klas próżnujących. Nie przerażaj się. Czekają cię wyjątkowe rozkosze. To dopiero początek.

— Uważałyś, że moja natura jest taka płytka? — zawołał Dorian Gray z goryczą.

— Nie, masz naturę głęboką.

— Jak to rozumiesz?

— Mój drogi chłopcze, ludzie, którzy tylko raz w życiu kochają, są naprawdę płytcy. To, co nazywają uczciwością i wiernością, jest tylko drzemką z nawyku lub brakiem wyobraźni. Wierność jest dla życia uczuciowego tym, czym dla umysłu stałość — zwykłym wyznaniem niemocy. Wierność! Zastanowię się kiedyś nad tym. Zawiera ona przede wszystkim namiętność posiadania. Zawiera w sobie wiele rzeczy, które odrzucilibyśmy chętnie, o ile mielibyśmy pewność, że nikt ich nie podniesie. Ale przerwałem ci. Opowiadaj dalej.

— Otóż siedziałem sam w obrzydliwie ciasnej łoży, mając wprost przed sobą ordynarną kurtynę. Uchyliwszy nieco portiery, rozejrzałem się po sali. Było to coś niesłychanie jaskrawego, przepelnionego mnóstwem kupidynów i rogów obfitości, niczym trzeciorzędny kołacz weselny. Galeria i parter wypełnione były szczelnie, ale dwa rzędy brudnych łóż świeciły pustkami, z rzadka widniała jakaś osoba na tak zwanych pierwszorzędnych miejscach. Kobiety roznosiły pomarańcze i piwo z imbirem, a wszędzie jedzono orzechy.

³⁹Piccadilly — jedna z głównych ulic w Londynie, biegnąca od Hyde Park Corner na zachodzie do placu Piccadilly Circus na wschodzie. [przypis edytorski]

⁴⁰miriada (z gr. *myriads*) — grecki liczebnik oznaczający dziesięć tysięcy, używany zwykle w liczbie mnogiej na określenie ogromnej, trudnej do policzenia liczby czegoś. [przypis edytorski]

⁴¹guinea — dawna angielska moneta ze złota, później zwyczajowa nazwa jednostki obrachunkowej równej 21 szylingom (funt i jeden szyling), używana głównie do określania cen towarów luksusowych, honorariów itp. [przypis edytorski]

— Musiało tam być jak za świetnych dni dramatu angielskiego.

— Zupełnie, tak sobie to wyobrażałem, i to było bardzo przygnębiające. Zacząłem się nawet zastanawiać, co robić dalej, gdy właśnie wpadł mi w oczy afisz. Zgadnij, Henryku, co grano?

— Zapewne *Głupiego chłopca, czyli Niewinnego niemowę*. Nasi ojcowie musieli lubić podobne sztuczki. Im dłużej żyję, Dorianie, tym wyraźniej czuję, że co wystarczało naszym ojcom, nam już nie wystarcza. W sztuce, tak jak w polityce, dziadkowie nigdy nie mają racji.

— Nie, Henryku, tym razem sztuka i dla nas była dobra. Grano *Romea i Julię*. Przyznaję, że byłem nieco przerażony widokiem zobaczenia Szekspira w tej nędznej budzie. Po części wszakże byłem też zaciekawiony. W każdym razie na pierwszy akt postanowiłem pozostać. Ohydną orkiestrą dyrygował jakiś młody Hebrajczyk przy rozstrojonym fortepianie. To mnie omal nie wypłoszyło, ale ostatecznie podniesiono kurtynę i przedstawienie rozpoczęło się. Romea grał jakiś starszy jegomość z uczernionymi brwiami, z ochrypłym głosem tragika i z postawą kształtu beczki piwa. Merkucjo był nie lepszy, szarżujący błazen, który wplatał własne dowcipy i był na poufalej stopie z galerią. Obaj byli równie śmieszni, jak scena, która wyglądała, jakby przeniesiono ją z jakiejś zapadłej szopy. Ale Julia! Wyobraź sobie, Henryku, dziewczynę lat zaledwie siedemnastu, o twarzy podobnej do kwiatu, o małej greckiej głowie, ujętej w koronę ciemnobrązowych warkoczy, o oczach fioletowych od uczucia, o ustach jak płatki różane. To najczarowniejsza istota, jaką kiedykolwiek widziałem. Mówiłeś raz, że nie podziela na ciebie patos, ale piękność, sama piękność może wycisnąć ci łzy z oczu. Mówię ci, Henryku, zaledwie ujrzałem tę dziewczynę, łzy przesłoniły mi oczy. A jej głos — podobnego nie słyszałem w życiu. Z początku był bardzo cichy, o miękkich, głębokich tonach, oddzielnie wpadających w ucho. Później stał się silniejszy i brzmiał jak flet lub dalekie tony oboju. W scenie ogrodowej drżało coś ze wzruszenia, jakie odczuwamy, słuchając śpiewu słowików przed świtem. Później były chwile, że oddawał dziką namiętność skrzypiec. Wiesz przecież, jak działa na mnie głos. Głosu twego i głosu Sybilli Vane nie zapomnę nigdy. Gdy zamknę oczy, słyszę obydwa i każdy jest odmienny. Nie wiem, za którym mam pójść. Czemuż nie miałbym jej kochać? Henryku, kocham ją. Jest dla mnie wszystkim. Co wieczór idę patrzeć na jej grę. Jednego wieczoru jest Rozalindą⁴², następnego Imogena⁴³. Widziałem ją umierającą w ponurym mroku włoskiej kaplicy, gdy wypila truciznę z ust kochanka. Śledziłem ją, gdy przebiegała Las Ardeński, przebrana za ślicznego chłopca, w hajdawerki, kurtkę i czapkę. Jako oblakana przyszła do występного króla, niosąc mu rutę i gorzkie zioła. Była niewinna, a czarne ręce zawiści złamały ją niczym źdźbło trawy. Widziałem ją w każdej sztuce i w każdym kostiumie. Kobiety pospolite nie działają na naszą wyobraźnię. Są ograniczone swoim stuleciem. Żadne mamidło ich nie przeobrazi. Dusze ich poznajemy równie łatwo, jak ich kapelusze. Można je widywać zawsze. Nie otacza ich żadna tajemnica. Rano wyjeżdżają do parku, a po południu paplają przy herbacie. Zawsze mają swój stały uśmiech i modną postawę. Widzimy je na wskroś. Inaczej aktorka! Jakże inna jest od nich! Henryku! Czemu mi nie powiedziałeś, że jedyną istotą godną miłości jest aktorka?

— Ponieważ kochałem ich wiele, Dorianie.

— Och, tak, okropne istoty z farbowanymi włosami i umalowaną twarzą.

— Nie gardź farbowanymi włosami i malowaną twarzą. Mają niekiedy dziwny urok — rzekł lord Henryk.

— Żałuję teraz, że opowiedziałem ci o Sybilli Vane.

— Musiałeś mi opowiedzieć, Dorianie. Przez całe życie będziesz mi opowiadał wszystko, co zrobisz.

— Tak, Henryku, i mnie się wydaje, że tak będzie. Nie zdołam niczego przed tobą ukryć. Masz nade mną dziwną władzę. Gdybym nawet popełnił zbrodnię, tobie ją wyznam. Ty mnie zrozumiesz.

⁴²Rozalinda — bohaterka idyllicznej komedii *Jak nam się podoba* Szekspira, córka wygnanego księcia, mieszkająca w Lesie Ardeńskim w przebraniu pasterza. [przypis edytorski]

⁴³Imogena — postać kobieca ze sztuki *Cymbelin* Szekspira, córka tytułowego króla Brytanii. [przypis edytorski]

— Ludzie jak ty, słoneczne promienie życia, nie popełniają zbrodni, Dorianie. Jestem ci jednak wdzięczny za zaufanie. A teraz powiedz mi — bądź tak dobry i podaj mi zapalki — dziękuję ci — powiedz mi, jak daleko zaszedłeś z Sybillą Vane?

Dorian Gray zerwał się na równe nogi z twarzą w płomieniach i ogniem w oczach.

— Henryku! Sybilla jest święta!

— Tylko rzeczy świętych warto dotykać, Dorianie — rzekł lord Henryk z dziwnym odcieniem patosu w głosie. — Dlaczego jednak się gniewasz? Spodziewam się, że pewnego dnia będzie twoja. Gdy kochamy, zaczynamy najpierw ludzić siebie, aby skończyć ludzeniem drugich. Właśnie to nazywa świat romansem. W każdym razie, przypuszczam, że ją znasz?

— Znam ją, oczywiście. Już za moją pierwszą bytnością w teatrze, po przedstawieniu przyszedł do mej łoży ów obrzydliwy Żyd z propozycją, że zaprowadzi mnie za kulisy i przedstawi jej. Byłem na niego wściekły i powiedziałem mu, że Julia zmarła przed wiekami i że jej prochy spoczywają w marmurowym grobowcu w Weronie. Sądząc z jego rozbawionego spojrzenia, podejrzewałem, że piłem za dużo szampana lub coś podobnego.

— To mnie nie dziwi.

— Spytał mnie potem, czy pisuję do jakiej gazety. Odpowiedziałem mu, że nie czytam żadnej. Wydawał się bardzo tym rozczarowany i zwierzył mi się, że wszyscy krytycy teatralni uwzięli się na niego i że każdego z nich można przekupić.

— Nie byłbym zdziwiony, gdyby miał słuszną. Skądinąd jednak, sądząc z ich wyglądu, wielu z nich nie musi się drożyć.

— Tak, ale on wyobrażał sobie, że to przerasta jego środki — roześmiał się Dorian. — Tymczasem pogaszono lampy w teatrze i musiałem pójść. Należał jeszcze, abym spróbował cygara, które mi bardzo zachwalał, ale odmówiłem. Następnego wieczora znowu oczywiście poszedłem. Gdy mnie zobaczył, skłonił się nisko, nazywając wspaniałomyślnym mecenasem sztuki. Było to nachalne bydlę, ale miał nadzwyczajne upodobanie do Szekspira. Opowiadał mi raz z dumną miną, że swoje potrójne bankructwo zawdzięczał „bardowi”, jak upierał się go nazywać. Zdaje się, że uważał to sobie za zasługę.

— To była zasługa, mój drogi Dorianie, duża zasługa. Większość ludzi bankrutuje z powodu nadmiernego zaplątania się w prozie życiowej. Być zrujnowanym wyłącznie przez poezję to zaszczyt. Kiedyż jednak rozmawiałeś po raz pierwszy z panną Sybillą Vane?

— Trzeciego wieczora. Grała Rozalindę. Nie potrafiłem powstrzymać się od pójścia za kulisy. Rzuciłem jej parę kwiatów, za co spojrzała na mnie; tak mi się przynajmniej zdawało. Stary Żyd nalegał, że pokaże mi cały budynek, więc zgodziłem się pójść z nim. Nie jestże to dziwne, iż nie chciałem jej poznać?

— Wcale nie.

— Dlaczego, mój drogi Henryku?

— Odpowiem ci kiedy indziej. Teraz mów mi dalej o dziewczynie.

— O Sybilli? Ach, była taka nieśmiała i taka wdzięczna. Ma w sobie coś z dziecka. Kiedy mówiłem do niej, co sędzę o jej grze, oczy jej rozszerzyły się czarującym zdumieniem i wydawała się nieświadoma swej mocy. Zdaje się, że oboje byliśmy nieco podnieceni. Stary Żyd wykrzywił się obrzydliwie w korytarzu zakurzonej garderoby, rozprawiając coś o nas dwojgu, gdy my patrzyliśmy na siebie jak dwoje dzieci. Uparł się nazywać mnie „milordem”, musiałem tłumaczyć Sybilli, że nim nie jestem. Odpowiedziała mi całkiem po prostu: „Wygląda pan raczej na księcia. Będę nazywała pana księciem z bajki”.

— Dalibóg, Dorianie, panna Sybilla umie prawić pochlebstwa.

— Ty jej nie rozumiesz, Henryku. Uważała mnie po prostu za jakąś postać z dramatu. Wcale nie zna życia. Mieszka u matki, zwiędłej, znużonej kobiety, która pierwszego wieczora grała panią Kapulet w czymś żółtym w rodzaju peniuaru, a wygląda, jakby pamiętała lepsze czasy.

— Znam taki wygląd. To mnie przygnębia — mruknął lord Henryk, przyglądając się swym pierścieniom.

— Żyd chciał mi opowiedzieć jej historię, ale powiedziałem, że to mnie nie obchodzi.

— Miałaś słuszną. Cudze tragedie mają w sobie zawsze jakąś niezmierną pospolitość.

Żyd

— Mnie zajmuje wyłącznie Sybilla. Co mi po tym, skąd ona jest? Od małej głowy aż do małej stopy jest bezwzględnie i całkowicie boska. Co wieczora chodzę patrzeć na jej grę i co wieczora jest coraz bardziej czarująca.

— Więc dlatego nigdy teraz nie jadasz ze mną obiadu. Posądzam cię, że jesteś w toku jakiegoś ciekawego romansu. Nie myliłem się, ale to jest co innego, niż przypuszczałem.

— Mój drogi Henryku, przecież niemal codziennie jemy razem śniadanie lub kolację i kilka razy byłem z tobą w operze — rzekł Dorian Gray, ze zdumienia rozszerzając swe błękitne źrenice.

— Przychodzisz zawsze strasznie późno.

— Bo istotnie — wykrzyknął — nie mogę odmówić sobie, aby nie pójść popatrzeć na grę Sybilli, chociażby przez jeden akt. Łaknę jej obecności, a gdy myślę o tej cudownej duszy, ukrytej w tym drobnym ciele z kości słoniowej, przejmuję mnie zbożny lęk.

— Dorianie, chyba dziś będziesz mógł towarzyszyć mi przy obiedzie?

Potrząsnął głową przecząco.

— Dziś wieczór jest Imogena — odparł — a jutro wieczór będzie Julia.

— Kiedy jest Sybillą Vane?

— Nigdy.

— Winszuję ci.

— Jakiś ty wstrętny! Ona jest naraz wszystkimi wielkimi bohaterkami świata. Ona jest więcej niż osobą. Ty się śmiej, a ja cię zapewniam, że ona jest geniuszem. Kocham ją i ona musi mnie pokochać. Ty, który znasz wszystkie tajemnice życia, powiedz mi, jak oczarować Sybillę Vane, aby mnie pokochała? Chcę, aby Romeo był o mnie zazdrosny. Chcę, aby zmarli kochankowie całego świata posmutnieli, słysząc nasz śmiech. Chcę, aby tchnienie naszego uczucia ożywiło ich prochy świadomością, popioły ich przejęło troską. Mój Boże, jak ja ją ubóstwiam, Henryku!

Mówiąc, chodził po pokoju tam i z powrotem. Jego policzki pokryły się gorączkowym rumieńcem. Był strasznie podniecony.

Lord Henryk patrzył na niego z łagodnym uczuciem zadowolenia. Jakże inny był teraz od trwożliwego, nieśmiałego chłopca z pracowni Bazylego Hallwarda! Jego istota rozwinęła się w kwiat, rozkwitła szkarłatnym płomieniem. Z utajonej kryjówki wyrzała jego dusza, spotykając na swej drodze pragnienie.

— A co ty zamierzasz? — rzekł wreszcie lord Henryk.

— Chciałbym, abyście ty i Bazyl poszli ze mną któregoś wieczora zobaczyć jej grę. Nie mam żadnych obaw o wynik waszej oceny. Na pewno uznacie jej geniusz. Musimy wyzwolić ją z rąk tego Żyda. Jest z nim związana na trzy lata — właściwie, od teraz, na dwa lata i osiem miesięcy. Muszę mu, oczywiście, zapłacić odszkodowanie. Gdy to wszystko załatwię, wynajmę jeden z teatrów w West End⁴⁴ i dam jej możliwość godnego jej wystąpienia. Oczaruje cały świat, jak oczarowała mnie.

— To niemożliwe, mój drogi chłopcze.

— A jednak tak będzie. Ona nie tylko jest artystką, nie tylko posiada zmysł artystyczny, ale jest również indywidualnością, a ty mi przecież mówiłeś, że indywidualności, nie zasady, rządzą światem.

— Kiedy zatem pójdziemy?

— Zaczekaj. Dziś jest wtorek. Powiedzmy, jutro. Jutro gra Julię.

— Dobrze. Czekam w Bristolu o ósmej i przyprowadzę Bazylego.

— Nie o ósmej, proszę cię, Henryku. O wpół do siódmej. Musimy być przed podniesieniem kurtyny. Musicie zobaczyć ją w pierwszym akcie, kiedy spotyka Romea.

— O wpół do siódmej! Co za godzina! To jakby proszona herbata w dzień albo czytanie angielskiej powieści. Już najwcześniej o siódmej. Nikt z towarzystwa nie jada przed siódmą. Czy zobaczysz się przedtem z Bazylim? Czy ja mam napisać do niego?

— Kochany Bazyl! Nie widziałem go od tygodnia. Brzydko to właściwie z mej strony, zwłaszcza, że przysłał mi mój portret w cudnej ramie, którą umyślnie zamawiał według własnego rysunku, a choć zazdroszczę nieco obrazowi, gdyż jest o cały miesiąc ode mnie młodszy, ale muszę przyznać, że cieszę się nim bardzo. Może lepiej napisz do niego. Nie

⁴⁴West End — obszar centralnego Londynu na zachód od City of London, stanowiący rozrywkowe i handlowe centrum miasta, z wieloma teatrami, lokalami rozrywkowymi, sklepami i przedsiębiorstwami. [przypis edytorski]

chciałbym być z nim sam na sam. Mówi mi rzeczy, które mnie gniewają. Udziela mi dobrych rad.

Lord Henryk uśmiechnął się.

— Ludzie lubią o dawać to, czego najwięcej potrzebują sami. Nazywam to przepaścią dobrodziejstwa.

— O, Bazyli jest najlepszym człowiekiem pod słońcem, ale wydaje mi się nieco filistrem⁴⁵. Zauważyłem to wówczas dopiero, gdy poznałem ciebie, Henryku.

— Bazyli, mój drogi chłopcze, cały czas, jaki posiada, wciela w sztukę. Dlatego na potrzeby własnego życia pozostały mu tylko przesady, zasady i zdrowy rozsądek. Ze znanych mi artystów ci, którzy czarują sobą, są marnymi artystami. Dobrzy artyści istnieją tylko w tym, co tworzą, jako ludzie są zgoła nieciekawi. Wielki poeta, naprawdę wielki poeta jest najbardziej niepoetycznym stworzeniem. Ale poeci podrzędni są czarujący. Im gorsze ich rymy, tym bardziej malowniczo wyglądają sami. Już samo to, że ktoś ogłosił tom lichych sonetów, czyni go niezwykłym. On żyje poezją, której nie umiałby napisać. Inni piszą poezje, której nie umieliby urzeczywistnić.

— Czyż tak jest naprawdę, Henryku? — rzekł Dorian Gray, skrapiając swą chusteczkę perfumami z postawionego na stole dużego złotego flakonu. — Tak być musi, jak mówisz. A teraz odchodzę. Imogena czeka na mnie. Nie zapomnij o jutrze. Do widzenia.

Gdy wyszedł z pokoju, lord Henryk, przymknąwszy swe ciężkie powieki, począł rozmyślać. Mało ludzi zajmowało go do tego stopnia, co Dorian Gray, a teraz szalona miłość młodzieńca dla kogoś innego sprawiała mu niemały ból przykrości lub zazdrości. Podobalo mu się to jednak. Zagadnienie stawało się bardziej zajmujące. Górowało w nim zawsze upodobanie do metod nauk przyrodniczych, choć zwykły przedmiot ich badań wydawał mu się pospolity i bez znaczenia. Zaczął więc analizować samego siebie, aby skończyć na analizowaniu bliźnich. Życie ludzkie było dla niego jedynym przedmiotem godnym badania. W porównaniu z nim nic nie miało wartości. Oczywiście, ktokolwiek przyglądał się życiu w jego ciekawym tyglu trudu i radości, ten nie może zasłaniać twarzy szklaną maską, która by ochroniła jego mózg od wyziewów siarczanych, mącących go i zatrujących wyobraźnię potwornymi widziadłami i szpetnymi rojeniami. Istnieją trucizny tak łagodne, że trzeba zachorować przez nie, aby doświadczyć ich działania. Istnieją choroby tak niezwykle, że trzeba je przeżyć, by zrozumieć ich istotę. A jakaż wielka za to nagroda! Jak cudowny staje się wówczas cały świat! Zgłębiać dziwnie nieugiętą logikę namiętności i burzliwie barwne życie umysłu, podpatrywać, gdzie łączą się, a gdzie rozdzielają, gdzie zlewają się w harmonię, a gdzie brzmią dysonansem — na tym polega rozkosz! Cóż znaczy cena? Za silne wrażenie jeszcze nikt nie zapłacił za drogo.

Był przeświadczony — a świadomość ta błyskiem triumfu zaświeciła w jego agatowych, ciemnych oczach — że to dzięki potędze jego słów, słów melodyjnych i wypowiedzianych głosem melodyjnym, dusza Dorian Gray zwróciła się ku tej białej dziewczynie, aby ugiąć się przed nią w zbożnym podziwieniu. Młodzieniec był w dużej mierze jego dziełem. Rozwinał go przedwcześnie. I to coś znaczy. Zwykli ludzie czekają, aż życie odsłoni im swe tajemnice, a tylko nieliczni, tylko wybrani oglądają je przed uchYLENIEM zasłony. Niekiedy bywa to wynikiem sztuki, zwłaszcza sztuki słowa, która czerpie bezpośrednio z uczuć i z umysłu. Ale od czasu do czasu jakaś złożona indywidualność bierze na siebie rolę sztuki, sama stając się sztuką, bo i życie ma swe arcydzieła, podobnie jak poezja, rzeźba i malarstwo.

Tak, młodzieniec dojrzał przedwcześnie. Zbierał swoje żniwo w porze wiosennej. Namiętnie tętniła w nim młodość, ale już zdobywał świadomość samego siebie. Rozkoszą było przyglądać mu się. Wraz ze swą piękną głową i piękną duszą był rzeczą godną podziwu. Nie pora zastanawiać się, jak się to skończy lub co mu jest w końcu przeznaczone. Był niby któraś z wdzięcznych postaci jakiejś płaskorzeźby lub dramatu, których radości są tak nam dalekie, cierpienia budzą w nas zmysł piękna, a rany są jak róże czerwone.

Dusza i ciało, ciało i dusza — jakże są tajemnicze! Dusza ukazuje właściwości ciała, a ciało ma swe chwile uduchowienia. Zmysły mogą uszlachetniać się, a duch poniżać. Kto zdoła powiedzieć, gdzie kończą się popędy ciała, a gdzie zaczynają się pragnienia ducha? Jakże płytkie są arbitralne określenia zwykłych psychologów! A jednak jakże trudno ro-

⁴⁵filister (pogardl.) — mieszcuch o ograniczonych horyzontach. [przypis edytorski]

zejrzeć się wśród twierdzeń różnorodnych szkół! Czy dusza jest cieniem, przebywającym w domu grzechu? Albo byłoby ciało w duszy, jak mniemał Giordano Bruno⁴⁶? Oddzielenie ducha od materii jest tajemnicą, tajemnicą również jest połączenie ducha z materią.

Począł rozmyślać nad tym, czy uda nam się kiedyś podnieść psychologię na wyżyny nauki tak ściśle, że będzie mogła odkrywać najdrobniejsze źródła życia. Tak, jak jest teraz, błędnie rozumiemy samych siebie i rzadko rozumiemy bliźnich. Doświadczenie nie posiada wartości etycznej. Jest ono tylko nazwą, którą człowiek nadał swym pomyłkom. Moralisci uważali je na ogół za przestrożę, przyznawali mu pewną wartość etyczną w kształceniu charakteru, cenili jako naukę, za czym należy dążyć, a co omijać. W doświadczeniu nie ma jednak zgoła siły czynu. Jest ono równie drobnym czynnikiem działania, jak sumienie. Czego jedynie dowodzi, to tego, że nasza przyszłość będzie podobna do przeszłości i że grzech, w jaki popadliśmy z obrzydzeniem, popełnimy wiele razy, i to z przyjemnością.

Było dlań jasne, że metoda doświadczalna jest jedyną, która umożliwia naukowe zbada-
nie uczuć, i że Dorian Gray jest bez wątpienia przedmiotem wprost do tego stworzo-
nym, obiecującym wynik bogaty i owocny. Jego nagła, szalona miłość do Sybilli Vane
była objawem psychologicznym nader zajmującym. Ciekawość odgrywa tu, bez wątpie-
nia, dużą rolę, ciekawość i chęć nowych doświadczeń. Nie było to jednak uczucie proste,
lecz raczej niezwykle złożone. Co było w nim z czysto zmysłowych pobudek młodości,
przetworzyło się pracą wyobraźni, przemieniło w coś, co dla samego młodzieńca wy-
dawało się dalekie od wszelkiej zmysłowości, stając się tym bardziej niebezpieczne. Bo
właśnie te uczucia, których powstanie mylnie oceniamy, tym bezwzględniej ovladają na-
mi. Najślabse są te popędy, które sobie uświadomiliśmy. Nieraz wydawało się nam, że
czynimy doświadczenia na bliźnich, gdy w istocie doświadczaliśmy siebie samych.

Lord Henryk był pogrążony w rozmyślaniach, gdy nagle zapukał do drzwi służący, aby
oznajmić, że czas przebrać się do obiadu. Wstał i wyjrzał przez okno na ulicę. Zachodzące
słońce szkarłatnym złotem oblewało górne okna przeciwległego domu. Szyby płonęły jak
płyty rozżarzonego do czerwoności metalu. Wyżej niebo przybrało barwy zwiędłej róży.
Przyszło mu na myśl płomienne młode życie przyjaciela i zadał sobie w myśli pytanie, jaki
będzie jego koniec.

Gdy o wpół do pierwszej w nocy powrócił do domu, w poczekalni na stole zastał
despezę. Otworzył ją. Była od Doriana Graya, który donosił, że zaręczył się z Sybillą
Vane.

ROZDZIAŁ V

— Matko, matko, taka jestem szczęśliwa! — wzdychała dziewczyna, chowając twarz
w suknię zwiędłej, znużonej kobiety, siedzącej na fotelu, będącym w pokoju jedynym
sprzętem do tego użytku, odwróconej plecami do przenikliwie rażącego światła. — Taka
jestem szczęśliwa! — powtarzała — i ty także musisz być bardzo szczęśliwa!

Pani Vane zadrżała i położyła swe chude, wybielone bizmutem⁴⁷ ręce na głowie córki.

— Szczęśliwa! — powtórzyła. — Tylko wtedy jestem szczęśliwa, Sybillo, gdy widzę
cię na scenie. Tylko o scenie powinnaś myśleć. Pan Isaacs był dla nas bardzo dobry i winne
jesteśmy mu dosyć dużo pieniędzy.

Dziewczyna podniosła nadąsaną twarz.

— Pieniądze, matko? — zawołała. — Cóż nas obchodzą pieniądze? Miłość znaczy
więcej niż pieniądze.

— Pan Isaacs dał nam pięćdziesiąt funtów zaliczki na spłcenie naszych długów i na
sprawienie przyzwoitego ubrania dla Jakuba. Nie powinnaś zapominać o tym, Sybillo.
Pięćdziesiąt funtów to duża kwota. Pan Isaacs był dla nas bardzo życzliwy.

— On, matko, nie jest dobrym człowiekiem, nienawidzę sposobu, w jaki rozmawia
ze mną — rzekła dziewczyna, wstając i podchodząc do okna.

⁴⁶*Bruno, Giordano* (1548–1600) — włoski filozof, humanista; łączył różne kierunki filozoficzne, naukowe i religijne, przedstawiciel renesansowej filozofii przyrody, zwolennik poglądów Kopernika; spalony na stosie przez inkwizycję. [przypis edytorski]

⁴⁷*bizmut* — metal, którego sproszkowane związki stosowano jako kosmetyk nadający biel skórze. [przypis edytorski]

— Nie mam pojęcia, jak byśmy dały sobie radę bez niego — odparła z żalem starsza kobieta.

Sybilla Vane wstrząsnęła głową i roześmiała się.

— Nie potrzebujemy go więcej, matko. Teraz książe z bajki myśli za nas. — Zamilkła. Krew uderzyła jej do twarzy, oblewając pąsem jej policzki. Szybki oddech rozchylił płatki jej warg. Drżały. Południowy wietrzyk uczucia owionął ją i poruszył fałdy jej sukni. — Kocham go — rzekła po prostu.

— Głupi dzieciaku! Głupi dzieciaku! — zabrzmiało w odpowiedzi papuzie zdanie. Ruch krzywych, lśniących od fałszywych kamieni palców dodawał śmieszności jej słowom.

Dziewczę śmiało się ciągle. W głosie jej brzmiała radość ptaka z klatki. Oczy jej chwyciły melodię, promieniając nią, po czym przymknęły się na chwilę jakby dla ukrycia tajemnicy. Gdy je otworzyła, przeszła po nich mgła marzenia.

Z wypełzłego fotela wąskie wargi mądrości głosiły roztropność czerpaną z księgi tchórzostwa, której autor nadużywa miana zdrowego rozsądku. Nic nie słyszała. Czula się wolna w więzieniu uczucia. Był z nią jej książe, książe z bajki. W pamięci odtwarzała go sobie. Wysłała swą duszę na poszukiwanie go i ona jej go przywiodła. Jego pocałunek palił jej usta. Jego powieki były gorące od jego oddechu.

Mądrość zmieniła wówczas metodę, mówiąc o potrzebie wywiadu i zbadania. Młody człowiek może być bogaty. Jeżeli tak, należałoby pomyśleć o ślubie. O muszlę jej ucha uderzyły fale życiowej chytryści. Świsnęły w nią strzały przebiegłości. Widziała, że wąskie wargi poruszają się, i uśmiechnęła się.

Nagle poczuła potrzebę mówienia. Zaniepokoiło ją jej własne milczenie.

— Matko, matko — zawołała — dlaczego on mnie tak bardzo kocha? Ja wiem, dlaczego go kocham. Kocham go, bo on wydaje mi się samą miłością. Ale co on widzi we mnie? Nie jestem go warta. A jednak... dlaczego, nie umiem wyrazić tego... choć wydaję się sama sobie tyle gorsza od niego, nie czuję się upokorzona. Jestem dumna, bardzo dumna. Mamo, czy tak kochała mego ojca, jak ja kocham księcia z bajki?

Stara kobieta pobladła pod grubą warstwą pudru, a jej suche wargi chwycił skurcz bólu. Sybilla przypadła do niej, oplotła jej szyję ramionami i poczęła ją całować.

— Wybacz mi, matko. Wiem, że wspomnienie ojca sprawia ci przykrość, ale to dlatego, że tak bardzo go kochałaś. Nie bądź smutna. Taka jestem dziś szczęśliwa, jak ty przed dwudziestu laty. Ach, pozwól mi być zawsze szczęśliwą!

— Moje dziecko, jeszcześ za młoda, aby oddawać się miłości. Zresztą, cóż ty wiesz o tym młodym człowieku? Nawet nie wiesz, jak się nazywa. Wszystko to nie na miejscu, i doprawdy teraz, kiedy mam tyle kłopotów z wyjazdem Jakuba do Australii, mogłabyś być rozsądniejsza. Choć, jak już powiedziałam, jeżeli jest bogaty...

— Ach, matko, matko, pozwól mi być szczęśliwą!

Pani Vane spojrzała na nią i chwyciła ją w objęcia tym sztucznym ruchem teatralnym, jaki dla aktora staje się często drugą naturą. W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody chłopak o ciemnym, najeżonym włosie. Miał przysadzistą postawę, duże ręce i nogi, w ruchach był niezgrabny. Nie miał w sobie nic z wdzięku siostry. Z trudnością można było pomyśleć o łączącym ich bliskim pokrewieństwie. Pani Vane utkwiała w nim oczy, uśmiechając się silniej. W jej wyobraźni syn wyrastał do godności widowni. Była przekonana, że obraz był zajmujący.

— Mogłabyś, Sybillo, zachować trochę pocałunków dla mnie — dobrodusznie mruknął chłopak.

— Ach, przecież ty, Jakubie, nie lubisz całowania — zawołała. — Straszny z ciebie niedźwiedź. — Podbiegła ku niemu przez pokój i uścisnęła go.

Jakub Vane patrzył na siostrę z czułością.

— Przyszedłem zabrać cię, Sybillo, na przechadzkę. Nie wiem, czy zobaczę jeszcze kiedyś ten obrzydliwy Londyn. Najpewniej nie.

— Nie mów, synu, tak strasznych rzeczy — wyszeptala pani Vane, biorąc się do łatania jakiegoś jaskrawego ubioru teatralnego. Była nieco rozczarowana, że syn nie przyłączył się do grupy. Byłby tak podniósł teatralną malowniczość sytuacji.

— Czemu nie, matko? Tak mi się zdaje.

Miłość

— Przykrość mi sprawiasz, synu. Mam nadzieję, że wrócisz z Australii na dobre stanowisko. Zdaje mi się, że w koloniach wcale nie ma ludzi z towarzystwa, z tego, co ja nazywam towarzystwem; kiedy więc zrobisz majątek, wrócisz i osiadziesz w Londynie.

— Towarzystwo! — burknął chłopak. — Nie chcę słuchać o nim. Pragnąłbym zarobić tyle pieniędzy, by ciebie i Sybillę zabrać z teatru. Nienawidzę go.

— Och, Jakubie! — rzekła Sybilla, śmiejąc się. — Jakże to nieładnie z twojej strony! Ale czy naprawdę chcesz przejść się ze mną? To byłoby miłe! Bałam się, że pójdziesz pożegnać się z którymś z twych przyjaciół, z Tomem Hardy, który ci dał tę szkaradną fajkę, albo z Nedom Langtonem, który drwi z ciebie, że ją palisz. Bardzo to ładnie z twojej strony, że chcesz poświęcić mi ostatnie swe popołudnie. Dokąd pójdziemy? Najlepiej do parku.

— Jestem zanadto oberwany — odparł, marszcząc brwi. — Do parku chodzą tylko eleganci.

— Głupstwo, Jakubie! — prosiła, gładząc go po ubraniu.

Wahał się przez chwilę.

— Dobrze — rzekł w końcu — ale nie ubieraj się za długo.

Tańcząc, wybiegła z pokoju. Słychać było jej śpiew, gdy wbiegała na górę. Jej małe stopy stuknęły o schody.

Dwa lub trzy razy przeszedł się po pokoju, po czym zwrócił się do cichej postaci w fotelu.

— Matko, czy moje rzeczy gotowe? — zapytał.

— Wszystko gotowe, Jakubie — odparła, chowając oczy w robotę. Od kilku miesięcy krępowała ją pozostawanie sam na sam z szorstkim i ostrym synem. Jego wzrok niepokoił jej płytką, a jednak skrytą naturę. Zastanawiała się, czy on czegoś nie podejrzewa. Milczenie, bo nic więcej nie mówił, wydawało się jej nieznośne. Poczęła się użalać. Kobiety bronią się, nacierając, jak nacierają, poddając się nagle i nieoczekiwanie. — Spodziewam się, Jakubie, że będziesz zadowolony z życia na morzu — rzekła. — Nie zapominaj, że sam je sobie wybrałeś. Mógłbyś być dostać zajęcie u adwokata. Adwokaci są zawodem bardzo poważnym i na prowincji często bywają przyjmowani w najlepszych domach.

Kobieta

— Nienawidzę urzędów i nienawidzę urzędników — odparł. — Ale masz zupełną słuszość. Sam wybrałem sobie życie. Wszystko, co chcę ci powiedzieć, to abyś strzegła Sybilli. Nie pozwól skrzywdzić jej. Matko, strzeż jej.

— Jakubie, doprawdy, mówisz bardzo dziwnie. Oczywiście, że strzeżę Sybilli.

— Słyszałem, że jakiś pan codziennie jest w teatrze, przychodzi do niej i rozmawia z nią. Czy to prawda? Co to znaczy?

— Jakubie, mówisz o rzeczach, których nie rozumiesz. W naszym zawodzie przywykłyśmy przyjmować dowody uznania. W swoim czasie i ja otrzymałam niejedną bukiet. Było to wtedy, kiedy naprawdę rozumiano się na teatrze. Co do Sybilli, to na razie nie wiem, czy jej przywiązanie jest poważne. Nie ulega jednak wątpliwości, że ów młody człowiek jest prawdziwym panem. Jest zawsze nadzwyczaj dla mnie uprzejmy. Poza tym zdaje się być bardzo bogaty i przysyła bardzo ładne kwiaty.

— Nazwiska jego nie znasz — rzekł chłopak szorstko.

— Nie — odparła matka z wyrazem spokoju na twarzy. — Nie wyjawiał jeszcze prawdziwego nazwiska. To bardzo romantycznie. Należy zapewne do arystokracji.

Jakub Vane przygryzł wargi.

— Strzeż Sybilli, matko! — zawołał. — Strzeż jej.

— Synu mój, nękaś mnie bardzo. Sybilla pozostaje zawsze pod moją troskliwą opieką. Oczywiście, jeżeli ten pan jest bogaty, nie widzę powodu, aby przeszkadzać ich związkowi. Najpewniej należy do arystokracji. W zupełności wygląda na to. Mogłoby to być dla Sybilli wspaniałe małżeństwo. Byłaby z nich cudowna para. Jest istotnie bardzo piękny; wszyscy to zauważyli.

Chłopak mruczał coś przez zęby, grubymi palcami bębniąc po szybie. Odwrócił się właśnie, aby powiedzieć coś, gdy otworzyły się drzwi i wbiegła Sybilla.

— Jacy poważni jesteście oboje! — zawołała. — Co się stało?

— Nic — odparł. — Czasami trzeba być poważnym. Do widzenia, matko, przyjdę o piątej na obiad. Oprócz koszul wszystko mam spakowane, nie potrzebujesz się więc niepokoić.

— Do widzenia, mój synu — odparła z dziwnie wyniosłym ukłonem.

Gniewał ją ton, w jakim przemawiał do niej, a w jego spojrzeniu było coś, co ją trwożyło.

— Pocałuj mnie, matko — rzekła dziewczyna. Jej usta jak kwiat dotknęły zwiędłego policzka i ogrzały jego chłód.

— Moje dziecko, moje dziecko! — wykrzyknęła pani Vane, wznosząc wzrok do sufitu, szukając wyobrażanej przez siebie galerii.

— Chodź, Sybillo! — rzekł niecierpliwie brat. Nienawidził matczynej przesady.

Wyszli w migotliwe, rozedrgane od wiatru promienie słoneczne, podążyli posępną Euston Road. Przechodnie ze zdziwieniem patrzyli na nachmurzonego, ociężałego chłopca w zgrzebnym, źle dopasowanym ubraniu, towarzyszącego tak wdzięcznej i wytwornej dziewczynie. Wyglądał niczym prosty ogrodnik niosący różę.

Jakub marszczył chwilami brwi, spostzegając natrętne spojrzenia przechodniów. Miał wstręt przed zwracaniem sobą uwagi, uczucie, zjawiające się dość późno w życiu ludzi sławnych, a nieopuszczające nigdy ludzi pospolitych. Natomiast Sybilla nie zauważała wcale wrażenia, jakie wywoływała. Miłość drgała uśmiechem na jej wargach. Myślała o księciu z bajki, a chcąc swobodnie myśleć o nim, nie mówiła o nim, lecz szczebiotała o okręcie, którym ma odpłynąć Jakub, o złocie, które na pewno zdobędzie, o cudownej właścicielce skarbów, którą wyratuje z rąk niecznych zbójników w czerwonych koszulach. Bo on nie zostanie marynarzem, chłopcem okrętowym ani czymś podobnym. Ach, nie! Życie marynarza jest straszne. Wyobrazić sobie tylko, że siedzi przykuty do obrzydliwego statku, rozhukane bałwany usiłują wtargnąć, a czarna burza pochyla maszty i rwie żagle w długie, świszczące strzępy! Zaraz w Melbourne musi wysiąść, pożegnać się ładnie z kapitanem i udać się natychmiast na poszukiwanie kopalni złota. Nim tydzień upłynie, natrafi na ogromną żyłę czystego złota, większą niż kiedykolwiek odkryto, i przywiezie ją na wybrzeże na wozie pilnowanym przez sześciu policjantów. Trzykrotnie napadną go rabusie, ale zostaną odparci, poniosłszy olbrzymie straty. Albo nie. Niech nie chodzi do kopalni złota. To jakieś obrzydliwe miejscowości, gdzie ludzie upijają się po karczmach, mordują się nawzajem i używają brzydkich słów. Zostanie raczej zręcznym hodowcą owiec i pewnego wieczora, wracając do domu, zobaczy, jak na jadącą w pięknym powozie dziewczinkę napada zbójca na karym koniu, strzela doń i ratuje ją. Ona się w nim oczywiście zakocha, pobiorą się, powrócą do kraju i zamieszkają w Londynie we wspaniałym pałacu. Czeka ją go cudowne rzeczy. Ale musi być bardzo dobry, nie unosić się i nie trwonić pieniędzy. Ona jest wprawdzie tylko o rok od niego starsza, o ileż jednak lepiej zna życie. Musi pisywać do niej z każdą pocztą i co wieczór modlić się przed snem. Bóg jest bardzo dobry i będzie nad nim czuwał. Ona także będzie modliła się za niego, a po paru latach wróci bogaty i szczęśliwy.

Chłopak słuchał jej nachmurzony, nic nie odpowiadając. Opuszczał dom z ciężkim sercem.

Nie tylko to jednak gnębiło go i zasepiało. Mimo braku doświadczenia doskonale zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, grożącego Sybilli w jej zawodzie. Ten młody bubek, umizgujący się do niej, nie mógł mieć dobrych zamiarów. Był dżentelmenem i za to go nienawidził, nienawidził go przez jakiś dziwny instynkt rasowy, nie zdając sobie z niego sprawy, ale któremu dlatego właśnie tym bardziej się poddawał. Uświadamiał sobie, jak płytka i próżna z natury była matka, i widział w tym zgubę Sybilli i Sybilli nieszczęście. Dzieci z początku kochają swych rodziców; gdy są starsze, sądzą ich; czasami im wybaczą.

Jego matka! Nieraz miał zamiar spytać ją o coś, o czym od długich miesięcy rozmyślał w milczeniu. Jakieś zdanie przypadkiem usłyszane w teatrze, jakiś stłumiony śmiech, który obił się o jego uszy, gdy pewnego wieczora czekał u drzwi garderoby, obudziły w nim całą falę strasznych myśli. Przypominał sobie, że było to jakby uderzenie biczem po twarzy. Brwi ściągnęły mu się w klinowatą zmarszczkę, przygryzł dolną wargę, drgającą od bolesnego skurczu.

— Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłam, Jakubie — zawołała Sybilla — a ja snułam najświetniejsze plany na twoją przyszłość. No, powiedzże coś.

— Co chcesz, abym ci powiedział?

— Ach, że będziesz dobrym chłopcem i że nie zapomnisz o nas — odparła, uśmiechając się doń.

Wzruszył ramionami.

— Prędeż ty o mnie zapomnisz, Sybillo, niż ja o tobie.

Zarumieniła się.

— Co przez to rozumiesz, Jakubie? — zapytała.

— Słyszałem, że masz nowego przyjaciela. Kto to jest? Czemu nic o nim nie mówiłaś? On o tobie dobrze nie myśli.

— Przestań, Jakubie! — zawołała. — Nie wolno ci mówić nic przeciwko niemu. Ja go kocham.

— Jak to, ty nawet nie wiesz, jak się nazywa — odparł chłopak. — Kto to jest? Mam prawo wiedzieć o tym.

— Nazywa się: księżę z bajki. Czy nie podoba ci się to imię? Ach, niedobry chłopcze! Nie powinienes go nigdy zapomnieć. Gdybyś go raz zobaczył, uznałbyś go za najcudowniejszą istotę na świecie. Poznasz go kiedyś: gdy powrócisz z Australii. Polubisz go bardzo. Każdy go lubi, a ja... kocham go. Chciałabym, abyś przyszedł dziś wieczór do teatru. On będzie, a ja będę grała Julię. Ach, jak ją będę grała! Wyobraź sobie, Jakubie, być zakochaną i grać Julię! Wiedzieć, że on patrzy! Grać dla niego! Obawiam się, że przerażę cały zespół, przerażę albo oczaruję. Być zakochaną to wnieść się ponad siebie. Ten biedny, obrzydliwy pan Isaacs będzie nazywał mnie „geniuszem” wobec swych kompanów z baru. Rozkazywał wierzyć we mnie jak w dogmat; dziś wieczór oznajmi mnie jako objawienie. Czuję to. A wszystko to jest jego, tylko jego, księcia z bajki, mego cudownego kochanka, mego boga miłości. Ale jam biedna przed nim. Biedna. Cóż to szkodzi? Gdy bieda wchodzi drzwiami, miłość wlatuje oknem. Przysłowia nasze trzeba napisać na nowo. Układano je w zimie, a teraz jest lato; dla mnie wiosna, taniec kwiatów na błękitnie niebios.

— On jest dżentelmen — mruknął niechętnie chłopak.

— Księżę! — zawołała dźwięcznie. — Czegóż chcesz więcej?

— On zrobi z ciebie niewolnicę.

— Drzę na samą myśl, że pozostawi mnie wolną.

— Chciałbym cię ostrzec przed nim.

— Patrząc na niego, ubóstwia się go; znając go, ufa mu się.

— Sybillo, ty szalejesz za nim.

Roześmiała się i wzięła go pod rękę.

— Drogi, stary Jakubie, mówisz, jakbyś miał sto lat. Pewnego dnia i ty go pokochasz. Zrozumiesz wtedy, co to znaczy. Nie patrz tak ponuro. Powinienes być zadowolony, wiedząc, iż jestem szczęśliwsza niż kiedykolwiek, mimo że odjeżdżasz. Życie było dla nas obojga twarde, bardzo twarde i ciężkie. Ale teraz będzie inaczej. Ty udajesz się w nowy świat, a ja go już znalazłam. O, tu są dwa krzesła; usiądźmy i przypatrzmy się pięknym przechodniom.

Siedli wśród grupy przyglądających się. Grzędy tulipanów wzdłuż drogi płonęły niczym dwa drgające łuki ogniste. Biały pył, zwiewny obłok pyłu irysowego zawisł w dusznym powietrzu. Różnobarwne, mieniące się parasolki tańczyły i wylaniały się niby olbrzymie motyle.

Zmusiła brata do mówienia o sobie, o swych nadziejach, o swych widokach. Mówił powoli i z trudem. Zamieniali słowa, jak gracze karty. Sybilla odczuwała przymus. Nie mogła udzielić swej radości. Słaby uśmiech, przelotnie rysujący się na jego ponurych ustach, był jedynym oddźwiękiem, jaki udawało się jej wywołać. Po pewnym czasie zamilkła. Nagle jej wzrok pochwycił falę złotych włosów i roześmiane usta: w otwartym powozie przejechał Dorian Gray z dwiema paniami.

Skoczyła na równe nogi.

— To on! — wykrzyknęła.

— Kto? — spytał Jakub Vane.

— Księżę z bajki — odparła, spoglądając za powozem.

Wstał żywo i silnie schwył ją za rękę.

— Pokaż mi go. Który to? Wskaż mi go. Muszę go zobaczyć! — zawołał; w tej chwili jednak nadjechała karetka księcia Berwick, zaprzężona w cztery konie, a gdy odsłoniła widok, powóz znikł już z parku.

Natura

— Odjechał — wyszeptła Sybilla smutno. — Chciałam, abys go zobaczył.

— I ja tego chciałem, bo jak Bóg na niebie, jeżeli zrobi ci co złego, zabiję go.

Spojrzała nań przerażona. Powtórzył swe słowa. Przecięły powietrze jak ostrze szpady. Ludzie zaczęli się im przyglądać. Jakaś stojąca w pobliżu dama zachichotała.

— Chodźmy, Jakubie, chodźmy — wyszeptła.

Szedł posłusznie za przeciskającą się przez tłumy dziewczyną. Był zadowolony z tego, co powiedział.

Gdy doszli do posągu Achillesa⁴⁸, odwróciła się. W oczach jej było współczucie, które uśmiechem spłynęło na usta. Potrząsnęła doń głową.

— Niemądry jesteś, Jakubie, całkiem niemądry; niezdolny z ciebie chłopiec, i to wszystko. Jak możesz mówić takie okropne rzeczy? Sam nie wiesz, co powiedział. Jesteś tylko zazdrosny i niegrzeczny. Ach, chciałabym, żebyś się zakochał. Miłość czyni ludzi dobrymi, a to, co powiedział, było złe.

— Mam szesnaście lat — odparł — i wiem, czego chcę. Matka ci nie pomoże. Ona nie potrafi nad tobą czuwać. Widzę teraz, że nie powinienem odjeżdżać do Australii. Mam wielką ochotę rzucić to wszystko. Zrobiłbym tak, gdybym nie był już podpisał umowy.

— Nie bądź tak poważny, Jakubie. Jesteś zupełnie jak ci bohaterzy z melodramatów, w których matka tak chętnie występowała. Nie chcę się z tobą sprzeczać. Widziałam go, a zobaczyć go to już prawdziwe szczęście! Nie kłóćmy się. Wiem, że nie zrobiłbyś nic złego człowiekowi, którego kocham, prawda?

— Dotąd, oczywiście, dopóki go będziesz kochała — brzmiała posępna odpowiedź.

— Będę go zawsze kochała! — wykrzyknęła.

— A on?

— On także!

— Niech pamięta.

Odsunęła się od niego. Po czym roześmiała się i wzięła go pod rękę. Przecież to tylko dzieciak.

Koło Marble Arch⁴⁹ wsiedli do omnibusu⁵⁰, który zawiózł ich do nędznego mieszkania przy Euston Road. Było już po piątej i Sybilla musiała odpocząć przed występem. Jakub nalegał na to. Mówił także, iż chciałby pożegnać się z nią, zanim nadejdzie matka. Zrobiłaby z tego zaraz scenę, a on nienawidzi wszelkich scen.

Pożegnali się w pokoju Sybilli. W sercu chłopca nurtowała zazdrość i wyniosła, śmiertelna nienawiść do nieznanego, który, jak mu się zdawało, rozdzielił ich. Gdy jednak dziewczyna objęła go ramieniem za szyję i zanurzyła palce w jego gęstej czuprynie, rozrzewnił się i szczerze ją ucałował. Gdy odchodził, w oczach stanęły mu łzy.

Na dole czekała na niego matka. Gdy wchodził, zaczęła gderać na spóźnienie. Nie odpowiadając, usiadł do skromnego posiłku. Muchy brzęczały wokół stołu i łążyły po brudnej serwecie. Wśród turkotu omnibusów i dorożek słyszał ogłuszający głos, pochłaniający każdą minutę, pozostającą mu jeszcze do odjazdu.

Po chwili odsunął talerz i ukrył twarz w dłoniach. Czuł, że ma prawo o tym wiedzieć. Powinna mu była dawno powiedzieć, jeśli było tak, jak się domyślał. Pogrążona w obawie matka przyglądała mu się. Słowa mechanicznie wydobywały się z jej ust. Mięła w rękach podartą koronkową chustkę. Gdy wybiła szósta, wstał, kierując się ku drzwiom. Wtem odwrócił się i spojrzał na nią. Czy ich spotkały się. W jej wzroku dostrzegł rozpaczliwe błaganie o łaskę. To go rozwścieczyło.

— Matko, chcę cię o coś zapytać — powiedział. Czy jej biegały błędnie po pokoju. Nie odpowiadała. — Powiedz mi prawdę. Mam do niej prawo. Czy brałaś ślub z moim ojcem?

Odetchnęła głęboko. Było to westchnienie ulgi. Straszna chwila, chwila, której z trwogą od miesięcy oczekiwała w dzień i w nocy, chwila ta w końcu nadeszła i nie przeraziła

⁴⁸ *posąg Achillesa* — w Hyde Parku; w mit. gr. Achilles to najdzielniejszy z Greków walczących w wojnie trojańskiej. [przypis edytorski]

⁴⁹ *Marble Arch* — marmurowy monument w formie łuku triumfalnego, znajdujący się w Londynie, przy skrzyżowaniu Oxford Street, Park Lane i Edgware Road, na krańcu Hyde Parku. [przypis edytorski]

⁵⁰ *omnibus* (łac. dost.: dla wszystkich) — duży, kryty pojazd konny o wielu miejscach, pod koniec XIX w. powszechny jako środek regularnej komunikacji w dużych miastach Europy; poprzednik autobusów. [przypis edytorski]

jej. Do pewnego stopnia, zaiste, było to dla niej rozczarowaniem. Pospolita bezpośredniość pytania wymagała bezpośredniej odpowiedzi. Sytuacja nie została przygotowana stopniowo. Była brutalna. Przypominała jej nieudaną próbę.

— Nie — odparła, dziwiąc się twardej prostocie życia.

— A więc mój ojciec był łajdakiem! — krzyknął chłopiec, zaciskając pięści.

Potrząsnęła głową przecząco.

— Wiedziałam, że nie był wolny. Bardzo się kochaliśmy. Gdyby żył, pamiętałby o nas. Nie wolno ci, synu, nic mówić przeciwko niemu. Był twoim ojcem i porządnym człowiekiem. Miał zapewne wysokie stosunki.

Przekleństwo wybiegło z jego ust.

— Nie troszczę się o siebie — wykrzyknął — ale o Sybillę... To porządny człowiek, nieprawdaż, który ją kocha, a przynajmniej tak mówi? Wysoko ustosunkowany, jak mniemam.

Przez chwilę kobieta doznała uczucia niemilego poniżenia. Pochyliła głowę. Drżącymi rękoma otarła oczy.

— Sybilla ma matkę — wyszeptła — ja nie miałam.

Chłopiec był wzruszony. Podeszedł ku niej i schyliwszy się, pocałował ją.

— Żałuję, jeśli wyrządziłem ci przykrość, pytając o ojca — powiedział — ale nie mogłem dać sobie rady. Muszę już odejść. Do widzenia. Nie zapominaj, że teraz pozostało ci już tylko jedno dziecko, i wierz mi, że gdyby ten człowiek miał skrzywdzić moją siostrę, dowiem się, kim on jest, wysledzę go i zabiję jak psa. Przysięgam ci to.

Szalona przesada jego groźby, towarzyszący jej namiętny gest, melodramatycznie powiedziane słowa, wszystko to wywarło na niej żywe wrażenie. Do podobnej atmosfery przywykła. Odetchnęła swobodniej i po raz pierwszy od wielu miesięcy podziwiała swego syna. Chętnie przedłużyłaby tę wzruszającą scenę, ale on jej przerwał. Trzeba było znieść tłumoki i ogarnąć się. Stróżka chodziła tam i z powrotem. Trzeba się było targować z woźnicą. Nastroj chwili znikł w codziennych szczegółach. Z ponownym uczuciem rozczarowania powiewała z okna podartą koronkową chustką, patrząc na odjeżdżającego syna. Miała wrażenie, że zmarnowana została wielka sposobność. Pocieszyła się, opowiadając Sybilli, jak samotne będzie odtąd jej życie, gdy pozostało jej tylko jedno dziecko. Zapamiętała to zdanie. Podobało się jej. Nic nie mówiła o groźbie. Była wypowiedziana żywo i dramatycznie. Czuła, że kiedyś wszyscy będą się z tego śmiali.

ROZDZIAŁ VI

— Spodziewam się, że słyszałeś już nowinę, Bazylu? — pytał tego wieczora lord Henryk, gdy Hallward wszedł do gabinetu w Bristolu, gdzie przygotowano nakrycia do obiadu na trzy osoby.

— Nie, Henryku — odparł artysta, oddając kapelusz i płaszcz głęboko kłaniającemu się służącemu. — Co takiego? Spodziewam się, że nic z polityki? To mnie nie zajmuje. W Izbie Gmin nie ma nikogo, kogo by warto malować, chociaż niejednego przydałoby się wybielić.

— Dorian Gray się zaręczył — rzekł lord Henryk i mówiąc to, patrzył na niego.

Hallward zerwał się i zmarszczył brwi.

— Dorian zaręczony! — wykrzyknął. — Niemożliwe!

— Szczera prawda.

— Z kim?

— Z jakąś małą aktorką czy coś podobnego.

— Nie mogę uwierzyć. Dorian jest zbyt wrażliwy.

— Dorian jest zbyt rozsądny, mój drogi Bazylu, aby od czasu do czasu nie zrobić głupstwa.

— Małżeństwo, Henryku, nie jest rzeczą, na którą by można sobie pozwalać od czasu do czasu.

— Chyba w Ameryce — powoli odparł lord Henryk. — Ale nie mówię, że się ożenił. Powiedziałem tylko, że zaręczył się. To duża różnica. Doskonale pamiętam, że jestem żonaty, a zgoła nie przypominam sobie, czy byłem zaręczony. Skłaniałbym się raczej do tego, że nigdy nie byłem narzeczonym.

— Ależ pomyśl o urodzeniu Doriana, o jego stanowisku, o jego majątku. Byłoby niedorzecznością z jego strony brać żonę z tak niskiej sfery.

— Jeśli tego chcesz, poradź mi, aby ożenił się z tą dziewczyną. Uczyni to z pewnością. Jeśli mężczyzna robi coś bardzo głupiego, to zawsze z najszlachetniejszych powodów.

— Mam nadzieję, Henryku, że to jakaś dobra dziewczyna. Nie chciałbym, aby Dorian związał się z jaką wstrętną istotą, która by popsukała jego charakter i zmarnowała jego umysł.

— Och, więcej niż dobra, bo jest piękna — odrzekł lord Henryk, wysączając kieliszek wermutu z gorzką pomarańczą. — Dorian mówi, że jest piękna, a on rzadko myli się tego rodzaju w sprawach. Portret przez ciebie zrobiony szybko rozwinął w nim wrażliwość na powierzchowność innych osób. Między innymi był to zbawienny wpływ. Zobaczmy ją dziś wieczór, jeśli nasz chłopiec nie zapomni o umowie.

— Czy mówisz poważnie?

— Zupełnie poważnie, Bazyli. Uważałbym się za nędznika, gdybym kiedykolwiek mówił poważniej niż w tej chwili.

— Ale nie pochwalasz tego, Henryku? — spytał malarz, przebiegając pokój tam i z powrotem i gryząc wargi. — Niemożliwe, żebyś to pochwalał. To jakieś głupie zaślepienie.

— Nigdy niczego nie pochwalam i nigdy niczego nie ganię. Byłoby to niedorzecznym stanowiskiem wobec życia. Nie po to jesteśmy na świecie, aby szerzyć nasze moralne przesady. Nie zwracam uwagi na to, co robią ludzie pospolici, i nie wtrącam się do tego, co robią ludzie wytworni. Jeżeli się kimś zachwycam, jest mi najzupełniej obojętne, jaki sposób wyrazu sobie wybiera. Dorian Gray zakochał się w pięknej dziewczynie grającej Julię i chce się z nią ożenić. Dlaczego nie? Gdyby żenił się z Messaliną⁵¹, byłby niemniej zajmujący. Wiesz, że nie należę do obrońców małżeństwa. Prawdziwie ujemną stroną małżeństwa jest to, że pozbawia nas egoizmu. Ludzie zaś nieegoiści są bezbarwni. Brak im indywidualności. Istnieją wprawdzie niektóre usposobienia, które w małżeństwie stają się jeszcze bardziej złożone. Zachowują swój egotyzm i dodają do swego cudze egotyzy. Ci zmuszeni są żyć więcej niż jednym życiem. Stają się istotami wyżej zorganizowanymi, a wyższa organizacja jest, o ile mi się zdaje, celem naszego bytu. Przy tym każde doświadczenie ma wartość, a cokolwiek można powiedzieć przeciw małżeństwu, jest ono doświadczeniem. Wydaje mi się, że Dorian Gray ożeni się z tą dziewczyną, będzie ją ubóstwiał szalenie przez sześć miesięcy, a potem zostanie nagle oczarowany przez inną. Będzie zachwycającym przedmiotem do badania.

— Doskonale to wiesz, Henryku, że sam nie wierzysz w nic z tego, co mówisz. Gdyby Dorian Gray zmarnował swe życie, nikt nie cierpiałby więcej od ciebie. Jesteś znacznie lepszy, niż się przedstawiasz.

Lord Henryk roześmiał się.

— Przyczyną, dla której myślimy tak dobrze o drugich, jest to, iż obawiamy się sami o siebie. Podstawą optymizmu jest zwykły strach. Uważamy się za szlachetnych, gdyż przyznajemy naszym sąsiadom cnoty, które mogą być pożyteczne dla nas. Chwalimy bankiera, chcąc podnieść u niego swój własny kredyt, i znajdujemy dobre strony u złodzieja w nadziei, że będzie oszczędzał naszą kieszeń. Wierzę we wszystko to, co powiedziałem. Najbardziej nienawidzę optymizmu. Co zaś do zmarnowanego życia, to żadne nie jest zmarnowane prócz tego, którego rozwój został powstrzymany. Jeśli chcesz wypaczyć charakter, zajmij się udoskonalaniem go. Co się tyczy małżeństwa, byłoby oczywiście niedorzecznością, ale między mężczyzną i kobietą istnieją bardziej zajmujące związki. Będę je na pewno popierał. Mają ten urok, że są modne. Ale otóż i Dorian. Powie ci więcej niż ja.

— Mój drogi Henryku, mój drogi Bazyli, musicie mi obaj powinszować! — zawołał młodzieniec, zrzucając podbity jedwabiem płaszcz i ściskając kolejno ręce obu przyjaciół. — Nigdy nie byłem tak szczęśliwy. Wszystko stało się nagle: wszystko, co piękne, przychodzi nagle. Wydaje mi się jednak, jakbym przez całe życie tylko na to oczekiwał. — Był rozpromieniony ze wzruszenia i radości i wyglądał nadzwyczaj pięknie.

⁵¹Messalina, Valeria (ok. 17–40) — żona rzymskiego cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków. [przypis edytorski]

— Mam nadzieję, Dorianie, że zawsze będziesz szczęśliwy — rzekł Hallward — ale niezupełnie mogę ci wybaczyć, że nie powiedziałeś mi o swych zaręczynach. Henrykowi powiedziałeś.

— A ja ci nie wybaczam, że spóźniłeś się na obiad — przerwał lord Henryk, kładąc rękę na ramieniu chłopca, i uśmiechał się, mówiąc. — Chodź, siadaj, a zobaczymy, co umie tutejszy nowy kucharz. Później nam wszystko opowiesz.

— Właściwie nie ma wiele do opowiadania — zawołał Dorian, gdy zasiadali do małego, okrągłego stołu. — Szczęście bywa proste. Kiedy wczoraj wieczorem pożegnałem się z tobą, Henryku, przebrałem się, zjadłem jakiś obiad w tej małej włoskiej restauracji przy Rupert Street, gdzie mnie wprowadziłeś, a o ósmej poszedłem do teatru. Sybilla grała Rozalindę. Inscenizacja była oczywiście obrzydliwa, a Orlando⁵² niemożliwy. Ale Sybilla! Nie widzieliście jej nigdy! Gdy weszła przebrana za chłopca, była wprost cudowna. Miała aksamitną kurtkę koloru mchu, z rękawami barwy cynamonu, obcisłe brązowe spodnie, małą zieloną czapkę z sokolim piórem, przymocowanym jakimś błyszczącym kamieniem, i szeroki płaszcz z ciemnoczerwoną podszewką. Nigdy nie wydała mi się piękniejsza. Miała wdzięczny urok tanagryjskiej⁵³ figurki z twej pracowni, Bazyli. Bujne pukle włosów okalały jej twarzyczkę jak ciemne liście białego kwiatu róży. A jej gra, zobaczycie ją dziś wieczorem. Ona jest wprost urodzoną artystką. W brudnej łoży siedziałem zupełnie oczarowany. Zapomniałem, że jestem w Londynie w dziewiętnastym stuleciu. Byłem z moją ukochaną w lesie, którego nigdy nikt nie widział. Po spuszczeniu kurtyny poszedłem za kulisy i rozmawiałem z nią. Gdy siedzieliśmy obok siebie, oczy jej przybrały nagle wyraz, jakiego jeszcze nie widziałem. Moje usta zbliżyły się do jej ust. Pocałowaliśmy się. Nie potrafię opisać wam, co poczułem w tej chwili. Wydawało mi się, że całe moje życie ześrodkowało się wokół jedyne punktu różowej radości. Ona drżała całym ciałem i ślaniała się jak biały narcyz. Potem upadła przede mną na kolana i całowała mnie po rękach. Czuję dobrze, że nie powinienem wam tego opowiadać, ale kiedy muszę. Oczywiście, nasze zaręczyny są wielką tajemnicą. Nie powiedziała o nich nawet swej matce. Nie wiem, co powiedzą moi opiekunowie. Lord Radley będzie na pewno wściekły. Nic mnie to nie obchodzi. Za niespełna rok będę pełnoletni, a wtedy zrobię, co zechcę. Nieprawdaż, Bazyli, że mam rację, iż szukałem mej ukochanej w poezji i że znalazłem żonę w dramatach Szekspira? Usta, które Szekspir nauczył mówić, wyszeptaly swą tajemnicę do mego ucha. Czulem na mej szyi ramiona Rozalindy i całowałem usta Julii.

Teatr

Pocałunek, Zaręczyny

— Tak, Dorianie, zdaje mi się, że masz rację — rzekł Hallward powoli.

— Czy widziałeś ją dzisiaj? — spytał lord Henryk.

Dorian Gray przecząco potrząsnął głową.

— Pozostawiłem ją w Lesie Ardeńskim. Odnajdę ją w ogrodach Werony.

Lord Henryk w zamyśleniu sączył szampana.

— Dorianie, w jakiej chwili wspomniałeś o małżeństwie? I co ci odpowiedziała? A może zapomniałeś o tym?

— Mój drogi Henryku, nie traktowałem tego jak interes i nie zrobiłem żadnej formalnej propozycji. Powiedziałem jej, że ją kocham, a ona mi odpowiedziała, że nie jest godna zostać moją żoną. Niegodna! Ach, cały świat jest niczym w porównaniu z nią.

— Kobiety są zadziwiająco praktyczne — wyszeptał lord Henryk — znacznie praktyczniejsze od nas. W podobnych sytuacjach my często zapominamy o małżeństwie, ale one zawsze nam je przypominają.

Hallward położył rękę na jego ramieniu.

— Przestań, Henryku. Uraziłeś Doriana. On nie jest taki jak inni. Nigdy nie zdołałby nikogo unieszczęśliwić. Ma na to zbyt piękny charakter.

Lord Henryk spojrział przez stół.

— Dorian nigdy nie czuje się przeze mnie dotknięty — odparł. — Pytałem z najlepszego powodu, z jedyne powodu usprawiedliwiającego pytania — z prostej ciekawości.

⁵²Orlando — postać z komedii *Jak wam się podoba* Szekspira, ukochany Rozalindy. [przypis edytorski]

⁵³tanagryjskie figurki — określenie niewielkich figurek z terakoty przedstawiających dziewczęta i kobiety, wytwarzanych w okresie hellenistycznym, początkowo w Tanagrze w Grecji, później również w innych regionach; odznaczały się starannym modelunkiem i wdziękiem. [przypis edytorski]

Według mojej teorii, zawsze kobiety oświadczają się nam, a nie my kobietom. Z wyjątkiem, oczywiście, klas średnich. Klasy średnie nie są jednak nowoczesne.

Dorian Gray zaśmiał się i wstrząsnął głową.

— Jesteś niepoprawny, Henryku, ale to nie szkodzi. Na ciebie nie można się gniewać. Gdy zobaczysz Sybillę Vane, poznasz sam, że mężczyzna, który by mógł wyrządzić jej krzywdę, musiałby być zwierzęciem, zwierzęciem bez serca. Nie pojmuję, jak można hańbić coś, co się kocha. Kocham Sybillę Vane. Chcę ją postawić na złotym piedestale i patrzeć, jak świat będzie podziwiał kobietę, która jest moja. Czym jest małżeństwo? Nieodwołalnym zobowiązaniem. Dlatego z niego sztydysz. Ach, przestań sztydzić. Ono jest nieodwołalnym ślubem, który chcę złożyć. Jej zaufanie czyni mnie wiernym, jej wiara czyni mnie dobrym. Gdy jestem z nią, zapominam o wszystkim, czegoś mnie nauczył. Staję się innym, niż mnie dotychczas znałeś. Jestem przeistoczony, a samo dotknięcie ręki Sybilli Vane pozwala mi zapomnieć o wszystkich twych fałszywych, czarujących, trujących, rozkosznych teoriach.

— A to są...? — zapytał lord Henryk, nabierając z półmiska trochę sałaty.

— O, te twoje teorie o życiu, twoje teorie o miłości, twoje teorie o rozkoszy. W ogóle wszystkie twoje teorie, Henryku.

— Jedyną rzeczą godną, aby miała teorię, jest rozkosz — odparł swym cichym, dźwięcznym głosem. — Obawiam się jednak, że moja teoria nie jest moją własnością. Należy do przyrody, nie do mnie. Rozkosz jest świadectwem przyrody, znakiem jej przyzwolenia. Gdy jesteśmy szczęśliwi, jesteśmy dobrzy, ale gdy jesteśmy dobrzy, nie zawsze jesteśmy szczęśliwi.

— Ach! Ale co rozumiesz przez dobroć? — zawołał Bazyli Hallward.

— Tak — powtórzył Dorian, opierając się o krzesło i patrząc na lorda Henryka przez stojący na środku stołu wielki pęk irysów o purpurowych płatkach — co rozumiesz przez dobroć?

— Być dobrym to znaczy być w zgodzie z samym sobą — odparł, ujmując wysmukły kieliszek w swe białe, cienkie palce. — Być zmuszonym do zgody z innymi jest dysonansem. Jedynie nasze własne życie jest rzeczą ważną. Co do naszych bliźnich, jeżeli chce się być obłudnikiem lub purytaninem⁵⁴, można słuchać ich moralnych poglądów na życie, w istocie rzeczy jednak nie obchodzi nas to wcale. Przede wszystkim indywidualizm ma wyższe znaczenie. Dzisiejsza moralność polega na przystosowaniu się do czasu. Moim zdaniem, przystosowywanie się do swego czasu jest dla człowieka kulturalnego najwyższą niemoralnością.

— Ale na pewno, Henryku, człowiek żyjący wyłącznie dla siebie strasznie drogo za to płaci? — wtrącił malarz.

— Tak, wszystko musimy dziś przepłacać. Gotów jestem uwierzyć w to, że prawdziwa tragedia ubogich polega na tym, iż na nic sobie nie mogą pozwolić prócz wyrzeczenia. Piękne grzechy, podobnie jak wszystko, co piękne, są przywilejem bogatych.

— Płaci się często nie tylko pieniędzmi.

— A czym, Bazyli?

— Ach! Wyobrażałbym sobie, że wyrzutami sumienia, cierpieniem... wreszcie, świadomością poniżenia.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— Mój drogi towarzyszu, sztuka średniowieczna jest czarująca, ale wzruszenia średniowieczne są już przedawnione. Można je wprawdzie zużytkować w poezji. Ale w poezji używa się tylko tych rzeczy, które w życiu wyszły już z użycia. Wierz mi, żaden człowiek cywilizowany nie żałuje doznanej rozkoszy, a żaden człowiek niecywilizowany nie wie, co to jest rozkosz.

— Ja wiem, co jest rozkoszą — przerwał Dorian Gray. — Jest to uwielbiać cokolwiek.

— W każdym razie lepiej uwielbiać niż być uwielbianym — odparł, bawiąc się owocami. — Być uwielbianym to nudne. Kobiety obchodzą się z nami jak ludzkość ze swymi bogami. Ubóstwiają nas, ale ciągle czegoś od nas żądają.

⁵⁴purytanin (z łac. *puritas*: czystość) — wyznawca purytanizmu, ruchu religijno-społecznego w XVI i XVII-wiecznej Anglii dążącego do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagującego wstrzemięźliwy tryb życia; także: człowiek skrajnie przywiązany do zasad, w szczególności moralnych. [przypis edytorski]

— Powiedziałbym jednak, że czegokolwiek od nas żądają, dały nam przedtem — odrzekł poważnie młodzieniec. — One w nas tworzą miłość. Mają więc prawo żądać jej z powrotem.

— Masz zupełną słuszność, Dorianie — zawołał Hallward.

— Nic nie jest zupełną słusznością — rzekł lord Henryk.

— To jest — wtrącił Dorian. — Musisz przyznać, Henryku, że kobiety oddają mężczyznom szczerze złoto ich życia.

— Możliwe — przytwierdził — ale nieodmiennie wymagają natychmiastowego zwrotu w drobnej monecie. W tym cały błąd. Kobiety, jak to powiedział jeden dowcipny Francuz, wznecają w nas żądzę arcydzieł, ale wciąż przeszkadzają w ich urzeczywistnieniu.

— Henryku, jesteś straszny! Nie wiem, za co cię tak lubię.

— Zawsze będziesz mnie lubił, Dorianie — odparł. — Czy chcecie kawy, towarzysze? Kelner, proszę o kawę, *Fine Champagne*⁵⁵ i papierosy. Nie, nie trzeba papierosów, mam jeszcze. Bazyli, nie wolno ci palić cygar. Zapal papierosa. Papieros jest doskonałym wzorem doskonałej rozkoszy. Jest wyborny, a nie nasycy. Czego chcesz więcej? Tak, Dorianie, będziesz mnie kochał zawsze. Jestem dla ciebie wyobrażeniem grzechów, których nie miałeś odwagi popełnić.

— Co za głupstwa pleciesz, Henryku! — zawołał młodzieniec, zapalając papierosa od ustawionego przez kelnera na stole srebrnego smoka ziejącego ogniem. — Chodźmy do teatru. Gdy Sybilla wyjdzie na scenę, poznacie nowy ideał życia. Objawi wam to, czegoście nigdy nie znali.

— Znam już wszystko — rzekł lord Henryk z wyrazem znużenia w oczach — ale zawsze jestem gotowy do nowych wzruszeń. Obawiam się jednak, że przynajmniej dla mnie one już nie istnieją. Ale może twoja cudowna dziewczyna zdoła mnie porwać. Lubię scenę. Jest bardziej rzeczywista niż życie. Chodźmy. Dorianie, pojedziesz ze mną. Bardzo mi przykro, Bazyli, ale w moim powoziku jest miejsce tylko na dwie osoby. Musisz wsiąść do dorożki.

Wstali, wzięli płaszcze i stojąc, dopijali kawy. Malarz milczał zamyślony. Był strapiony. Nie mógł znieść myśli o tym małżeństwie, a jednak wydawało mu się lepsze od czegokolwiek innego. Po paru minutach zeszli po schodach. Jechał sam, tak jak się umówili, i patrzył na błyszczące światło jadącego przed nim powoziku. Doznawał dziwnego uczucia straty. Czuł, że Dorian Gray nigdy nie będzie już dlań tym, czym był poprzednio. Stało się między nimi życie... Pociemniało mu w oczach, a jaskrawe, ożywione ulice rozplynęły się w cieniu. Gdy powóz stanął przed teatrem, miał wrażenie, że postarzał się o kilka lat.

ROZDZIAŁ VII

Szczególnym zbiegiem okoliczności teatr był tego wieczora przepelniony, a przedsiębiorca, gruby Żyd, który wybiegł naprzeciw nich do drzwi, jaśniał tłustym, dygotliwym uśmiechem od ucha do ucha. Odprowadził ich do łoży z okazałą uniżonością, wymachując grubymi, obładowanymi w pierścienie rękami i wykrzykując piskliwie. Dorian Gray odczuwał doń wstręt większy niż kiedykolwiek. Wydawało mu się, że przyszedł oglądać *Mirandę*⁵⁶, a zastał Kalibana. Natomiast lordowi Henrykowi raczej się spodobał. Przynajmniej tak twierdził, obstając nadto, że musi uścisnąć mu dłoń, i zapewniając, iż dumny jest ze znajomości z człowiekiem, który odkrył geniusza i zbankrutował na poecie. Hallward zabawiał się oglądaniem widzów na parterze. Gorąco było strasznie, a wielki płonący żyrandol wyglądał jak olbrzymia georgia o płatkach z żółtego ognia. Chłopcy na galerii pozdejmowali surduty i kamizelki i przewiesili je przez balustradę. Rozmawiali z przeciwległą galerią i częstowali pomarańczami siedzące obok dziewczęta. Na parterze kilka kobiet raz po raz wybuchało śmiechem. Głosy ich były okropnie przeraźliwe i niestrojne. Od bufetu dolatywało strzelanie korków.

— Co za miejsce na spotkanie bóstwa! — rzekł lord Henryk.

⁵⁵*Fine Champagne* — rodzaj francuskiego koniaku z Szampanii. [przypis edytorski]

⁵⁶*Miranda, Kaliban* — postaci ze sztuki Szekspira pt. *Burza*. Kaliban, dziki, zdeformowany syn wiedźmy, mieszkał samotnie na wyspie, zanim wylądował na niej książę Prospero ze swą piękną córką *Mirandą*. [przypis edytorski]

Mizoginia

Kobieta

Żyd

Teatr

— Tak! — odparł Dorian Gray. — Tu ją znalazłem i ona jest boginią ponad wszystkim żyjącym stworzeniem. Gdy zaczniesz grać, zapomnicie o otoczeniu. Ci prości, szorstcy ludzie, o twarzach pospolitych i ruchach brutalnych, stają się inni, gdy ona jest na scenie. Siedzą spokojnie, wpatrzeni w nią. Płaczą i śmieją się, gdy ona zechce. Wydobywa z nich tony jak ze skrzypiec. Uduchawia ich i wówczas czuje się, że oni są z tej samej krwi i kości co my.

— Z tej samej krwi i kości co my? O, chyba nie! — wykrzyknął lord Henryk, lornetując widzów na galerii.

— Nie zważaj na niego, Dorianie — rzekł malarz. — Rozumiem, co myślisz, i wierzę w tę dziewczynę. Czarujący musi być ten, kogo kochasz, a dziewczyna mogąca działać tak, jak opowiadasz, musi być piękna i szlachetna. Uduchować swych bliźnich to warte trudu. Jeśli ta dziewczyna podola tchnąć dusze w tych, co żyli bez duszy, jeśli budzi zmysł piękna w tych, których życie było brudne i szkaradne, jeśli wyrывa ich z egoizmu i wzrusza do łez nad cierpieniem, co nie jest ich cierpieniem, to godna jest twego ubóstwienia, godna jest ubóstwienia całego świata. Małżeństwo to jest w zupełnym porządku. Z początku tak nie myślałem, ale teraz przyznaję. Bogowie stworzyli Sybillę Vane dla ciebie. Bez niej byłbyś niedoskonały.

— Dziękuję ci, Bazylu — odparł Dorian Gray, ściskając go za rękę. — Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. Henryk jest tak cyniczny, że aż mnie przeraża. Ale oto i orkiestra. Straszna, ale gra tylko około pięciu minut. Potem podniesie się kurtyna i zobaczycie dziewczynę, której chcę oddać całe swe życie, której oddałem wszystko, co we mnie jest dobrego.

W kwadrans później wśród niezwyklej burzy oklasków Sybilla Vane wyszła na scenę. Tak, była naprawdę piękna, była jednym z najpiękniejszych stworzeń, myślał lord Henryk, jakie kiedykolwiek widział. W jej trwożnym wdzięku i załęknionym spojrzeniu było coś z łani. Lekki rumieniec, jak cień róży w srebrnym zwierciadle, przemknął po jej policzkach, gdy zauważyła entuzjazm przepelnionej sali. Cofnęła się kilka kroków, a usta jej zdawały się drżeć. Bazyl Hallward powstał i zaczął ją oklaskiwać. Dorian Gray siedział bez ruchu wpatrzonej w nią, jakby we śnie. Lord Henryk patrzył przez lornetkę, szepcząc: „Czarująca! Czarująca!”.

Scena przedstawiała salę w domu Kapuletów, wszedł właśnie Romeo w płaszczu pielgrzyma w towarzystwie Merkucja i innych przyjaciół. Orkiestra, jaka była, zagrała parę taktów i zaczęły się tańce. W tłumie niezgrabnych i źle ubranych aktorów, Sybilla Vane poruszała się jak istota z doskonałego świata. W tańcu jej postać slaniała się jak roślina w wodzie. Łuki jej szyj zdały się niby łuki białej lilii. Jej ręce wyglądały, jakby były z chłodnej kości słoniowej.

Była jednak dziwnie roztargniona. Gdy oczy jej spoczęły na postaci Romea, nie okazała najmniejszej radości. Niewiele słów, które miała wypowiedzieć:

Krzywdzisz, pielgrzymie, swą rękę, co zbożna
Tak obyczajnie moją rękę trzyma!
Dłoń świętych na to, że jej dotknąć można —
I to jest zacny całunek pielgrzyma⁵⁷

i następujący po nich krótki dialog wygłosiła w sposób zupełnie sztuczny. Głos był precudny, ale w tonie bezwzględnie fałszywy. Fałszywy w barwie. Pozbawiał wiersz wszelkiego życia. Nie oddawał prawdy uczucia.

Spostrzegłszy ją, Dorian Gray pobladł. Był zmieszany i niespokojny. Żaden z przyjaciół nie śmiał się do niego odezwać. Wydała im się zgoła bez talentu. Byli strasznie rozczarowani.

Wiedzieli jednak, że probierzem dla każdej Julii jest scena balkonowa w drugim akcie. Czekali na nią. Jeśli i tam zawiedzie, nie ma się już czego po niej spodziewać.

W świetle księżycy wyglądała czarująco. Temu nie można było zaprzeczyć. Ale jej gra była nieznośnie wymuszona i coraz gorsza. Ruchy jej stawały się niedorzecznie sztuczne. Każde słowo wymawiała z nadmierną przesadą. Piękny ustęp:

⁵⁷Krzywdzisz, pielgrzymie... — [Romeo i Julia, akt I, scena 5; red. WL]; ustępy z *Romea i Julii* Szekspira w przekładzie Jana Kasprowicza. [przypis tłumacza]

Ty widzisz maskę nocy na mej twarzy,
Inaczej wstyd by dziewiczy zrumienił
Moje oblicze za słowa, słyszane
Przez cię tej nocy!⁵⁸

zadeklamowała z godną politowania dokładnością uczenicy, kształcącej się u drugorzędnego nauczyciela wymowy. Kiedy przechyliła się przez balkon, aby dojść do tych cudownych wierszy:

Dobrze, nie przysięgaj —
Choć się raduję tobą, nie radują
Przecież mnie śluby tej nocy dzisiejszej;
Zbyt są pośpieszne, niezwykajne, nagłe,
Nazbyt podobne są do błyskawicy,
Której już nie ma, zanim zdołaliśmy
Rzec, iż się łyska⁵⁹. O, luby, dobranoc!
Oby nam dojrzał ten pączek miłości
Pod tchnieniem lata i pięknym wystrzelił
Kwieciem do czasu, gdy się znów spotkamy⁶⁰

wypowiedziała je takim tonem, jakby ich wcale nie rozumiała. Nie była zdenerwowana. Wręcz przeciwnie, była zupełnie opanowana. Po prostu licha gra. Zupełne fiasko.

Nawet zwykli, niewybredni widzowie z parteru i galerii przestali się zajmować przedstawieniem. Wszczęły się szmery, głośna rozmowa i sykanie. Żydowski przedsiębiorca, stojący w głębi pierwszego balkonu, tupał nogami i wściekle klął. W całym teatrze jedyną osobą, która zachowała spokój, była sama dziewczyna.

Po skończeniu drugiego aktu wszczęła się burza gwizdów. Lord Henryk wstał z krzesła i zaczął wdziewać płaszcz.

— Czarująco piękna, Dorianie — rzekł — ale nie ma pojęcia o grze. Chodźmy.

— Chcę wysłuchać sztuki do końca — odparł młodzieniec twardym, gorzkim głosem. — Bardzo mi przykro, Henryku, że przeze mnie zmarnowaliście wieczór. Najmocniej przepraszam was obu.

— Mój drogi Dorianie — przerwał Hallward — wydaje mi się, że panna Vane jest słaba. Przyjdziemy innego wieczora.

— Chciałbym, aby była słaba — odpowiedział. — Wydaje mi się po prostu nieczuła i zimna. Zmieniła się zupełnie. Poprzedniego wieczora była wielką artystką. Dziś jest mniej niż pospolitą, mierną artystką.

— Nie wolno ci mówić tak, Dorianie, o tej, którą kochasz. Miłość jest cudowniejsza niż sztuka.

— Obie są po prostu rodzajami naśladownictwa — zauważył lord Henryk. — Proszę was jednak, pójdźmy. Nie możesz tu pozostać, Dorianie. Ze względów moralnych nie-dobrze jest patrzeć na złą grę. Sądzę zresztą, że swojej żonie nie pozwolisz występować na scenie. Cóż cię to obchodzi, że gra Julię jak marionetka? Jest czarująco piękna i jeśli życie zna równie słabo, jak sztukę, będzie doskonałym przedmiotem doświadczalnym. Bo są tylko dwa rodzaje ludzi czarujących: ci, co bezwzględnie na wszystkim się znają, i ci, co nie znają się na niczym. Na Boga, drogi chłopcze, nie rób tragicznej miny! Tajemnica młodości polega na tym, aby nie poddawać się uczuciu, z którym byłoby nie do twarzy. Chodź z Bazylim i ze mną do klubu. Zapalimy papierosa i napijemy się na cześć urody Sybilli Vane. Ona jest piękna. Czegoż chcesz więcej?

— Idź, Henryku — zawołał młodzieniec. — Chcę pozostać sam. Bazyl, musisz też pójść. Ach, czy nie widzicie, że serce mi pęka?

Gorące łzy napłynęły mu do oczu. Usta mu drżały. Gwałtownie rzucił się w głąb łoża, oparł się o ścianę i ukrył twarz w dłoniach.

⁵⁸Ty widzisz maskę nocy na mej twarzy... — Szekspir, *Romeo i Julia*, akt II, scena 2. [przypis edytorski]

⁵⁹łyskać się — błyskać się (o błyskawicach widocznych na niebie). [przypis edytorski]

⁶⁰Dobrze, nie przysięga... — Szekspir, *Romeo i Julia*, akt II, scena 2. [przypis edytorski]

— Chodźmy, Bazylu — rzekł lord Henryk z niezwykłą miękkością w głosie i obaj młodzi ludzie skierowali się ku wyjściu.

W parę chwil później zapalono kinkiety i podniesiono kurtynę przed trzecim aktem. Dorian Gray zajął poprzednie miejsce. Wyglądał blado, dumnie i obojętnie. Przedstawienie wlokło się, jak gdyby nie miało się skończyć. Połowa widzów opuściła teatr, stukając ciężkim obuwiem i śmiejąc się. Zupełne fiasko. Ostatni akt odegrano przed niemal pustą widownią. Spuszczono kurtynę wśród chichotów i pomruków.

Skoro się tylko skończyło, Dorian wpadł za kulisy do garderoby. Dziewczyna stała tu samotna, z wyrazem triumfu na twarzy. Oczy jej płonęły nadzwyczajnym blaskiem. Promieniowała. Na wpeł rozchylone usta uśmiechały się do jakiejś własnej tajemnicy.

Gdy wszedł, spojrzała nań z wyrazem bezmiernej radości.

— Jakże źle dziś grałam, Dorianie! — zawołała.

— Okropnie! — odparł, patrząc na nią ze zdumieniem. — Okropnie! To było straszne. Czy jesteś chora? Nie masz pojęcia, jakie to było okropne. Nie masz pojęcia, ile cierpiałem.

Dziewczyna uśmiechnęła się.

— Dorianie — odrzekła, wymawiając to imię pieszczotliwie melodyjnym głosem, jakby dla różanych płatków jej ust było słodsze od miodu. — Dorianie, powinieneś był mnie zrozumieć. Ale teraz mnie rozumiesz, prawda?

— Co mam rozumieć? — zapytał gniewnie.

— Dlaczego tak źle dziś grałam. Dlaczego już zawsze będę źle grała. Dlaczego już nigdy nie zagram dobrze.

Wzruszył ramionami.

— Wydajesz się chora. Jeżeli jesteś chora, nie powinnaś była grać. Narażasz się na śmieszność. Moi przyjaciele byli udręczeni. I ja byłem udręczony.

Zdawała się go nie słyszeć. Przekształcona przez radość, trwała w zachwyceniu szczęścia.

— Dorianie, Dorianie — zawołała — zanim cię poznałam, gra była jedyną rzeczywistością w moim życiu. Żyłam tylko w teatrze. Wszystko to brałam za prawdę. Jednego wieczora byłam Rozalindą, następnego Porcją⁶¹. Radość Beatrycze⁶² była moją radością, a ból Kordelii⁶³ był moim bólem. We wszystko wierzyłam. Zwykli ludzie, którzy grali ze mną, wydawali mi się bogami. Pomalowane kulisy były moim światem. Nie znałam nic prócz cieni, biorąc je za rzeczywistość. Aż ty przyszedłeś — ach, ty moja piękna miłości! — i wyzwoliłeś mą duszę z więzienia. Ty dałeś mi poznać prawdę rzeczywistości. Dzisiejszego wieczora po raz pierwszy w moim życiu ujrzałam całą pustkę, hańbę i głupotę czczego widowiska, w którym wciąż grałam. Dzisiejszego wieczora po raz pierwszy spostrzegłam, że Romeo jest ohydny, stary, umalowany, że blask księżycy w ogrodzie jest nieprawdziwy, że dekoracje są pospolite i że słowa, które mówiłam, są nierzeczywiste, że to nie są moje słowa, nie te, które chciałabym mówić. Tyś mi przyniósł coś wyższego, czego wszelka sztuka może być tylko odbiciem. Tyś mi dał zrozumieć, co to jest rzeczywista miłość. Moja miłość! Moja miłość! Książę z bajki! Książę życia! Dość cieni. Tyś dla mnie więcej, niż mogłaby być jakakolwiek sztuka. Cóż mnie obchodzi lalki teatralne? Gdy przyszedł tu dziś wieczór, nie mogłam zrozumieć, że to wszystko odpadło ode mnie. Myślałam, że będę czarowała. Poczułam, że nie zdołam. Nagle rozświetliło mi się w duszy, co to wszystko znaczy. Świadomość tego była mi rozkoszą. Słyszałam ich sykanie i uśmiechałam się. Co oni mogą wiedzieć o miłości takiej jak nasza? Zabierz mnie, Dorianie, zabierz mnie z sobą tam, gdzie będziemy zupełnie sami. Nienawidzę sceny. Mogłabym grać namiętność, której nie czuję, ale nie mogę grać tego, co pali mnie ogniem. Ach, Dorianie, Dorianie, czy rozumiesz teraz, co to znaczy? Gdybym nawet mogła, uważałabym za świętokradztwo grać teraz miłość. Ty mi to ukazałeś.

Upadł na sofę i odwrócił od niej głowę.

⁶¹Porcja — postać kobieca z *Kupca weneckiego* Szekspira, bogata dziedziczka, o której rękę ubiegają się załotnicy przybywający z różnych krajów. [przypis edytorski]

⁶²Beatrycze — postać kobieca z komedii *Wiele hałasu o nic* Szekspira, niezależna i inteligentna panna o ostrym języku. [przypis edytorski]

⁶³Kordelia — postać kobieca z tragedii *Król Lear* Szekspira; najmłodsza z córek tytułowego bohatera, w przeciwieństwie do swoich sióstr dobra i szczerą; zgładzona w więzieniu po przegranej bitwie. [przypis edytorski]

— Zabiłaś moją miłość — wykrztusił.

Patrzyła na niego zdumiona, śmiejąc się. Nie odpowiadała. Podeszła ku niemu i zaurczyła swe małe palce w jego włosach. Osunęła się na kolana i przyciskała jego ręce do swych ust. Cofnął je, wzdrygając się nagle.

Zerwał się i skoczył ku drzwiom.

— Tak — krzyknął — zabiłaś moją miłość. Podniecałaś moją wyobraźnię. Teraz nie wzbudzasz nawet mej ciekawości. Po prostu przestałaś na mnie działać. Kochałem cię, bo byłaś czarująca, bo miałaś geniusz i ducha, bo urzeczywistniałaś marzenia wielkich poetów i dawałaś kształt i ciało ceniom sztuki. Roztrwonilaś to wszystko. Jesteś płytka i głupia. Boże mój! Jakżeż mogłem zakochać się w tobie! Jakimż byłem szaleńcem! Teraz jesteś dla mnie niczym! Nie chcę cię więcej widzieć. Nie chcę więcej myśleć o tobie. Nie chcę już nigdy słyszeć twego imienia. Nie masz pojęcia, czym dla mnie byłaś kiedyś. Tak, kiedyś. Och, nie mam siły o tym myśleć! Bodajby oczy moje nigdy cię nie zobaczyły! Zmarnowałaś romantyzm mego życia. Jakże niewiele wiesz o miłości, mówiąc, że zabija twą sztukę! Bez swej sztuki jesteś niczym. Byłbym cię był zrobił sławną, wielką, wspaniałą. Cały świat byłby cię ubóstwiał i byłabyś nosiła moje nazwisko. Czym jesteś teraz? Trzeciorzędną aktorką o ładnej buzi.

Dziewczyna zbladła i drżała. Złożyła ręce jak do modlitwy, a głos zdawał się łamać w jej gardle.

— Ty nie mówisz poważnie, Dorianie? — wyszeptała. — Grasz chyba.

— Grę pozostawiam tobie. Tak dobrze ją umiesz — odparł z goryczą.

Powstała z klęczek i z wyrazem rozpaczliwego bólu na twarzy zbliżyła się ku niemu. Zarzuciła mu ramiona szyję i spojrzała mu w oczy.

— Nie dotykaj mnie! — zawołał.

Gлуche westchnienie wydarło się z jej piersi, rzuciła mu się do kolan i upadła mu pod nogi jak zdeptyany kwiat.

— Dorianie, Dorianie, nie porzucaj mnie! — wyszeptała. — Tak żałuję, że nie grałam dobrze. Cały czas myślałam o tobie. Ale spróbuję, naprawdę spróbuję. Miłość do ciebie spadła na mnie tak nagle. Zdaje mi się, że nie zaznałabym jej nigdy, gdybyś mnie nie był pocałował, gdybyśmy się byli nie całowali. Pocałuj mnie jeszcze, ukochany. Nie odchodź ode mnie. Mój brat... Nie, on tego nie myślał. On tego nigdy nie myślał. On żartował... Ale ty, och, czyż nie możesz mi wybaczyć dzisiejszego wieczoru? Będę bardzo pracowała i spróbuję zrobić postępy. Nie bądź dla mnie okrutny, bo ja kocham cię nad wszystko na świecie. Przecież tylko jeden raz ci się nie podobałam. Masz jednak zupełną słuszność, Dorianie. Należało pokazać się lepszą artystką. To było głupie z mojej strony, i nic na to teraz nie poradzę. Ach, nie porzucaj mnie, nie porzucaj mnie.

Dławiło ją spazmatyczne łkanie. Wyla się na podłodze skulona jak zraniona, a Dorian Gray patrzył na nią swymi pięknymi oczami z wyniosłą wzgardą rysującą się na jego wykwintnych ustach. Uczucia tych, których przestaliśmy kochać, wydają nam się zawsze cokolwiek śmieszne. Sybilla Vane robiła na nim wrażenie niedorzecznie melodramatyczne. Jej łzy i westchnienia go nudziły.

— Odchodzę — rzekł wreszcie spokojnym i jasnym głosem. — Nie chcę sprawiać ci przykrości, ale nie mogę cię więcej widywać. Rozczarowałaś mnie.

Plakała cicho, nie odpowiadając, ale czołgając się bliżej. Jej drobne ręce wyciągały się na oślep, jakby go szukały. Obrócił się na pięcie i wyszedł. Za parę chwil opuścił teatr.

Nie zdawał sobie sprawy, gdzie idzie. Przypomnił sobie później, że szedł słabo oświetlonymi ulicami, pod wąskimi, ciemnymi sklepieniami, wzdłuż nędznych domów. Zaczepiały go kobiety o ochryplym głosie i ordynarnym śmiechu. Mijał zataczających się pijaków, klnących i bełkocących do siebie niczym jakieś potworne małpy. Widział dziwaczne dzieci, przycupnięte w bramach pod schodami, i słyszał dolatujące z cuchnących podwórz krzyki i przekleństwa.

Zaczynało świtać, gdy znalazł się przed Covent Garden⁶⁴. Mrok zniknął, a rozświetlone nikłą purpurą niebo wydrążyło się we wspaniałą muszlę perłową. Duże wozy, naładowane drzącymi od chłodu liliami, powoli toczyły się po gładkiej, pustej ulicy. Powietrze by-

⁶⁴Covent Garden — dzielnica w Londynie, na której centralnym placu (Covent Garden Piazza) mieścił się niegdyś targ owocowo-warzywny. [przypis edytorski]

Rozpacz, Rozstanie

Rozstanie

Zapach

ło duszne od zapachu kwiatów, a ich piękno zdawało się balsamem dla jego cierpienia. Poszedł za wozami aż do rynku i przyglądał się, jak je wyładowywano. Biało ubrany woznica poczęstował go wiśniami. Podziękował mu, zdziwił się, że nie chciał wziąć pieniędzy, i począł jeść w roztargnieniu. Zrywano je o północy i nabrały w siebie chłodu księżycy. Długi szereg chłopców, niosących kosze nakrapianych tulipanów, żółtych i czerwonych róż, przeciągał przed nim, przeciskając się wśród dużych stosów bladozielonych jarzyn. Wzdłuż hali o szarych, wypelzłych od słońca filarach wałęsały się gromady brudnych, bosych dziewcząt, oczekujących na koniec przetargu. Inne tłoczyły się przed wciąż otwieranymi drzwiami kawiarni na Piazza. Ciężkie konie pociągowe tłukły i uderzały podkawkami o nierówny bruk, brzęcząc dzwoneczkami i uprzężą. Kilku furmanów spało na stosach worków. Gołębie o irysowych podgardlach i o nakrapianych nóżkach latały wokół, dziobiąc rozrzucone ziarna.

Po krótkiej chwili przywołał dorożkę i pojechał do domu. Przez parę chwil stał przed schodami, spoglądając na cichy plac z jego białymi pozamykanymi oknami i jasnymi w nich storami. Niebo przybrało barwę czystego opalu, a dachy domów lśniły jak srebro. Z jakiegoś komina naprzeciw wznosiła się cienka smuga dymu. Niby fioletowa wstęga wiła się w mlecznoperłowym powietrzu.

W wielkiej, złotej latarni weneckiej, zdobytej na jakiejś gondoli dożów, zwisającej ze stropu obszernej, wykładanej dębową boazerią sieni, migotały jeszcze trzy dogasające płomyki, wyglądając jak wąskie, błękitne płatki ognia, okolone białym żarem. Zagasił je, rzucił na stół płaszcz i kapelusz, przeszedł przez bibliotekę do swej sypialni, dużej, ośmiokątnej komnaty na parterze, którą czyniąc zadość nowo rozbudzonemu zamięlowaniu do zbytku, właśnie był niedawno świeżo urządził, ozdabiając ją kilkoma rzadkimi renesansowymi gobelinami, odnalezionymi na opuszczonym poddaszu w Selby Royal. Gdy ujął za klamkę drzwi, wzrok jego padł na portret namalowany przez Bazylego Hallwarda. Cofnął się zdumiony. Potem nieco zakłopotany wszedł do swego pokoju. Gdy zaczął już rozpinąć guziki ubrania, zdawał się wahać. W końcu wrócił przed obraz i oglądał go badawczo. W słabym świetle, przenikającym przez kremowożółte jedwabne firanki, twarz portretu wydała mu się trochę zmieniona. Miała inny wyraz. Można by powiedzieć, że w ustach czaiło się drgnienie okrucieństwa. Było to doprawdy dziwne.

Portret

Odwrócił się i podszedłszy do okna, rozsunął firanki. Ostre światło napełniło pokój, rozpędzając fantastyczne cienie z ciemnych kątów, gdzie schroniły się trwożnie. Dziwne wrażenie, jakie zauważył na twarzy portretu, stało się silniejsze, wyraźniejsze niż przedtem. Drżące, jaskrawe światło słoneczne ukazało mu rysy okrucieństwa wokół ust tak wyraźnie, jakby spoglądał w zwierciadło, popełniwszy coś strasznego.

Zadrżał i biorąc ze stołu owalne zwierciadło, obramione w kupidynów z kości słoniowej, jeden z licznych podarunków lorda Henryka, gwałtownie patrzył w jego gładkie głębie. Jego czerwonych ust nie mącił żaden podobny rys. Co to ma znaczyć?

Przetarł oczy, stanął przed obrazem i znowu badawczo się mu przyglądał. Nie było śladu żadnych zmian w malowaniu, a jednak nie ulegało wątpliwości, że cały wyraz był zmieniony. To nie było złudzenie wyobraźni. Rzecz była straszliwie oczywista.

Padł na krzesło i począł rozmyślać. Nagle przez myśl przebiegło mu wspomnienie słów, które wypowiedział był w pracowni Bazylego Hallwarda w dniu ukończenia obrazu. Tak, pamiętał to doskonale. Wyrzcił szalone życzenie, aby mógł pozostać młody, gdy portret będzie się starzał, aby jego własna piękność mogła pozostać nienaruszona, kiedy twarz na płótnie będzie obarczało brzemień jego namiętności i jego grzechów, aby na malowanym obrazie rysowały się linie jego cierpienia i myśli, gdy on zachowa cały kwiat wytworności i urody dopiero co uświadomionej, chłopięcej młodości. Jego życzenie nie mogło być, oczywiście, spełnione? Podobne rzeczy są niemożliwe. Sama myśl o tym wydawała się potworna. A jednak na stojącym przed nim obrazie usta zarysowały się drgnieniem okrucieństwa.

Okrucieństwa? Czy był okrutny? To nie było jego wina, ale dziewczyny. Marzył o niej jako o wielkiej artystce, zakochał się w niej, gdyż uważał ją za wielką artystkę. Rozczarowała go. Okazała się płytka i niegodna. A jednak nachodził go bezmierny żal, gdy przypomniał ją sobie leżącą u jego stóp i łkającą jak małe dziecko. Przypomniał sobie swą obojętność, z jaką patrzył na nią. Czemu był taki? Czemu dana mu była taka dusza? Ale on także cierpiał. Przez trzy straszne godziny przedstawienia przeżył wieki bólu, wiecz-

ność udręki. Jego życie tyleż warte co jej. Ona zepsuła mu chwilę, on ją zranił na długo. Przy tym kobiety lepiej znoszą cierpienia niż mężczyźni. One żyją wzruszeniami. Myślą tylko o wzruszeniach. Gdy biorą kochanka, to raczej dlatego, aby mieć kogoś do robienia mu scen. Powiedział mu to lord Henryk, a lord Henryk zna się na kobietach. Czemu miałby się niepokoić o Sybillę Vane? Dla niego jest teraz niczym.

Ale obraz? Co na to powiedzieć? Posiada tajemnicę jego życia i zdradza jego historię. Nauczył go kochać własną piękność. Czyżby miał uczyć go nienawiści do własnej duszy? Czy kiedykolwiek spojrzy nań jeszcze?

Nie, to było raczej złudzenie wzburzonych zmysłów. Straszna noc, którą przeżył, pozostawiła po sobie majaki. Na jego mózg opadła nagle owa drobna szkarłatna plama, przyprowadzająca ludzi o szaleństwo. Obraz się nie zmienił. Podobne przypuszczenie jest niedorzecznością.

A jednak patrzy na niego swą piękną twarzą z okrutnym uśmiechem. Jego bujne włosy lśnią się w porannym słońcu. Jego niebieskie oczy spotykają się z jego własnym wzrokiem. Owładnęło nim uczucie bezmiernej litości, nie nad sobą, lecz nad wymalowanym wizerunkiem. Był już zmieniony i nadal będzie się zmieniał. Złoto jego spłowieje w szarość. Jego czerwone i białe róże zwiędną. Za każdy popełniony przez niego grzech piękność obrazu będzie skażona plamą lub piętnem. Ale on nie będzie grzeszył. Zmieniony czy niezmieniony, obraz będzie widowym stygmatem jego sumienia. Oprze się pokusom. Przystanie się widywać z lordem Henrykiem, a co najmniej nie będzie słuchał tych wyrafinowanych trujących teorii, które w ogrodzie Bazylego Hallwarda po raz pierwszy wzbudziły w nim pragnienie rzeczy niemożliwych. Powróci do Sybilli Vane, przebłaga ją, ożeni się z nią, będzie się starał kochać ją znowu. Tak, to jego obowiązkiem. Ona więcej cierpiała od niego. Biedne dziecko! Był wobec niej samolubny i okrutny. Urok, którym go oczarowała, powróci. Będą szczęśliwi oboje. Ich wspólne życie będzie piękne i czyste.

Wstał z krzesła i naprzeciw portretu ustawił szeroki parawan, wstrząsając się, gdy spojrział płótno. „Jakie to straszne!” — wyszeptał do siebie i podszedłszy do szklanych drzwi, otworzył je. Gdy stanął na trawie, odetchnął głęboko. Świeże ranne powietrze zdawało się płoszyć wszystkie jego posępne uczucia. Myślał tylko o Sybilli. Odezwało się w nim ciche echo miłości do niej. Wciąż powtarzał jej imię. Ptaki śpiewające w okrytym rosą ogrodzie zdawały się opowiadać o niej kwiatom.

ROZDZIAŁ VIII

Obudził się już dobrze po południu. Służący kilkakrotnie wchodził na palcach do pokoju, aby zobaczyć, czy się nie obudził, i był zdziwiony, że jego młody pan śpi tak długo. Wreszcie odezwał się dzwonek i Wiktor wszedł cicho, niosąc na małej tacy z sewskiej⁶⁵ porcelany filiżankę herbaty i stos listów. Rozsunął firanki z oliwkowego atlasu w niebieski deseń, zawieszony w trzech wielkich oknach.

— Jaśnie pan spał dziś bardzo dobrze — rzekł, uśmiechając się.

— Która godzina, Wiktorze? — zapytał leniwie Dorian Gray.

— Kwadrans po pierwszej, jaśnie panie.

Jak późno! Usiadł i łyknąwszy nieco herbaty, przeglądał listy. Jeden był od lorda Henryka, przyniesiono go dziś rano. Wahał się przez chwilę, po czym odłożył go na stronę. Inne otwierał w roztargnieniu. Była to zwykła kolekcja biletów⁶⁶, zaproszeń na obiady, kart wstępu na wystawy prywatne, programów koncertów dobroczynnych i tym podobnych, którymi w ciągu sezonu zasypywano co rano każdego młodego człowieka z towarzystwa. Był tu też dość słony rachunek za srebrne przybory toaletowe w stylu Ludwika XV, którego nie miał jeszcze odwagi przesłać swym opiekunom, ludziom o skrajnie przestarzałych pojęciach, nie umiejących pogodzić się z tym, że żyjemy w czasach, kiedy niezbędne są dla nas tylko rzeczy zbędne. Prócz tego dostarczono sporo bardzo uprzejmych oświadczeń od lichwiarzy z Jermyn Street, gotowych w razie potrzeby udzielić pożyczki na każdą sumę i na bardzo umiarkowany procent.

⁶⁵sewrski — pochodzący z Sevres, słynnej manufaktury porcelany, w XVIII w. produkującej wyroby dla francuskiego dworu królewskiego. [przypis edytorski]

⁶⁶bilet — tu: karta wizytowa. [przypis edytorski]

W dziesięć minut później wstał, zarzucił kosztowny szlafrok z haftowanego jedwabiem kaszmiru i przeszedł do łazienki o posadzce z onyksu. Chłodna woda orzeźwiła go po długim śnie. Zdawał się nie pamiętać niczego, co zaszło. Raz czy dwa przemknęło mu w duszy niejasne wrażenie, jakoby odegrał był rolę w jakiejś niezwyklej tragedii, ale wydało mu się to złudzeniem snu.

Skoro się ubrał, udał się do biblioteki i zasiadł do lekkiego francuskiego śniadania, które podano mu na okrągłym stoliku pod otwartym oknem. Dzień był wspaniały. Gorące powietrze zdawało się przesycone wonnymi korzeniami. Wpadła pszczoła, brzęcząc dokoła stojącej przed nim wazy z niebieskim smokiem, pełnej żółtych róż. Czuł się doskonale szczęśliwy.

Nagle jego wzrok napotkał parawan ustawiony przed portretem. Zadrżał.

— Czy za chłodno jaśnie panu? — zapytał służący, podając na stół omlet. — Może zamknąć okno?

Dorian potrząsnął głową.

— Nie jest mi chłodno — mruknął.

Czy to możliwe? Czy naprawdę portret się zmienił? Czyt to tylko gra jego własnej wyobraźni, ukazująca mu wyraz zła tam, gdzie był wyraz radości? Przecież malowane płótno nie może się zmieniać? To byłoby niedorzeczne. Opowie to któregoś dnia Bazylemu jako bajkę. Rozśmieszy go.

A jednak jak żywe jest wspomnienie całej tej sprawy! Najpierw w półmroku, potem w pełnym świetle widział rys okrucieństwa wokół wykrzywionych ust. Lękał się niemal chwili, gdy służący opuści pokój. Wiedział, iż zostawszy sam, będzie badawczo oglądał portret. Obawiał się pewności. Gdy przyniesiono mu kawę i papierosy i służący zabierał się do odejścia, poczuł dzikie pragnienie przywołania go z powrotem. Gdy zamknęły się za nim drzwi, zawołał nań. Służący stanął w oczekiwaniu na rozkazy. Dorian patrzył nań przez chwilę.

— Dla nikogo nie ma mnie w domu, Wiktorze — powiedział z westchnieniem.

Służący, skłoniwszy się, odszedł.

Wówczas wstał zza stołu, zapalił papierosa i rzucił się na wykwintnie usłaną otomanę naprzeciw parawanu. Parawan był stary, z żółtej skóry hiszpańskiej, wytłoczony i wyłoczony w rzadki, kwiecisty deseń w stylu Ludwika XIV. Przyglądał mu się z ciekawością, zastanawiając się, czy kiedykolwiek krył on już za sobą tajemnicę ludzkiego życia.

Mimo wszystko czy nie należałoby go odsunąć? Czemu nie pozostawić na tym miejscu? Co za pożytek z tego, że będzie wiedział? Jeśli to prawda, jest to straszne. Jeśli nieprawda, czemu się niepokoić? A jeśli zrzędzenie losu lub ślepy przypadek sprawią, że inne oczy spojrzą na niego i zobaczą okropną zmianę? Co miałby robić, gdyby Bazyli Hallward przyszedł i chciał obejrzeć swój własny obraz? Bazyli na pewno tego zechce. Nie, trzeba rzecz zbadać i to zaraz. Wszystko będzie lepsze od straszliwego stanu niepewności.

Wstał i zamknął oboje drzwi. Chciał być przynajmniej sam, gdy będzie patrzył na maskę swej hańby. Usunął parawan i patrzył na siebie twarzą w twarz. Było to zupełną prawdą. Portret się zmienił.

Często przypominał sobie później, zawsze z niemalym zdziwieniem, że początkowo przyglądał się portretowi z uczuciem najwyższego zaciekawienia naukowego. Wydawało mu się nieprawdopodobieństwem, aby taka zmiana mogła mieć miejsce. A jednak tak było. Czyżby istniało jakieś tajemne powinowactwo pomiędzy chemicznymi atomami, powiązanych na płótnie w kształt i barwę, a przebywającą w nim duszą? Czy to możliwe, aby urzeczywistniały to, co pomyśli dusza? O czym ona śni, aby w nich stawało się prawdą? Albo może jest jakaś inna, straszniejsza przyczyna? Zadrżał, poczuł lęk, cofnął się na otomanę i z chorobliwym przerażeniem wpatrywał się w obraz.

Czuł jednak, że było coś, co miało tu dłań znaczenie. Uświadomił sobie, jak niesprawiedliwy, jaki okrutny był w stosunku do Sybilli Vane. Jeszcze nie za późno na naprawienie tego. Jeszcze może zostać jego żoną. Jego nieprawdziwa i samolubna miłość ustąpi wpływowi wyższemu, przeobrazi się w uczucie szlachetniejsze, a portret namalowany przez Bazylego Hallwarda będzie mu przewodnikiem w życiu, będzie mu tym, czym dla jednych świętość, dla innych sumienie, a dla wszystkich bojaźń boża. Istnieją środki łagodzące zgryzoty, trucizny usypiające zmysł moralności. Tu jednak był widomy symbol

grzesznego upadku. Tu był wiecznie obecny znak nieszczęścia, który ludzie sprowadzili na swe dusze.

Wybiła godzina trzecia, potem czwarta, i podwójny dźwięk połowy godziny, Dorian Gray nie ruszył się jednak. Usiłował pochwycić szkarłatne nici życia i utkać je w deseń, odnaleźć drogę w krwawym labiryncie namiętności, którym kroczył. Nie wiedział, co robić i co myśleć. W końcu siadł przy stole i napisał gorący list do dziewczyny, którą kochał, błagając ją o przebaczenie i oskarżając siebie o szaleństwo. Stronę po stronie zapisywał wyrazami dzikiego żalu i wyrazami dzikiego bólu. Istnieje bowiem rozpusta samooskarżenia. Kiedy ganimy sami siebie, czujemy, że nikt inny nie ma prawa nas ganić. Rozgrzeszenia udziela nam spowiedź, a nie kapłan. Gdy ukończył list, Dorian poczuł, że zostało mu przebaczone.

Nagle odezwało się pukanie do drzwi i usłyszał na zewnątrz głos lorda Henryka.

— Mój drogi chłopcze, muszę się z tobą widzieć. Otwórz mi wreszcie. Nie mogę znieść, abys tak się zamykał przede mną.

Na razie nie odpowiadał, zachowując zupełną ciszę. Pukanie powtarzało się, coraz mocniej. Tak, lepiej będzie wpuścić lorda Henryka, wyjaśnić mu, że wstępuję w nowe życie, pogniewać się z nim, jeśli będzie to konieczne, rozstać się z nim, jeśli będzie to nieodzowne. Zerwał się, zasłonił obraz parawanem i otworzył drzwi.

— To wszystko takie dla mnie przykre, Dorianie — rzekł lord Henryk, wchodząc. — Nie powinienes jednak myśleć o tym zbyt wiele.

— Masz na myśli Sybillę Vane? — zapytał młodzieniec.

— Tak, oczywiście — odparł lord Henryk, zagłębiając się w krzesło i powoli ściągając z rąk żółte rękawiczki. — To poniekąd straszne, ale to nie twoja wina. Powiedz mi, czy po przedstawieniu byłeś za kulisami i widziałeś się z nią?

— Tak.

— Wiedziałem, że pójdziesz. Czy zrobiłeś jej scenę?

— Byłem brutalny, Henryku, bezwzględnie brutalny. Ale teraz wszystko w porządku. Nie żałuję niczego, co się stało. Nauczyłem się lepiej znać samego siebie.

— Ach, Dorianie, bardzo jestem zadowolony, że tak się na to zapatrujesz! Obawiałem się, że zastanę cię pograżonego w zgrzyocie i targającego piękne pukle swych włosów.

— Przeszedłem to wszystko — rzekł Dorian, z uśmiechem potrząsając głową. — Jestem znów zupełnie szczęśliwy. Wiem teraz, co to jest sumienie. To nie jest to, co mi o nim mówiłeś. To rzecz najbardziej w nas boska. Nie drwij z niego więcej, Henryku, przynajmniej wobec mnie. Chcę być dobry. Nie mogę znieść myśli, że moja dusza jest brzydka.

— Wspaniała podstawa artystyczna dla etyki, Dorianie! Winszuję ci. Ale co zamierzasz czynić?

— Ożenię się z Sybillą Vane.

— Ożenisz się z Sybillą Vane! — zawołał lord Henryk, wstając i spoglądając nań z trwożnym zdumieniem. — Ależ, mój drogi Dorianie...

— Tak, Henryku, wiem, co chcesz powiedzieć. Coś straszego o małżeństwie. Nie mów. Nie mów mi już nigdy nic w tym rodzaju. Przed dwoma dniami prosiłem Sybillę Vane, aby została moją żoną. Nie złamię danego jej słowa. Zostanie moją żoną.

— Twoją żoną! Dorianie!... Czyś nie otrzymał mego listu? Pisałem do ciebie dziś rano i posłałem list przez mego służącego.

— Twój list? Ach, tak, przypominam sobie. Nie czytałem go jeszcze, Henryku. Obawiałem się, że znajdę w nim coś, co by mi się nie podobało. Szarpiesz życie na strzępy swymi epigramatami⁶⁷.

— Nic więc nie wiesz?

— Co masz na myśli?

Lord Henryk przeszedł przez pokój i siadając obok Doriana Graya, wziął go za rękę i trzymał je serdecznie.

— Dorianie — powiedział — mój list... nie przeraż się.. donosił ci o śmierci Sybilli Vane.

⁶⁷epigramat a. epigram (lit.) — krótki, przeważnie dwuwierszowy utwór poetycki z dobitną puentą; gatunek pochodzący z poezji staroż. [przypis edytorski]

Wykrzyk bólu wydarł się z warg młodzieńca. Skoczył na nogi, wyrrywając ręce z uścisku lorda Henryka.

— Nie żyje! Sybilla nie żyje! To nieprawda! To okrutne kłamstwo! Jak możesz tak mówić?

— Szczera prawda, Dorianie — rzekł lord Henryk poważnie. — Jest to we wszystkich rannych dziennikach. Pisałem ci, abys nie przyjmował nikogo, dopóki nie przyjdę. Będzie, oczywiście, śledztwo, nie powinieneś być w to wmieszany. W Paryżu zrobiłoby to człowieka modnym. Ale w Londynie ludzie są przesądni. Tutaj nikomu nie wolno debiutować skandalem. Należy zachować go na starość, aby móc sobą zaciekać. Spodziewam się, że w teatrze nie znają twego nazwiska? Jeżeli nie znają, to w porządku. Czy ktoś cię widział, gdy wchodziłeś do jej pokoju? To bardzo ważna okoliczność.

Dorian przez parę chwil nie odpowiadał. Zdrętwiał z przerażenia. Wyjąkał wreszcie zdławionym głosem:

— Henryku, mówisz o śledztwie? Co masz przez to na myśli? Czy Sybilla?... Och, Henryku, ja tego nie zniosę! Bądź jednak zwięzły. Powiedz mi wszystko od razu.

— Nie mam wątpliwości, Dorianie, że to nie był przypadek, chociaż tak to należy przedstawić ogółowi. Zdaje się, iż gdy wychodziła z teatru razem z matką, coś około wpół do pierwszej, powiedziała, że czegoś zapomniała w garderobie. Czekano na nią pewien czas, ale nie wracała. Ostatecznie znaleziono ją martwą na podłodze garderoby. Napila się przez pomyłkę jakiegoś z tych strasznych środków, używanych w teatrze. Nie wiem, co to było, ale zapewne coś z kwasem pruskim⁶⁸ albo z octanem ołowiu. Przypuszczam, że raczej kwas pruski, gdyż zdaje się, że skoła natychmiast.

— Henryku, Henryku, to straszne! — zawołał młodzieniec.

— Tak, to oczywiście bardzo tragiczne, nie możesz jednak być w to zamieszany. Z „The Standard” dowiaduję się, że miała siedemnaście lat. Sądziłem, że była jeszcze młodsza. Wyglądała jak dziecko i wydawała się tak niewiele rozumieć na grze. Dorianie, nie bierz tego do serca. Chodź ze mną na obiad, a potem pójdziemy do opery. To wieczór Patti⁶⁹ i wszyscy tam będą. Możesz pójść do loży mej siostry. Będzie z nią kilka ładnych kobiet.

— Więc zamordowałem Sybillę Vane — odezwał się Dorian Gray, na wpół do siebie — zamordowałem ją równie niewątpliwie, jak gdybym był poderżnął nożem jej drobne gardło. Róże nie są bynajmniej mniej piękne niż przedtem. Ptaki w moim ogrodzie śpiewają równie szczęśliwie. Dziś zaś wieczorem będę jadł z tobą obiad, później pójdę do Opery, a następnie, tak przypuszczam, będę gdzieś jadł kolację. Jakżeż życie jest nadzwyczajnie dramatyczne! Gdybym to wszystko czytał w książce, Henryku, zapewne płakałbym nad nią. Obecnie, gdy to zdarzyło się, i to mnie, wydaje mi się zbyt wzniosłe dla łez. Oto mój pierwszy namiętny list miłosny, jaki kiedykolwiek w moim życiu napisałem. Dziwne, że mój pierwszy namiętny list miłosny pisałem do zmarłej dziewczyny. Czy oni czują, owi biali, cisi ludzie, których nazywamy zmarłymi? Sybillo! Czy ona czuje, rozumie, słyszy? Ach, Henryku, jakżeż ją kochałem! Wydaje mi się, że to już lata minęły. Była mi wszystkim. Wtem przyszła ta straszna noc — czy rzeczywiście było to zaledwie wczoraj? — gdy grała tak źle i zламаło się moje serce. Wyjaśniła mi wszystko. Było to strasznie patetyczne. Nie wzruszyło mnie to wcale. Uważałem ją za płytką. Nagle stało się coś, co mnie przestraszyło. Nie mogę ci powiedzieć co, ale było to okropne. Miałem wrócić do niej. Poczulem, że byłem niesprawiedliwy. A teraz ona nie żyje. Mój Boże! Mój Boże! Henryku, co mam robić? Ty nie znasz groźącego mi niebezpieczeństwa, przed którym nie ma żadnej ucieczki. Ona byłaby mnie ocaliła. Nie miała prawa się zabijać. To było samolubne.

— Mój drogi Dorianie — odparł lord Henryk, biorąc papierosa z papierośnicy i wyjmując złote pudełko z zapalnikami — kobieta może odmienić mężczyznę tylko w ten jeden sposób, że go będzie dręczyła dopóty, aż mu całe życie obrzydnie. Gdybyś ożenił się z tą dziewczyną, byłbyś nieszczęśliwy. Oczywiście, byłbyś dla niej uprzejmy. Zawsze jesteśmy uprzejmi dla tych, co nas nie obchodzą. Ale zrozumiałaby niebawem, że jest ci

⁶⁸kwas pruski — potoczna nazwa cyjanowodoru (HCN), bezbarwnej, silnie trującej cieczy o zapachu gorzkich migdałów. [przypis edytorski]

⁶⁹Patti, Adelina (1843–1919) — włoska śpiewaczka sopranowa, odnosząca ogromne sukcesy na scenach operowych Europy i Ameryki; najlepiej opłacana śpiewaczka w swoich czasach. [przypis edytorski]

Samobójstwo

Mizoginia, Małżeństwo

bezwzględnie obojętna. A skoro tylko kobieta zauważy to u swego męża, zaczyna być strasznie zaniedbana lub nosi bardzo ładne kapelusze, za które płaci mąż jakiejś innej kobiety. Nic nie mówię o błędzie towarzyskim, który byłby okropny i do którego nie byłbym oczywiście dopuścił, ale zapewniam cię, że w każdym wypadku cała ta sprawa byłaby bezwzględny nieporozumieniem.

— I ja tak sędzę — szeptał młodzieniec, strasznie blady, chodząc po pokoju tam i z powrotem. — Uważałem to jednak za swój obowiązek. Nie moja wina, że ta straszna tragedia nie pozwoliła mi postąpić, jak należało. Przypominam sobie, co kiedyś powiedziałem, że nad wszystkimi dobrymi postanowieniami unosi się fatum: zawsze bywają powzięte za późno. Ze mną było tak na pewno.

— Dobre postanowienia to bezcelowe wysiłki przezwyciężenia praw naukowych. Ich źródłem jest czysta próżność. Ich wynikiem jest bezwzględne nic. Niekiedy dostarczają nam owych rozkosznych, bezpłodnych wzruszeń, posiadających niejaki urok dla ludzi słabych. To wszystko, co można o nich powiedzieć. Są to po prostu czeki wystawione na bank, w którym nie mamy rachunku.

— Henryku — zawołał Dorian Gray, podchodząc i siadając obok niego — dlaczego ja nie odczuwam tej tragedii tak, jakbym tego chciał? Nie przypuszczam, abym był bez serca. Jak sądzisz?

— Dorianie — odparł lord Henryk ze swym łagodnym, melancholijnym uśmiechem — w ostatni wieczór popełniłeś zbyt wiele szaleństw, aby mieć prawo do tego miana.

Młodzieniec zmarszczył brwi.

— To wyjaśnienie mnie nie przekonuje — odrzekł. — Jestem wszakże, Henryku, zadowolony, że nie uważasz mnie za samoluba. Nie jestem nim. Wiem o tym. Muszę jednak wyznać, że to zdarzenie nie wzrusza mnie tak, jak powinno. Wydaje mi się podobne raczej do wspaniałego zakończenia wspaniałej sztuki. Ma w sobie całe straszliwe piękno greckiej tragedii, tragedii, w której odegrałem główną rolę, ale wyszedłem z niej bez rany.

— To ciekawe zagadnienie — rzekł lord Henryk, znajdując szczególną przyjemność w wygrywaniu nieświadomionemu egotyzmu młodzieńca — nadzwyczaj ciekawe zagadnienie. Wyobrażam sobie, że prawdziwe wyjaśnienie wygląda tak: zdarza się często, iż istotne tragedie życiowe ukazują się w tak nieartystycznym kształcie, że dotyczą nas swą surową gwałtownością, bezwzględnością nieladu, niedorzecznością myśli, zupełnym brakiem stylu. Działają na nas tak, jak działa chamstwo. Robią na nas wrażenie nagiej, brutalnej siły, przeciw czemu buntujemy się. Zdarza się niekiedy, że w życie nasze wkroczy tragedia posiadająca artystyczne pierwiastki piękna. Jeśli te pierwiastki piękna są istotne, wówczas całość działa wprost na nasz zmysł dramatycznego poczucia. Odczuwamy nagle, że nie jesteśmy aktorami w grze, lecz jej widzami. Albo raczej obojgiem. Spoglądamy na siebie samych i ulegamy urokowi widowiska. A cóż zdarzyło się naprawdę w obecnym wypadku? Ktoś zabił się z miłości do ciebie. Chciałbym kiedyś sam doznać podobnego przeżycia. Na resztę mego życia zakochałbym się w miłości. Kobiety, które mnie uwielbiały — nie było ich wiele, ale było kilka — pozostawały zawsze przy życiu, choć dawno przestałem się troszczyć o nie, tak jak one o mnie. Stały się tłuste i nudne, a jeśli je napotkam, natychmiast przywołują wspomnienia. Okropna jest ta kobieca pamięć! To coś strasznego! Dowodzi zupełnego zastoju duchowego! Należy wchłaniać barwę życia, ale nigdy nie pamiętać o jego szczegółach. Szczegóły są zawsze pospolite.

— Zasieję maki w moim ogrodzie — westchnął Dorian.

— To zbyt cenne — odparł towarzysz. — Życie ma zawsze maki w swych rękach. Niekiedy, oczywiście, sprawy się dłużej. Pewnego razu przez cały sezon wciąż nosiłem fiołki, jako rodzaj artystycznej żaloby z powodu romansu, który nie chciał skończyć. Ostatecznie jednak skończył. Już nie pamiętam, co go zabiło. Zdaje mi się, iż była to jej propozycja, że poświęci dla mnie cały świat. Jest to zawsze straszna chwila. Przejmuje nas grozą wieczności. Oto — czy uwierzysz? — przed tygodniem u lady Hampshire przy obiedzie znalazłem się obok damy, o której mowa, nastawała, abyśmy zaczęli rzecz na nowo, spruli przeszłość, aby utkać przyszłość. Złożyłem swój romans w grobie ze złotogłowi. Wyrwała go stamtąd, twierdząc, że złamałem jej życie. Mogłem zauważyć, że obiad jadła z olbrzymim apetytem, więc nie czułem trwogi. Ale jakież okazała brak smaku! Jedynym urokiem przeszłości jest to, że minęła. Kobiety jednak nigdy nie wiedzą, kiedy opadła kurtyna. Chciałyby zawsze szóstego aktu i kiedy ustało już nasze zainteresowanie sztu-

Theatrum mundi

Pamięć

Mizoginia

ką, pragnęłyby przedłużyć ją dalej. Gdyby im pozwolono na to, każda komedia miałaby koniec tragiczny, a każda tragedia kończyłaby się farsą. One są cudownie artystyczne, ale wcale nie mają zmysłu artystycznego. Tyś szczęśliwszy ode mnie. Zapewniam cię, Dorianie, że żadna z kobiet, które znałem, nie zrobiłaby dla mnie tego, co zrobiła dla ciebie Sybilla Vane. Kobieta zazwyczaj pociesza się sama. Niektóre, robiąc to, przybierają uczucie w barwy. Nigdy nie można ufać kobiecie, noszącej malwy, chociażby była nie wiem jak stara, ani też takiej, co po trzydziestym piątym roku życia lubuje się w różowych wstążkach. Oznacza to zawsze jakąś historię. Inne pocieszają się, odkrywając nagle dobre przymioty swych mężów. Chępią się ze swego szczęścia małżeńskiego, jakby to był najbardziej porywający z grzechów. Niektóre znajdują pociechę w religii. Jej misteria, jak wyznała mi raz pewna kobieta, mają urok kokieterii, co mogę doskonale zrozumieć. Nic jednak nie podbija tak naszej próżności, jak to, gdy nam mówią, że jesteśmy grzesznikami. Sumienie robi z nas wszystkich egotystów. Tak, nie ma końca pocieszeniom, jakie znajduje kobieta w nowoczesnym życiu. Prawda, najważniejszego nawet nie wymieniłem.

— Co masz na myśli, Henryku? — zapytał obojętnie młodzieniec.

— Och, pociechę oczywistą. Gdy samej traci się kochankę, zabiera się go innej. W dobrym towarzystwie jest to dla kobiety zawsze oczyszczenie. Naprawdę jednak, Dorianie, jakże różna musiała być Sybilla Vane od innych spotykanych przez nas kobiet! Jej śmierć ma w sobie coś z doskonałego piękna. Rad jestem, że żyję w stuleciu, w którym zdarzają się podobne cuda. Pozwala to wierzyć nam w rzeczywistość tych rzeczy, którymi się bawimy, jak romans, namiętność i miłość.

— Byłem dla niej okrutny. Nie zapominaj o tym.

— Obawiam się, że okrucieństwo, prawdziwe okrucieństwo cenią kobiety bardziej niż wszystko inne. Mają cudownie pierwotne instynkty. Myśmy je wyzwolili, pozostały jednak niewolnicami oglądającymi się za swym panem, zawsze te same. Lubią podlegać. Jestem pewny, że byłeś świetny. Nigdy cię nie widziałem naprawdę i bezwzględnie zagniewanego, ale wyobrażam sobie, jakie doskonale wyglądał. Powiedziałeś mi przy tym przedwczoraj coś, co wydało mi się wówczas urojeniem, teraz widzę, że była to bezwzględna prawda, będąca kluczem do wszystkiego.

— Co powiedziałem, Henryku?

— Mówiłeś, że Sybilla Vane jest dla ciebie ucieleśnieniem wszystkich bohaterek poezji — że jednego wieczora jest Desdemoną⁷⁰, następnego Ofelią⁷¹; że jeśli umiera jako Julia, zmartwychwstaje jako Imogena.

— Teraz już nigdy nie zmartwychwstanie — wyszeptał młodzieniec, chowając twarz w dłonie.

— Nie, już nigdy nie wróci do życia. Odegrała swą ostatnią rolę. Ale ta samotna śmierć w jaskrawej garderobie winna być dla ciebie dziwnym, ponurym fragmentem z jakiejś tragedii z epoki Jakuba⁷², jak czarująca scena Webstera, Forda lub Cyryla Tourneura. Dziewczyna ta nie żyła nigdy naprawdę, więc też nigdy naprawdę nie umarła. Dla ciebie przynajmniej była zawsze marzeniem, zjawą przesuwającą się przez sztuki Szekspira i swą obecnością potęgującą ich urok, była fujarką, dzięki której muzyka Szekspira stawała się bogatsza i pełniejsza w radość. W chwili gdy zetknęła się z rzeczywistością życia, życie ją zniweczyło i zniknęła. Jeśli chcesz, oplakuj Ofelię. Posyp głowę popiołem, gdyż zaduszono Kordelię. Błóżnij niebiosom, że umarła córka Brabancja⁷³. Nie trać jednak swych łez dla Sybilli Vane. Była mniej rzeczywista niż tamte.

Nastało milczenie. Wieczór zmrokiem napełniał pokój. Bez szelestu, srebrzystymi stopami wślizgiwały się cienie z ogrodu. Barwy przedmiotów omdlewały leniwie.

Po pewnym czasie Dorian Gray podniósł oczy.

⁷⁰*Desdemona* — postać z dramatu Szekspira *Otello*, córka weneckiego senatora, uduszona przez swojego chorobliwie zazdrosnego męża. [przypis edytorski]

⁷¹*Ofelia* — bohaterka *Hamleta* Szekspira, nieszczęśliwie zakochana w Hamlecie, popada w obłęd i tonie w rzecę. [przypis edytorski]

⁷²*tragedie z epoki Jakuba* — tj. z okresu panowania angielskiego króla Jakuba I (1603–1625), dla których typowy był wątek cierpienia głównej postaci po utracie ukochanej osoby; rodzaj znany też jako tragedie zemsty, gdyż ich bohater usiłował następnie pomścić stratę. [przypis edytorski]

⁷³*córka Brabancja* — Desdemona, postać z dramatu Szekspira *Otello*, uduszona przez swojego chorobliwie zazdrosnego męża. [przypis edytorski]

— Odsłoniłeś mi mnie samego, Henryku — wyszeptał z pewnym westchnieniem ulgi. — Czulem to wszystko, co powiedziałaś, ale bałem się tego i nie umiałem wyrazić. Jak dobrze mnie znasz! Nie mówmy już jednak o tym, co się stało. Było to cudowne doznanie, nic więcej. Wątpię, aby życie zachowywało dla mnie jeszcze coś równie cudownego.

— Życie ma coś zawsze dla ciebie, Dorianie. Nie ma na świecie nic, czego nie zdołałbyś dokazać przy swej nadzwyczajnej urodzie.

— Wyobraź jednak sobie, Henryku, że wychudnę, zestarzeję się, pokryję się zmarszczkami? Co wtedy?

— Ach, wtedy — rzekł lord Henryk, zabierając się do odejścia — wtedy, mój drogi Dorianie, będziesz musiał walczyć o swe zwycięstwa. Na razie same przychodzą do ciebie. Nie, ty musisz zachować swą urodę. Żyjemy w czasach, w których czyta się zbyt wiele, aby być mądrym, i myśli się zbyt wiele, aby być pięknym. Nie możemy się bez tego obejść. Ale teraz przebierz się i przyjedź do klubu. I tak będziemy spóźnieni.

— Spotkajmy się lepiej w operze. Czuję się, Henryku, zbyt zmęczony, abym mógł jeść. Jaki numer ma łoża twojej siostry?

— Zdaje się, że dwudziesty siódmy. Przy głównym wejściu. Zobaczysz jej nazwisko na drzwiach. Przykro mi jednak, że nie chcesz pójść ze mną na obiad.

— Nie mam sił — rzekł Dorian z roztargnieniem. — Jestem ci jednak bardzo zobowiązany za wszystko, coś mi powiedział. Jesteś naprawdę moim najlepszym przyjacielem. Nikt mnie nigdy nie rozumiał tak jak ty.

— Myśmy dopiero u początku naszej przyjaźni, Dorianie — odparł lord Henryk, podając mu rękę. — Do widzenia. Spodziewam się zobaczyć cię przed wpół do dziesiątej. Nie zapominaj, że śpiewa Patti.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Dorian Gray zadzwonił. W parę minut zjawił się Wiktor z lampami i opuścił rolety. Dorian niecierpliwie oczekiwał na jego odejście. Zdawało mu się, że służący robi każdą rzecz w nieskończenie długim czasie.

Gdy tylko wyszedł, Dorian podbiegł do parawanu i odsunął go. Nie, nie było dalszych zmian na portrecie. Portret otrzymał wieść o śmierci Sybilli Vane, zanim on sam się o tym dowiedział. Odczuwał zdarzenia życiowe w chwili ich dokonania. Straszny wyraz okrucieństwa, wykrzywiający łagodne linie ust, zjawił się bez wątpienia w tej chwili, gdy dziewczyna wypila truciznę, cokolwiek nią było. Albo może pozostawał obojętny wobec wydarzeń? Może odzwierciedlał tylko to, co działo się w jego duszy? Zastanowił się, wyobrażając sobie, że pewnego dnia zmiana dokona się przed jego oczami, i zadrżał na myśl o tym.

Biedna Sybilla! Jakimż to było wszystko romanssem! Często odgrywała śmierć na scenie. Ją samą dotknęła więc śmierć i zabrała ze sobą. Jak też odegrała tę ostatnią straszną scenę? Czy przeklinała go, umierając? Nie, umarła z miłości do niego i miłość będzie teraz dla niego zawsze sakramentem. Odpokutowała za wszystko ofiarą ze swego życia. Nie będzie nigdy więcej myślał o tym, ile wycierpiał przez nią w ów straszny wieczór w teatrze. Pozostanie w jego myśli jak cudowna postać tragiczna, zesłana na świat po to, aby ukazała wyższą prawdę miłości. Cudownie tragiczna postać! Łzy napłynęły mu do oczu, gdy wspomniawszy jej dziecięcy wygląd, jej swobodne i pogodne usposobienie, jej nieśmiały i bojaźliwy wdzięk. Szybko otarł łzy i spojrzął na obraz.

Czuł, że nadchodzi czas dokonania wyboru. A może już go dokonał? Tak, życie zdecydowało za niego — życie i jego własna nieograniczona ciekawość życia. Wieczna młodość, nieskończona namiętność, wytworne i tajemne rozkosze, dzikie radości i dziksze grzechy — to wszystko będzie mieć. Portret będzie nosił brzemień jego hańby: oto wszystko.

Dotknęło go uczucie bólu na myśl, jakiemu zniekształceniu ulegnie piękna twarz na płótnie. W dziecięcym porywie, naśladowując Narcyza, ucałował kiedyś te malowane usta, uśmiechające się doń teraz tak okrutnie. Co rano siadał przed portretem, podziwiając jego piękność, rozkochując się w niej, jak to mu się czasami zdawało. Czy będzie zmieniał się teraz w miarę każdego wzruszenia, które będzie odczuwał? Czy stanie się obrzydliwy i wstrętny, aby trzeba było ukrywać go w zamknięciu, zasłaniając od światła słonecznego, które tylekroć silniej złociło falujące pukle jego włosów? Co za rozpacz! Co za rozpacz!

Przez chwilę miał ochotę modlić się, aby ustał już ten okropny związek między nim a obrazem. Zmienił się w odpowiedzi na jego modlitwę; może w odpowiedzi na modlitwę

Portret

będzie mógł pozostać niezmieniony. Któż jednak, choć trochę znający życie, wyrzekłby się losu zachowania wiecznej młodości, choćby ów los był fantastyczny, a jego skutki nieszczęsne? Czyż było to zresztą w jego mocy? Czy naprawdę modlitwa wywołała tę zmianę? Może była w tym wszystkim jakaś dziwna przyczyna naukowa? Jeśli myśl może wpływać na żyjący organizm, czyżby myśl nie mogła wpłynąć na ciała nieorganiczne? Czyż rzeczy będące poza nami nie mogłyby niezależnie od naszej woli i wiedzy drgać zgodnie z naszymi pragnieniami i naszymi namiętnościami, łącząc atomy w tajemnej miłości lub w dziwnym powinowactwie? Przyczyna była jednak bez znaczenia. Nigdy już nie będzie kusił modlitwą straszliwej mocy. Jeśli obraz się zmienia, niech się zmienia. To wszystko. Po co zbytnio się nad tym zastanawiać?

Obserwowanie tego będzie dla niego prawdziwą przyjemnością. Będzie mógł oglądać swą duszę na jej tajemnych drogach. Ten portret będzie dlań najbardziej magicznym zwierciadłem. Jak objawił mu jego własne ciało, tak będzie mu objawiał jego własną duszę. Gdy dla portretu przyjdzie zima, on pozostanie zawsze tu, gdzie wiosna drży u skraju lata. Gdy krew odbiegnie z jego policzków, pozostawiając bladą gipsową maskę o ołowianych oczach, on zachowa krasę chłopięcej młodości. Nie zwiędnie nigdy ani jeden kwiat jego piękności. Nie osłabnie nigdy ani jedno tętno jego życia. Jak bogowie greccy, będzie mocny, krzepki i radosny. Co go obchodzą losy malowanego obrazu na płótnie? On będzie bezpieczny. To wszystko.

Przesunął parawan na poprzednie miejsce przed obrazem, uśmiechając się przy tym, po czym przeszedł do sypialni, gdzie już czekał na niego służący. W godzinę później był w operze, a lord Henryk pochylał się nad jego krzesłem.

ROZDZIAŁ IX

Nazajutrz rano, gdy siedział przy śniadaniu, wszedł Bazyli Hallward.

— Bardzo się cieszę, że cię zastałem, Dorianie — rzekł poważnie. — Byłem wczoraj wieczór, ale powiedziano mi, że jesteś w operze. Wiedziałem, oczywiście, że to niemożliwe. Wołałbym jednak, abys zostawił wiadomość, gdzie naprawdę poszedłeś. Miałem straszny wieczór, byłem niemal przerażony, że za jedną tragedią może przyjść druga. Myślałem, że zadeszujesz mi, gdy tylko się o tym dowiedziałeś. Zupełnie przypadkowo przeczytałem o tym w ostatnim wydaniu „The Globe”, które wpadło mi w ręce w klubie. Natychmiast tu przyszedłem i nie zastawszy cię, byłem zrozpaczony. Nie umiem nawet wyrazić, jak wziąłem do serca całą tę sprawę. Rozumiem, jak bardzo musisz cierpieć. Ale gdzie byłeś? Czy może u matki tej dziewczyny? Przez chwilę chciałem tam pójść za tobą. Adres podano w dzienniku. Gdzieś na Euston Road, nieprawdaż? Obawiałem się jednak narzucać się w cierpieniu, w którym nie umiałbym pocieszyć. Biedna kobieta! W jakimż musi być stanie! A przy tym to jej jedyne dziecko! Jak zniosła to wszystko?

— Mój drogi Bazyli, co mogę o tym wiedzieć? — wyszeptał Dorian Gray, z wyrazem strasznej nudy, wysączając nieco jasnożółtego wina z wytwornie złoconego kieliszka z weneckiego szkła. — Byłem w operze. Mogłeś być tam przyjść. Poznałem lady Gwendolen, siostrę Henryka. Byliśmy w jej łoży. Jest wprost czarująca, a Patti śpiewała bosko. Nie mów o rzeczach okropnych. Skoro się o czymś nie mówi, nie zdarzyło się nigdy. Jedynie słowo, jak mówi Henryk, nadaje rzeczom rzeczywistość. Mogę tylko powiedzieć, że nie była jej jedynym dzieckiem. Jest jeszcze syn, zapewne czarujący chłopiec. Ale nie w teatrze. Marynarz, czy coś podobnego. A teraz opowiedz mi o sobie i co malujesz.

— Byłeś w operze? — rzekł Hallward, mówiąc bardzo powoli i z dziwnym wyrazem bólu w głosie. — Byłeś w operze, gdy Sybilla Vane leżała martwa w jakimś nędznym mieszkaniu? Możesz mi opowiadać, że inna kobieta jest czarująca i że Patti śpiewała bosko, zanim pochowano w grobie dziewczynę, którą kochałeś? Ach, człowieku, to zbyt okropne dla jej małego białego ciała!

— Przestań, Bazyli! Nie chcę tego słyszeć! — zawołał Dorian, zrywając się na nogi. — Nie wolno ci o tym mówić. Co się stało, to się stało. Co przeszło, minęło.

— Czy dzień wczorajszy nazywasz przeszłością?

— Cóż to za różnica, ile czasu upłynęło? Tylko ludzie płytki potrzebują całych lat, aby uwolnić się od wzruszenia. Człowiek będący panem siebie pozbywa się równie łatwo

przykrości, jak łatwo wynajduje sobie przyjemność. Nie chcę być na łasce mych wzruszeń. Chcę z nich korzystać, radować się nimi i panować nad nimi.

— To straszne, Dorianie! Zmieniłeś się zupełnie. Wyglądasz wciąż równie uroczo, jak wówczas, gdy codziennie przychodziłeś do mej pracowni pozować do portretu. Ale wtedy byłeś prosty, naturalny i czuły. Byłeś najczystszy stworzeniem na całym świecie. A teraz nie rozumiem, co się z ciebie zrobiło. Mówisz, jakbyś nie miał serca ani litości. To wszystko wpływ Henryka. Widzę to.

Młodzieniec zaczerwienił się i podszedłszy do okna, patrzył przez parę chwil na zielony, migotliwy ogród, oblany słońcem.

— Henrykowi zawdzięczam, Bazyli, bardzo wiele — rzekł w końcu — więcej niż tobie. Ty nauczyłeś mnie tylko próżności.

— Ponoszę też za to karę, Dorianie, albo będę kiedyś.

— Nie rozumiem cię, Bazyli — zawołał, odwracając się. — Nie rozumiem, czego chcesz. Czego chcesz?

— Chcę Dorianą Graya, którego malowałem — rzekł smutno artysta.

— Bazyli — rzekł młodzieniec, podchodząc ku niemu i kładąc mu ręce na ramiona — przyszedłeś za późno. Wczoraj, gdy dowiedziałem się, że Sybilla Vane odebrała sobie życie...

— Odebrała sobie życie! Na Boga! Czy to pewne? — zawołał Hallward, patrząc nań z wyrazem przerażenia.

— Mój drogi Bazyli! Myślałeś zapewne, że był to zwykły wypadek? Oczywiście, że odebrała sobie życie.

Starszy mężczyzna ukrył twarz w dłoniach.

— Straszne — szeptał, wstrząsany nagłym dreszczem.

— No — rzekł Dorian Gray — nic w tym strasznego. Jest to jedna z największych tragedii romantycznych naszego wieku. Aktorzy żyją zazwyczaj bardzo pospolicie. Bywają dobrymi małżonkami, wiernymi żonami lub czymś podobnie nudnym. Wiesz, co mam na myśli — drobnomieszczańska cnota i tym podobne. Jakże inna była Sybilla! Przeżywała swą najpiękniejszą tragedię. Była zawsze bohaterką. Ostatniego wieczora — kiedy ją widziałeś — grała źle, gdyż poznała rzeczywistość miłości. Gdy zrozumiała, że to nieprawda, umarła, jak umarłaby Julia. Powróciła do sztuki. Jest w niej coś z męczennicy. Jej śmierć ma całą wzniosłość bezużytecznego męczeństwa, całe piękno jego marnotrawstwa. Ale, jak już mówiłem, nie sądzę, że nie cierpiałem. Gdybyś przyszedł był wczoraj we właściwej chwili — około wpół do szóstej, prawdopodobnie albo kwadrans przed szóstą — zastałbyś mnie we łzach. Nawet Henryk, który był tutaj, przynosząc mi tę wiadomość, wyobrażał sobie, ile przecierpiałem. Cierpiałem ogromnie. Później to minęło. Nie umiem powtarzać wzruszeń. Potrafią to tylko sentymentalisci. Ale ty, Bazyli, jesteś okropnie niesprawiedliwy. Przyszedłeś tu, aby mnie pocieszyć. To bardzo ładnie z twojej strony. Zastałeś mnie pocieszonego i to cię rozgniewało. Jak każdego współczującego człowieka! Przypomina mi to historię, którą Henryk opowiadał mi o pewnym filantropie. Poświęcił on dwadzieścia lat życia na usunięcie jakiejś krzywdy czy zmianę jakiejś niesprawiedliwej ustawy, dobrze już nie pamiętam. W końcu udało mu się, ale nic nie wyrazi jego rozczarowania. Nie miał zupełnie nic do roboty, umierał z nudów i stał się pełnym odludkiem. Zresztą, mój stary kochany Bazyli, jeśli naprawdę chcesz mnie pocieszyć, ucz mnie raczej, jak zapomnieć o tym, co minęło, lub patrzeć na to ze stanowiska czystej sztuki. Czyż to nie Gautier⁷⁴ pisał o „sztuce pocieszającej”? Przypominam sobie, że pewnego dnia w twojej pracowni wpadła mi do rąk mała książka w welinowej⁷⁵ oprawie, gdzie natrafiłem na to cudowne wyrażenie. Nie jestem podobny do tego młodzieńca, o którym opowiadałeś mi, gdy jechaliśmy razem do Marlow, młodzieńca, który twierdził, że żółty atlas może go pocieszyć we wszelkich smutkach życia. Lubię piękne rzeczy, które można dotknąć i wziąć do rąk. Stare brokaty, zielone brązy, wyroby z laki, z kości słoniowej, piękne otoczenie, zbytek, przepych, wszystko to może wiele dać. Ale ważniejsze jest dla mnie wzruszenie artystyczne, które te rzeczy w nas stwarzają lub przynajmniej wzbudzają. Stać się widzem własnego życia, jak mówi Henryk, to wyzwolić

⁷⁴Gautier, *Théophile* (1811–1872) — przedstawiciel francuskiego romantyzmu, pisarz, poeta, dramaturg i krytyk. [przypis edytorski]

⁷⁵welin — rodzaj cienkiego pergaminu z cielejcej skóry. [przypis edytorski]

się od cierpień życia. Wiem, że jesteś zdumiony, słysząc mnie mówiącego w ten sposób. Nie wyobrażasz sobie, jak się rozwinąłem. Gdyś mnie poznał, byłem uczniakiem. Teraz jestem mężczyzną. Mam nowe namiętności, nowe myśli, nowe poglądy. Jestem inny, ale nie powinieneś lubić mnie mniej. Jestem zmieniony, ale powinieneś być zawsze moim przyjacielem. Henrykiem jestem, oczywiście, zachwycony. Ale wiem, że jesteś lepszy od niego. Nie jesteś silniejszy — zbyt lękasz się życia — ale jesteś lepszy. A jak szczęśliwi możemy być razem! Nie odwracaj się ode mnie, Bazyli, i nie gniewaj się na mnie. Jestem, jaki jestem. Nic tu więcej nie ma do powiedzenia.

Malarz czuł się dziwnie wzruszony. Młodzieniec był mu nieskończenie drogi, a jego osobowość była w jego sztuce wielkim punktem zwrotnym. Nie mógł znieść myśli wyrzucania mu czegokolwiek. Zresztą jego obojętność była zapewne przemijającym kaprysem. Tyle było w nim przecież dobroci i tyle szlachetności.

— Dobrze, Dorianie — rzekł w końcu ze smutnym uśmiechem. — Nie będę już więcej mówił z tobą o przedwczorajszym strasznym wypadku. Mam nadzieję się, że twoje nazwisko nie będzie wymieniane w związku z tą sprawą. Śledztwo ma się odbyć dziś po południu. Czy zostałeś wezwany?

Dorian przecząco potrząsnął głową, a przy wyrazie „śledztwo” na jego twarzy zjawił się wyraz rozdrażnienia. Wszystko tego rodzaju jest tak brutalne i ordynarne.

— Nie znają mego nazwiska — odparł.

— Ale ona je знаła?

— Tylko imię, a jestem pewien, że nie wymieniała go nikomu. Mówiła mi raz, że wszyscy byli bardzo ciekawi dowiedzieć się, kim jestem, lecz ona niezmiennie odpowiadała, że nazywam się książę z bajki. To było ładnie z jej strony. Musisz mi, Bazyli, narysować Sybillę. Chciałbym mieć po niej coś więcej niż wspomnienie kilku pocałunków i paru urwanych patetycznych słów.

— Spróbuję, Dorianie, i zrobię wszystko, co chcesz. Musisz jednak przyjść do mnie i pozować mi znowu. Bez ciebie nie mogę pracować.

— Nigdy ci już nie będę pozował, Bazyli. To niemożliwe! — wykrzyknął, cofając się.

Malarz patrzył nań zdumiony.

— Mój drogi chłopcze, co za niedorzeczność! — zawołał. — Czy chciałbyś przez to powiedzieć, że nie podoba ci się mój portret? Gdzież on jest? Dlaczego zastawiłeś go parawanem? Pozwól mi na niego popatrzeć. To moje najlepsze dzieło. Każ odsunąć parawan, Dorianie. To wprost niegrzecznie ze strony twego służącego, że tak zasłania mój obraz. Czulem to, wchodząc, że pokój wygląda inaczej.

— To nie jest wina mojego służącego, Bazyli. Nie wyobrażasz sobie chyba, aby od niego zależało urządzenie mego pokoju? Co najwyżej niekiedy ustawi dla mnie kwiaty — to wszystko. Nie, zrobiłem to sam. Było za silne światło dla portretu.

— Za silne? Na pewno nie, drogi przyjacielu. To dla niego doskonale miejsce. Pozwól mi go zobaczyć.

Hallward przeszedł w róg pokoju.

Okrzyk przerażenia wydobył się z warg Doriany Graya, który rzucił się między malarza a parawan.

— Bazyli — powiedział z pobladłą twarzą — nie możesz go oglądać. Nie chcę tego.

— Nie mogę oglądać własnego obrazu! Nie mówisz tego poważnie. Dlaczegoż nie miałbym go oglądać? — zawołał Hallward, śmiejąc się.

— Jeśli spróbujesz na niego spojrzeć, Bazyli, dam ci słowo honoru, że nie zamienię z tobą jednego słowa do końca mego życia. Mówię zupełnie poważnie. Nie dam ci żadnych wyjaśnień i nie pytaj o nie. Ale pamiętaj: jeśli dotkniesz parawanu, wszystko między nami skończone.

Hallward był jak rażony gromem. Patrzył na Dorianę Graya w zupełnym osłupieniu. Nigdy go takim nie widział. Młodzieniec był zupełnie błądy z gniewu. Pięści miał zaciśnięte, a źrenice jego oczu wyglądały jak pociski z błękitnego ognia. Drżał całym ciałem.

— Dorianie!

— Nic nie mów!

— Ależ co to znaczy? Oczywiście, nie będę patrzył na obraz, jeśli tego nie chcesz — powiedział raczej chłodno, odwracając się i podchodząc do okna. — Ale doprawdy,

wygląda to zupełnie niedorzecznie, że nie mogę oglądać mego własnego obrazu, zwłaszcza, iż na jesieni mam go zamiar wystawić w Paryżu. Przedtem zapewne będę go musiał na nowo powernikować, więc i tak będę musiał popatrzeć nań któregoś dnia, czemuż więc nie dzisiaj?

— Wystawić! Chcesz go wystawić? — zawołał Dorian Gray, dziwnie wstrząsając się z przerażenia. Więc cały świat ma oglądać jego tajemnicę? Cały świat będzie się gapił na tajemnicę jego życia? To niemożliwe. W jakiś sposób — nie wiedział jeszcze jak — należy temu od razu zapobiec.

— Tak, nie przypuszczałem, że będziesz temu przeciwny. Georges Petit zbiera wszystkie moje najlepsze obrazy na wystawę na Rue de Seze, która ma być otwarta w pierwszym tygodniu października. Portret zostanie zabrany tylko na miesiąc. Sądzę, że użyczysz go na ten czas. Zwłaszcza, że zapewne nie będzie cię tutaj. Zresztą, skoro go zasłaniasz parawanem, nie powinno ci na tym zależeć.

Dorian Gray przeciągnął ręką po czole. Było pokryte kroplistym potem. Czuł, że stoi na skraju strasznego niebezpieczeństwa.

— Mówiłeś mi przed miesiącem, że nigdy go nie wystawisz — zawołał. — Dlaczego zmieniasz swe postanowienie? Wy, którzy chcecie uchodzić za ludzi stanowczych, jesteście równie zmienni, jak inni. Różnicie się tylko tym, że wasze zmiany poglądów są bezpodstawne. Widocznie zapomniałeś o tym, iż zapewniałeś mnie najuroczyściej, że nikt w świecie nie skłoni cię do tego, abys oddał go na wystawę. Zupełnie tak samo mówiłeś do Henryka.

Nagle przerwał, a w jego oczach błysnął płomień. Przypomniał sobie, że lord Henryk mówił raz doń pół serio, pół żartem: „Jeśli zechcesz mieć kiedy ciekawy kwadrans, zapytaj Bazylego, dlaczego nie chce wystawić twego portretu. Mówił mi to i było to dla mnie rewelacją”. Tak, może Bazyl ma swoją tajemnicę. Spróbuje go zapytać.

— Bazyl! — powiedział, podchodząc doń blisko i patrząc mu wprost w oczy — każdy z nas ma swą tajemnicę. Powiedz mi swoją, a ja ci opowiem moją. Jaki miałeś powód, aby odmawiać wystawienia mego portretu?

Malarz drgnął mimo woli.

— Dorianie, jeśli ci powiem, będziesz mnie mniej kochał i na pewno będziesz się śmiał ze mnie. Jedno i drugie byłoby dla mnie nie do zniesienia. Jeśli nie życzysz sobie, abym kiedykolwiek oglądał twój portret, zgadzam się na to. Mogę zawsze patrzeć na ciebie. Jeśli chcesz, aby najlepsze moje dzieło pozostało nieznane dla świata, zgadzam się i na to. Twoja przyjaźń jest mi droższa nad rozgłos i sławę.

— Nie, Bazyl, musisz mi to powiedzieć — nalegał Dorian Gray. — Sądzę, że mam do tego prawo.

Na miejsce trwogi, która minęła, objęło go uczucie zaciekawienia. Był zdecydowany dobrać do tajemnicy Bazylego Hallwarda.

— Usiądźmy, Dorianie — rzekł malarz zmieszany. — Usiądźmy. Odpowiedz mi najpierw na jedno pytanie. Czy nie zauważyłeś w obrazie czegoś ciekawego? Czegoś, czego początkowo nie dostrzegłeś, a co nagle ci się ujawniło?

— Bazyl! — zawołał młodzieniec, chwytając drżącymi rękoma za poręcz jego krzesła i wpatrując się weń dzikim, przerażonym wzrokiem.

— Widzę, że zauważyłeś. Nic mi nie mów. Posłuchaj najpierw, co ci powiem. Dorianie, od chwili, kiedy cię spotkałem, twoja osobowość wywarła na mnie nadzwyczajny wpływ. Zawładnąłeś mą duszą, moim umysłem i moim natchnieniem. Stałeś się dla mnie widocznym ucieleśnieniem tego niewidzialnego ideału, którego wspomnienie nawiedza nas artystów jako cudowne marzenie. Ubóstwiałem cię. Byłem zazdrosny o każdego, z kim rozmawiałeś. Chciałem mieć cię wyłącznie dla siebie. Byłem szczęśliwy tylko razem z tobą. Gdy nie byłeś ze mną, byłeś wciąż obecny w mej sztuce... Oczywiście, nigdy ci o tym nie mówiłem. Było to niemożliwe. Nie byłbyś mnie zrozumiał. Sam siebie z trudnością rozumiałem. Wiedziałem tylko, że spojrzawszy oko w oko doskonałości i że świat stał się dla moich oczu cudem, możliwe, że zbyt wielkim cudem, gdyż w takim ubóstwianiu tkwi niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo utraty, nie mniejsze niż niebezpieczeństwo zachowania... Mijały tygodnie, a ja coraz więcej byłem tobą zajęty. Potem nastąpił nowy zwrot. Rysowałem cię jako Parysa⁷⁶ w wytwornej zbroi i jako Adonisa w ubiorze my-

Miłość platoniczna

Portret

śliwskim z błyszczącym oszczepem. Uwieńczony ciężkim kwieciami lotosu siedział na kraju łodzi Hadriana, spoglądając na zielone nurty Nilu. Pochylał się nad cichym strumieniem jakiegoś greckiego gaju i w milczącym srebrze wody oglądał cud własnego oblicza. I wszystko było takie, jaka powinna być sztuka: nieświadome, idealne i dalekie. Pewnego dnia, dnia nieszczęsnego, jak sądzę, postanowiłem namalować twój cudowny portret, tak jak byłeś w rzeczywistości, nie w ubiorze umarłych wieków, lecz w twym własnym ubraniu i w twej własnej epoce. Czy był to realizm metody czy jeszcze jeden cud twej osobowości, że objawił mi się bezpośrednio, nieprzesłonięty mgłą ani zasłoną, tego nie wiem. Ale wiem, że gdy malowałem, każda plama i każdy odcień barwy odsłaniał mi własną tajemnicę. Byłem przerażony, że inni poznają moje bóstwo. Czulem, Dorianie, że nadmiernie się wypowiedziałem, że włożyłem w portret za dużo samego siebie. Wówczas postanowiłem nigdy nie wystawiać obrazu. Byłeś tym nieco rozczarowany, ale nie mogłeś wyobrazić sobie, jakie to miało dla mnie znaczenie. Henryk, któremu mówiłem o tym, wyśmiał mnie. Nie obchodziło mnie to. Gdy obraz był skończony i pozostałem z nim sam, czulem, że mam rację... Po kilku dniach, gdy obrazu nie było już w pracowni, skoro pozbyłem się nieznośnego uroku jego obecności, wydało mi się, że byłem szalony, wyobrażając sobie, że jest w nim coś więcej niż to, że ty jesteś niezwykle piękny, a ja umiem malować. Nawet teraz nie mogę pozbyć się uczucia, iż błędne jest mniemanie, jakoby namiętność twórcy ujawniała się rzeczywiście w stworzonym dziele. Sztuka jest zawsze bardziej oderwana, niż to sobie wyobrażamy. Kształt i barwa mówią nam o kształcie i barwie — nic więcej. Wydaje mi się często, że sztuka raczej ukrywa artystę, niż miałaby go objawiać. Kiedy więc otrzymałem z Paryża to zaproszenie, postanowiłem wystawić twój portret jako moje główne dzieło. Nie przyszło mi nawet na myśl, że mógłbyś tego odmówić. Widzę teraz, że masz słusność. Tego obrazu nie powinno się pokazywać. Nie gniewaj się, Dorianie, że powiedziałem ci to wszystko. Jak już raz powiedziałem Henrykowi, jesteś stworzony, aby cię ubóstwiano.

Dorian Gray odetchnął głęboko. Policzki jego nabrały barwy, a na ustach zaigrał uśmiech. Niebezpieczeństwo minęło. Na razie był bezpieczny. Czulem jednak niezmiernie współczucie dla malarza, który właśnie uczynił przed nim tak niezwykle spowiedź, i zapytywał się w duchu, czy mógłby kiedyś zostać tak opanowany przez osobowość jakiegoś przyjaciela. Lord Henryk miał wdzięk, który mógł go czynić bardzo niebezpiecznym. Ale nic nadto. Był nazbyt mądry i nazbyt cyniczny, aby mógł naprawdę porwać sobą. Czy napotka kiedyś człowieka, którego mógłby tak niezwykle ubóstwiać? Czy życie szykuje mu coś podobnego?

— To dla mnie nadzwyczajne, Dorianie — rzekł Hallward — że zauważyłeś to w portrecie. Czy naprawdę to zauważyłeś?

— Zauważyłem w nim coś — odparł — coś, co wydało mi się bardzo ciekawe.

— Nie będziesz teraz wzbraniał, abym go oglądał?

Dorian potrząsnął przecząco głową.

— Nie żądaj tego ode mnie, Bazyli. Uważam to za niemożliwe, abyś patrzył na ten obraz.

— Pozwolisz mi któregoś dnia, na pewno?

— Nigdy.

— Może masz słusność. Więć do widzenia, Dorianie. Byłeś jedyną osobą w moim życiu, która wywarła wpływ na moją sztukę. Cokolwiek zrobiłem dobrego, zawdzięczam tobie. Ach, ty nawet nie wiesz, ile mnie kosztuje, żem ci opowiedział to wszystko.

— Mój drogi Bazyli — rzekł Dorian — cóż takiego powiedziałeś? Tylko tyle, że nazbyt mnie podziwiałeś. To nawet nie jest pochlebstwem.

— Wcale nie miałem zamiaru, aby było pochlebstwem. To była spowiedź. Teraz, gdy ją zrobiłem, wydaje mi się, że coś odeszło ode mnie. Może nigdy nie należy ujmować w słowa swego uwielbienia.

— Ta spowiedź mnie rozczarowała.

— A czegoś oczekiwałeś, Dorianie? Nie dostrzegłeś przecież na obrazie nic innego, nieprawdaż? Nie znalazłeś w nim nic innego?

⁷⁶Parys (mit. gr.) — syn Priama i Hekabe, królewicz trojański; porwał Helenę, żonę władcy Myken Menelaosa, co było bezpośrednim powodem rozpoczęcia wojny trojańskiej. [przypis edytorski]

— Nie, nie było w nim nic innego. Czemu pytasz? Nie wolno ci jednak mówić o ubóstwianiu. To niedorzeczność. Jesteśmy przyjaciółmi, Bazyli, i winniśmy zawsze nimi pozostać.

— Masz przecież Henryka — rzekł malarz smutnie.

— Och, Henryka? — zawołał młodzieniec, śmiejąc się krótko. — Henryk spędza dnie na tym, aby mówić rzeczy niewiarygodne, a wieczory na tym, aby robić rzeczy nieprawdopodobne. Pragnąłbym żyć zupełnie tak samo. Nie sądzę jednak, abym mógł udać się do Henryka, gdybym potrzebował rady. Udałbym się raczej do ciebie, Bazyli.

— Będziesz mi jeszcze pozował?

— Niemożliwe!

— Dorianie, tą odmową niszczysz mnie jako artystę. Nigdy nie spotyka się w życiu dwóch ideałów. Rzadko spotyka się jeden.

— Nie jestem w stanie ci tego wyjaśnić, Bazyli, ale nie mogę ci już nigdy pozować. W portrecie jest coś fatalistycznego. Ma on swe własne życie. Przyjdę do ciebie na herbatę. Będzie nam tak samo przyjemnie.

— Sądzę, że dla ciebie przyjemniej — wyszeptał Hallward z żalem. — A więc do widzenia. Przykro mi, że nie chcesz nigdy pokazać mi portretu. Trudno jednak. Zupełnie dobrze rozumiem, co czujesz.

Gdy wyszedł z pokoju, Dorian Gray uśmiechnął się do siebie. Biedny Bazyli! Jakże mało wiedział o istotnej prawdzie! I jakie to dziwne, że on sam nie tylko nie wydał swej tajemnicy, a na odwrót, prawie przypadkowo wydał ją od przyjaciela! Ileż wyjaśniała mu ta niezwykła spowiedź! Nedorzeczne napady zazdrości malarza, jego dzikie oddanie, jego przesadne pochwały, jego dziwne milczenia — wszystko to teraz rozumiał i było mu nieprzyjemnie. Wydała mu się nieco tragiczna ta przyjaźń, zabarwiona tak romantycznie.

Westchnął i zadzwonił. Na wszelki wypadek należy portret usunąć. Nie może się narażać na nowe niebezpieczeństwo odkrycia. Było z jego strony szaleństwem trzymać go choćby przez godzinę w pokoju, do którego miał wstęp każdy z jego przyjaciół.

ROZDZIAŁ X

Gdy wszedł służący, spojrział nań ostro, chcąc go wy badać, czy nie przyszło mu na myśl zaglądać za parawan. Służący z miną zupełnie obojętną czekał na rozkazy. Dorian zapalił papierosa, przeszedł przez pokój i stanął przed zwierciadłem. Widział w nim dokładnie odbicie twarzy Wiktora. Była to nieruchoma maska służbisty. Z tej strony nie było żadnych obaw. Pomyślał jednak, że lepiej mieć się na baczności.

Mówiąc bardzo powoli, kazał mu zawezwać do siebie gospodynię oraz sprowadzić zaraz dwóch ludzi od ramiarza. Zdawało mu się, iż wzrok służącego, gdy odchodził, był skierowany w stronę parawanu. Było to może złudzeniem jego własnej wyobraźni?

W parę chwil potem zjawiała się w bibliotece pani Leaf, w czarnej jedwabnej sukni, z pomarszczonymi rękami w staromodnych nicianych mitynkach⁷⁷. Zażądał od niej klucza od sali szkolnej.

— Od starej sali szkolnej, panie Dorianie? — zawołała. — Ależ tam pełno kurzu. Zanim pan tam pójdzie, muszę ją uporządkować i wyczyścić. Nie jest przygotowana na wejście jaśnie pana. Doprawdy, że nie.

— Nie potrzeba tam nic porządkować, pani Leaf. Proszę mi tylko dać klucz.

— Ależ jaśnie panie, tam pełno pajęczyn. Nie otwierano jej od blisko pięciu lat, od śmierci jego lordowskiej mości.

Drgnął na wspomnienie dziadka. Zachował po nim przykre wspomnienia.

— Nie szkodzi — odparł. — Chcę tylko zobaczyć ten pokój, nic więcej. Proszę dać mi klucz.

— Tutaj jest klucz, jaśnie panie — rzekła staruszka, szukając niepewnie drżącymi palcami w dużym pęku swych kluczy. — Tutaj jest klucz. Zaraz zdejmę go z kółka. Ale jaśnie pan nie ma chyba zamiaru przenosić się tam, tu jest wygodnie?

— Nie, nie — zawołał niecierpliwie. — Dziękuję, pani Leaf. Tak, dobrze.

⁷⁷ mitynki — rękawiczki bez palców, zwykle koronkowe i ozdobne. [przypis edytorski]

Zatrzymała się jeszcze chwilę, rozgadując się o jakichś drobiazgach gospodarskich. Westchnął, wreszcie oświadczył, że może gospodarować, jak sama uważa, że będzie lepiej. Wyszła rozpromieniona.

Gdy zamknęły się za nią drzwi, Dorian włożył klucz do kieszeni i rozejrzał się po pokoju. Wzrok jego zatrzymał się na dużej purpurowej kapie atlasowej, suto haftowanej złotem, wspaniałym zabytku roboty weneckiej z XVII wieku, znalezionym przez jego dziadka w jakimś klasztorze koło Bolonii. Tak, to może posłużyć do osłonięcia tej strasznej rzeczy. Często zapewne służyło do okrywania zwłok. Teraz ma osłaniać co, podlegającego rozkładowi gorszemu niż rozkład pośmiertny, coś, co rodzi przerażenie, a nigdy nie umiera. Czym robactwo dla zwłok, tym jego grzechy dla obrazu malowanego na płótnie. Zniszczą jego piękno i zeżrą jego wdzięk. Splugawią go i okryją hańbą. A jednak będzie ciągle żył. Wciąż będzie żywy.

Wstrząsnął się i przez chwilę żałował, że nie powiedział Bazylemu o rzeczywistej przyczynie, dlaczego chce ukryć obraz. Bazyli byłby mu dopomógł oprzeć się wpływowi lorda Henryka i jeszcze bardziej trującym pokusom własnej natury. Miłość, jaką mu okazywał, gdyż była to naprawdę miłość, nie miała w sobie nic, co by nie było szlachetne i uduchowione. Nie był to ów fizyczny podziw dla piękności, rodzący się ze zmysłów i zamierający, gdy zmysły się znużą. Była to miłość, jaką znał Michał Anioł⁷⁸, i Montaigne⁷⁹, i Winkelmann⁸⁰, i nawet Szekspir⁸¹. Tak, Bazyli mógłby go ocalić. Przeszłość można zniweczyć zawsze. Przez żal, skruchę i zapomnienie. Ale przyszłość jest nieunikniona. W niej tkwią namiętności, które znajdują swe straszliwe ujście, marzenia, które rzucą cię swej grzesznej rzeczywistości.

Zdjął z posłania okrywającą je ciężką, purpurowo-złocistą tkaninę i niosąc ją w rękach, wszedł za parawan. Czy twarz na płótnie była nikczemniejsza niż przedtem? Zdawało mu się, że pozostała niezmienną, a jednak jego wstręt do niej był silniejszy. Złociste włosy, niebieskie oczy i karminowe wargi — pozostały te same. Zmienił się tylko wyraz. Był straszny w swym okrucieństwie. W porównaniu z napomnieniem czy naganą, jakie widział, jak nikłe były wyrzuty Bazylego z powodu Sybilli Vane! Jak nikłe i bez znaczenia! Jego własna dusza patrzyła nań z płótna i wzywała go na sąd. Wyraz bólu zmącił jego rysy, gdy zarzucał na obraz bogaty całun. W tej chwili zapukano do drzwi. Gdy wyszedł z za parawanu, wszedł służący.

— Ci ludzie już przyszli, jaśnie panie.

Czuł, że musi go natychmiast oddalić. Nie powinien wiedzieć, co stanie się z obrazem. Było w nim coś chytrego, jego oczy były zamyślane, zdradliwe. Siadł przy biurku i napisał kartkę do lorda Henryka, prosząc go, aby mu przysłał coś do czytania, i przypominając, że mają spotkać się wieczorem o kwadrans na dziewiątą.

— Zaczekasz na odpowiedź — powiedział, oddając mu list — a tych ludzi wpuść tutaj.

Za dwie lub trzy minuty znów zapukano i wszedł sam pan Hubbard, sławny ramiarz z South Audley Street, w towarzystwie młodego, dość niezręcznie wyglądającego pomocnika. Pan Hubbard był to niski mężczyzna w kwiecie wieku, o rudych bokobrodach. Jego podziw dla sztuki został znacznie ograniczony skutkiem niepoprawnej niewypłacalności większości artystów, z którymi miał do czynienia. Z zasady nigdy nie opuszczał swego sklepu. Czekał, by przychodzono do niego. Wyjątkowe ustępstwo robił zawsze dla Doriana Graya. Dorian miał w sobie coś, czym czarował wszystkich. Nawet patrzenie na niego było już przyjemnością.

⁷⁸Michał Anioł, właśc. *Michelangelo di Lodovico Buonarroti Simoni* (1475–1564) — jeden z najwybitniejszych włoskich malarzy, rzeźbiarzy i architektów epoki odrodzenia. W swoich sonetach opisywał m.in. swą miłość do Tommaso dei Cavalieri (ok. 1509–1587), wówczas 23-letniego młodzieńca. [przypis edytorski]

⁷⁹Montaigne, *Michel de* (1533–1592) — francuski filozof i pisarz epoki renesansu, prekursor eseju (*Próby*). W eseju *O przyjaźni* opisał pojęcie przyjaźni romantycznej, od ok. 1577 przez kilka lat pozostawał w romancyzycznym związku z Etienne de La Boétie (1530–1563). [przypis edytorski]

⁸⁰Winkelmann, *Johann Joachim* (1717–1768) — niemiecki archeolog i historyk sztuki, autor dzieła *Dzieje sztuki starożytnej*, propagator neoklasycyzmu. Był homoseksualny, zaś jego pisma na temat estetyki cechuje otwarty homoerotyzm. [przypis edytorski]

⁸¹Szekspir, właśc. *William Shakespeare* (1564–1616) — angielski dramaturg, poeta i aktor, uważany za jednego z najwybitniejszych pisarzy literatury angielskiej. Większość jego sonetów jest kierowanych do niewymienionego z imienia pięknego, egocentrycznego młodzieńca (Fair Youth), wykraczając poza ton zwykłej męskiej przyjaźni, co stało się podstawą do spekulacji o biseksualizmie autora. [przypis edytorski]

— Czym mogę służyć, panie Gray? — zapytał, zacierając tłuste, piegowate ręce. — Czuję się w obowiązku, aby mieć ten zaszczyt, żeby przyjść samemu. Mam właśnie przednie ramy, jasnie panie. Zdobyłem je na licytacji. Staroflorenckie. Pochodzą podobno z Fonthill⁸². Doskonale nadają się, panie Gray, do obrazu religijnego.

— Przykro mi, że trudził się pan osobiście, panie Hubbard. Oczywiście, przyjdę obejrzyć ramy, chociaż na razie nie zajmuje mnie sztuka religijna, dziś chciałem tylko przenieść jeden obraz na górę. Jest dość ciężki, dlatego chciałem pana prosić o paru pańskich ludzi.

— Nic nie szkodzi, panie Gray. Jestem zachwycony, że mogę panu usłużyć. Gdzież jest to dzieło sztuki, jasnie panie?

— To — odparł Dorian, odsuwając parawan. — Czy można przenieść je z zasłoną, razem ze wszystkim, tak jak jest? Nie chciałbym, aby przy przenoszeniu po schodach zostało uszkodzone.

— Nic trudnego, jasnie panie — rzekł ramiarz wesoło, przy pomocy czeladnika zdejmując obraz z długich mosiężnych łańcuchów, na których był zawieszony. — A teraz, dokąd mamy je zanieść, panie Gray?

— Pokażę panu drogę, panie Hubbard, proszę iść za mną. Lub raczej proszę iść przede mną. Przykro mi, ale to na samą górę. Pójdziemy schodami frontowymi, bo szersze.

Otworzył im drzwi, którymi wyszli do sieni i poczęli iść po schodach. Ozdobne ramy uczyniły obraz wyjątkowo obszernym, więc Dorian kilka razy pomagał go nieść, co wywoływało ugrzecznione sprzeciwy pana Hubbarda, który jako prawdziwy kupiec nie mógł bez przykrości patrzeć, że jasnie pan robi coś pożytecznego.

— Porządny ciężar, jasnie panie — dyszał mały mężczyzna, gdy stanęli na najwyższym schodzie, i ocierał spocone czoło.

— Wydaje się bardzo ciężki — mruknął Dorian, otwierając drzwi pokoju, mającego mieścić dziwną tajemnicę jego życia i kryć jego duszę przed oczami świata.

Nie wchodził tu przeszło od czterech lat — tak, rzeczywiście, niegdyś, gdy był dzieckiem, było to miejsce jego zabaw, potem, gdy był starszy, miejsce nauki. Był to duży, foremny pokój, zbudowany przez ostatniego lorda Kelso umyślnie dla jego małego wnuka, którego zawsze nienawidził i trzymał z dala od siebie, z powodu jego dziwnego podobieństwa do matki, a także z innych przyczyn. Dorianowi wydało się, że niewiele się tu zmieniło. Wszakże to ta sama obszerna szafa włoska z fantastycznie pomalowanymi drzwiami i z poczerniałymi złoceniami gzymsów, w której jako chłopiec tak często się chował. Wszakże to półka z polituowanego drzewa, zapełniona książkami szkolnymi o pozaginanych kartach. Za nimi wisi ten sam rozdarty gobelin flamandzki, na którym spłwiała król i królowa grają w szachy, gdy opodal przejeżdża orszak sokolników, trzymających zakapturzone ptaki w okrytych rękawicami rękach. Jak dobrze pamięta to wszystko! Gdy rozglądał się po pokoju, stawała mu w myśli każda chwila jego samotnego dzieciństwa. Wspomnił nieskalaną czystość swej młodości i wydało mu się straszne, że właśnie tutaj ma być ukryty fatalny portret. Jakżeż mało wiedział w tych zamierzchłych dniach o losach swego życia!

W całym domu nie było jednak miejsca równie jak to niedostępnego oczom ciekawych. On ma klucz i nikt tu nie wejdzie. Pod purpurowym całunem malowana na płótnie twarz może stać się zwierzęca, obrzmiała i wstrętna. Co z tego? Nikt nie zobaczy. On sam nie będzie oglądał. Po cóż miałby patrzeć na ohydny rozkład swej duszy? Zachowa swą młodość — to dosyć. Zresztą, poza wszystkim, czy jego natura nie może wypięknąć? Nie ma powodu, aby przyszłość musiała być tak haniebna. Jakaś miłość przejdzie przez jego życie, aby go oczyścić i uwolnić od tych grzechów, które zdają się już kiełkować w jego duszy i ciele — od tych dziwnych, nieznanych grzechów, którym tajemniczość dodaje wdzięku i czaru. Być może pewnego dnia wyraz okrucieństwa zniknie ze szkarłatnych, zmysłowych ust i będzie mógł pokazać światu arcydzieło Bazylego Hallwarda.

Nie, to niemożliwe. Z godziny na godzinę, z tygodnia na tydzień obraz musi się starzeć. Może uniknąć brzydoty grzechu, ale brzydota starości jest nieodwołalna. Policzki

Starość

⁸²*Fonthill Abbey* — ekstrawagancka, wielka rezydencja w stylu neogotyckim zbudowana na wzór opactwa w latach 1796–1813 w Fonthill Gifford w hrabstwie Wiltshire w Anglii. Pośpiech podczas budowy i wadliwa konstrukcja spowodowały w 1825 zawalenie się wieży i zniszczenia zach. skrzydła budynku, resztę rozebrano ok. 1845. Do dziś zachowała się tylko niewielka pozostałość płn. skrzydła. [przypis edytorski]

muszą się zapaść lub obwisnąć. Żółte zmarszczki okrażają wyblakłe oczy, czyniąc je szpetnymi. Włosy tracą połysk, usta zapadną się lub wklęsną, staną się głupie lub gburowate, jak usta starych ludzi. Szyja pomarszczy się, ręce będą zimne i zblękitnieją od żył, ciało skurczy się, jak to pamięta u dziadka, który dla niego jako chłopca był zawsze taki surowy. Obraz musi pozostać w ukryciu. Nie ma na to rady.

— Proszę go wnieść tu, panie Hubbard — powiedział z trudem, odwracając się. — Przykro mi, że trzymam pana tak długo. Myślałem o czymś innym.

— Zawsze jest dobrze móc odpocząć, panie Gray — odparł ramiarz, wciąż jeszcze zadyszany. — Gdzie go ustawić, jaśnie panie?

— Ach, gdzie bądź. Tu, oto. Nie będzie się go wieszalo. Proszę go tylko oprzeć o ścianę. Dziękuję.

— Czy można zobaczyć to dzieło sztuki, jaśnie panie?

Dorian zdrzął.

— Nie zajmie pana, panie Hubbard — rzekł, nie spuszczać go z oka. Czuł, że rzuciłby się na tego człowieka i powalił go, gdyby ośmielił się podnieść kosztowną zasłonę, zakrywającą tajemnicę jego życia. — Nie będę pana więcej trudził. Bardzo dziękuję, że był pan tak uprzejmy przyjść tutaj.

— Nie ma za co, nie ma za co, panie Gray. Zawsze gotowy do usług, jaśnie panie. — I pan Hubbard schodził ze schodów, a za nim pomocnik, oglądający się za Dorianem z wyrazem trwożnego podziwu na swej pospolitej, nieładnej twarzy. Nigdy nie widział nikogo tak czarującego.

Gdy ucichły odgłosy ich kroków, Dorian zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni. Czuł się teraz bezpieczniejszy. Nikt już nie będzie oglądał tej strasznej rzeczy. Niczyje oko nigdy nie spojrzy na jego hańbę.

Powróciwszy do biblioteki, zauważył, że jest już po piątej i że właśnie podano herbatę. Na maleńkim stoliku z ciemnego, wonnego drzewa, wytwornie inkrustowanego perłową macią, podarunku od lady Radley, żony jego opiekuna, ładnej wiecznej pacjentki, która ostatnią zimę spędziła w Kairze, leżała kartka od lorda Henryka, obok niej książka oprawiona w żółty papier, w podniszczonej okładce i poplamiona na rogach. Na tacy leżał egzemplarz trzeciego wydania „The St. James’s Gazette”. Widocznie Wiktor już powrócił. Chciałby wiedzieć, czy spotkał się w sieni z ludźmi, gdy wychodzili z domu, i czy dopytywał się ich, co robili. Z pewnością zauważył brak obrazu, bez wątpienia już zauważył, gdy nakrywał do herbaty. Parawan nie był zasunięty i puste miejsce na ścianie było widoczne. Kto wie, czy pewnej nocy nie przyłapie go na schodach, jak będzie usiłował wyłamać drzwi do pokoju. To straszne mieć w domu szpiega. Słyszał o ludziach bogatych przez całe życie wyzyskiwanych przez służącego, który przeczytał list, podsłuchał rozmowę, przejął kartkę z adresem, znalazł pod poduszką zwiędły kwiat albo strzęp zmiętej koronki.

Westchnął i sam sobie nalawszy herbaty, otworzył list lorda Henryka. Pisał tylko, że posyła mu dziennik wieczorowy i książkę, która może go zająć, oraz że będzie w klubie kwadrans po ósmej. Leniwie rozłożył „The St. James’s” i przebiegł ją oczami. Na piątej stronie zatrzymał wzrok na ustępie zakreślonym czerwonym ołówkiem. Czytał, co następuje:

„*Sledztwo w sprawie aktorki.* Dziś rano w Bell Tavern przy Hoxton Road pan Danby, urzędnik dzielnicowy, przeprowadził badanie zwłok Sybilli Vane, młodej aktorki świeżo przyjętej do teatru Royal w Holborn. Stwierdzono śmierć z przypadku. Ogólne współczucie budziła matka zmarłej, która była bardzo wzruszona, gdy przesłuchiowano ją oraz dra Birrella, który dokonywał pośmiertnych oględzin zmarłej”.

Zmarszczył brwi, rozdarł gazetę na dwoje, przeszedł przez pokój i wyrzucił strzępy. Jakie to wszystko obrzydliwe! A jak ta brzydota robi wszystko ohydnie rzeczywistym! Gniewało go, że lord Henryk przysłał mu to sprawozdanie. A już zupełnie niemądre było z jego strony podkreślenie czerwonym ołówkiem. Mógł to czytać Wiktor. Na tyle zna angielski, żeby to zrozumiał.

Może przeczytał i zaczął coś podejrzewać. Ale co to szkodzi? Cóż ma wspólnego Dorian Gray ze śmiercią Sybilli Vane? Nie ma się czego obawiać. Dorian Gray jej nie zabił.

Jego wzrok napotkał przyslaną mu przez lorda Henryka żółtą książkę. Co to może być? Podeszedł do małej ośmiokątnej półki perłowej barwy, która wydawała mu się zawsze jakby dziełem jakichś dziwnych pszczół egipskich, drążących srebro, wziął do rąk książkę, rzucił się na fotel i począł przewracać kartki. Po paru minutach pochłonęła go zupełnie. Była to najdziwaczniejsza książka, jaką kiedykolwiek czytał. Zdawało mu się, że w niemym korowodzie, przy wątłych dźwiękach fletni, przeciągały przed nim wytwornie wystrojone grzechy całego świata. Rzeczy, znane mu zaledwie z zawiłych snów, stawały się jawą. Rzeczy, o których nawet nie marzył, stopniowo ukazywały mu się.

Była to powieść bez intrygi, z jedyną tylko postacią, po prostu studium psychologiczne pewnego młodego paryżanina, który w dziewiętnastym stuleciu poświęca swe życie próbie urzeczywistnienia wszystkich namiętności i sposobów myślenia wszystkich wieków, oprócz współczesnego, ześrodkowania w sobie samym wszystkich stanów ducha, przez jakie świat kiedykolwiek przechodził, w równej mierze zachwycając się z powodu ich sztuczności wszystkimi tymi wyrzeczeniami, które niemądry ludzie nazywają cnotami, jak i tymi naturalnymi buntami, które mądry ludzie jeszcze dziś zowią grzechami. Styl, w którym książka była napisana, był to ów styl ciekawie szlifowany, żywy i ciemny zarazem, pełen prowincjonalizmów i archaizmów, wyrażen technicznych i wypracowanych parafraz, styl cechujący utwory kilku przedziwnych artystów z francuskiej szkoły symbolistów. Były tam przerośnięte tak potworne, jak orchidee i jak ich wytworne barwy. Życie zmysłów opisano słowami mistycznych filozofów. Chwilami trudno było zrozumieć, czy są to duchowe ekstazy jakiegoś świętego średniowiecznego, czy chorobliwe zwierzenia nowoczesnego grzesznika. Była to książka trująca. Z kart jej zdawała się unosić ciężka woń kadzidlana, zamraczająca umysł. Już sam rytm zdań, przenikliwa jednostajność ich muzyki, tak jednak pełna złożonych refrenów i umiejętnie powtarzanych zwrotów, wytwarzała w umyśle młodzieńca chorobliwą senność, w której stracił świadomość zapadającego dnia i podnoszącego się mroku.

Przez okna widniało bezchmurne niebo, miedzianozielone, z jedyną samotną gwiazdą. W nienakłym świetle czytał, dokąd mógł. Wreszcie, gdy służący parokrotnie zwrócił mu uwagę na spóźnioną porę, podniósł się, przeszedł do sąsiedniego pokoju, położył książkę na małym florenckim stoliku, zawsze stojącym obok jego łóżka, i zaczął się przebierać do obiadu.

Dochodziła dziewiąta, gdy znalazł się w klubie, gdzie zastał lorda Henryka, samotnie siedzącego w gabinecie, z miną mocno znudzoną.

— Bardzo mi przykro, Henryku — zawołał — ale to naprawdę całkowicie twoja wina. Tak mnie pochłonęła książka, którą mi przysłałeś, że zapomniałem o czasie.

— Tak, przypuszczałem, że ci się podoba — odrzekł gospodarz, powstając z krzesła.

— Nie powiedziałem, Henryku, że mi się podobała, tylko że mnie pochłonęła. To wielka różnica.

— Ach, zauważyłeś to? — wyszeptał lord Henryk, po czym przeszli obaj do jadalni.

ROZDZIAŁ XI

Przez całe lata Dorian Gray nie mógł wyzwolić się spod wpływu tej książki. Albo, wyrażając się dokładniej, nigdy nie usiłował się wyzwolić. Sprowadził z Paryża dziewięć egzemplarzy pierwszego wydania w dużym formacie i dał je oprawić w okładki w rozmaitych barwach, ażeby mogły odpowiadać różnym nastrojom i zmiennym stanom jego duszy, nad którą niekiedy zdawał się tracić wszelką władzę. Bohater, wspaniały młody paryżanin, w którym tak dziwnie kojarzyły się popędy romantyka i uczonego, stał się dla niego jakby prototypem. I doprawdy zdawało mu się, że cała książka zawiera dzieje jego własnego życia, napisane przedtem, zanim je przeżył.

Pod jednym względem był szczęśliwszy od fantastycznego bohatera powieści. Nigdy, naprawdę nigdy nie znalazł i nie miał powodu znać owej nieco śmiesznej obawy przed zwierciadłami i gładkimi powierzchniami metali i cichych wód, która wcześniej wtargnęła do życia młodego paryżanina, aby przyspieszyć gwałtowny zanik jego niezwyklej ongi urody. Ostatnią część książki, rzeczywiście tragiczną, jakkolwiek z nadmierną przesadą opowiadającą o cierpieniach i rozpaczach człowieka, który stracił to, co sam u innych i w ogóle na

Noc

świecie najwyżej cenił, odczytywał z najbardziej okrutną radością. (Okrucieństwo mieści się zapewne na dnie niemal każdej radości i z całą pewnością w każdej rozkoszy).

Jego przedziwna uroda, która tak oczarowała Bazylego Hallwarda i wielu innych, zdawało się, że nigdy nie zniknie. Nawet ci, co słyszeli o nim najstraszniejsze rzeczy, a co pewien czas jego sposób prowadzenia życia wywoływał w Londynie skandal i dawał powód do plotek po klubach, widząc go, nie byli w stanie posądzać go o nic złego. Wciąż wyglądał tak, jakby przeszedł przez życie nieskalany. Mężczyźni wiodący nieskromne rozmowy milkli, gdy wchodził Dorian Gray. Zniewalał ich wyraz niewinności na jego twarzy. Sama jego obecność budziła w nich wspomnienie czystości, którą brukali. Dziwiono się, że ktoś tak pełen wdzięku i czaru mógł uniknąć piętna wieku, równie plugawego, jak zmysłowego.

Często, gdy powracał z tych tajemniczych a długich wycieczek, budzących tak dziwne przypuszczenia wśród przyjaciół lub wśród tych, którzy się za nich uważali, po kryjomu szedł po schodach do zamkniętego pokoju, otwierał drzwi kluczem, który zawsze nosił przy sobie, i ze zwierciadłem w rękę stawał przed portretem namalowanym przez Bazylego Hallwarda, aby wpatrując się w okrutnie postarzałą twarz na płótnie, porównać ją z pięknym, młodzieńczym odbiciem w zwierciadle. To bardzo ostre przeciwieństwo wzbudzało w nim uczucie rozkoszy. Coraz bardziej rozkochiwał się w swej piękności i coraz więcej okazywał zainteresowania rozkładowi swej duszy. Z natężoną uwagą, niekiedy z potwornym, strasznym zadowoleniem śledził wstrętne rysy, przecinające pomarszczone czoło i okrążające grube, zmysłowe usta, zapytując się nieraz, czy okropniejsze są ślady grzechów, czy starości. Z uśmiechem przykładł swe białe ręce do tych na obrazie, szorstkich i nabrzmiałych. Naigrawał się z zeszpeconego ciała i ze zniedołężniałych członków.

Zdarzały się wprawdzie nocą chwile, gdy bezsenny leżał w swej własnej, przesyconej wytwornym zapachem sypialni albo w ponurej izbie osławionego szynku portowego, gdzie zwykł był chodzić w przebraniu i pod zmyślnym nazwiskiem, że o zepsuciu, jakie sprowadził na swą duszę, myślał z litością tym gorętszą, że zupełnie samolubną. Owa ciekawość życia, którą obudził w nim lord Henryk, gdy siedzieli razem w ogrodzie przyjaciela, zdawała się rosnać, gdy ją zaspokajał. Im więcej poznawał, tym więcej pragnął znać. Trawił go głód tym gwałtowniejszy, im bardziej był syty.

Nie zaniedbywał się jednak, przynajmniej w stosunkach towarzyskich. Podczas zimy raz lub dwa razy w miesiącu, a w sezonie co środę otwierał podwoje swego pięknego domu dla gości, dla których ubawienia czarami sztuki spraszał najslawniejszych muzyków. Jego obiady, w których urządzaniu pomagał mu zawsze lord Henryk, były głośne tak ze względu na wyjątkowo staranny dobór i rozmieszczenie gości, jak z powodu niezwyklej wytworności, objawiającej się w przystrojeniu stołu, w symfonicznie zestrojonym ustawieniu egzotycznych kwiatów i haftowanych obrusów, w starodawnych nakryciach ze złota i srebra. Toteż wielu, zwłaszcza wśród bardzo młodych ludzi, widziało lub pragnęło widzieć w Dorianie uosobienie typu, o którym sami marzyli nieraz w czasach etońskich lub oxfordzkich, który by łączył w sobie prawdziwą kulturę uczonego z wytwornością i doskonałością światowca. Wydawał się im należeć do tych, o których napisał Dante⁸³, że „usiłowali się doskonalić przez kult piękna”. Jak Gautier, był jednym z tych, dla których „świat widzialny istniał”.

I rzeczywiście życie było dlań sztuką najpierwszą i największą, wobec której wszystkie inne sztuki zdawały mu się tylko przygotowaniem. Moda, przez którą rzeczy naprawdę fantastyczne stają się na chwilę powszechne, i dandyzm⁸⁴, usiłujący na swój sposób osiągnąć absolutną nowoczesność piękna, miały dlań oczywiście swój urok. Jego sposób ubierania się, jego szczególne upodobania, jakimi przejmował się co pewien czas, wywierały widoczny wpływ na młodych światowców z balów w Mayfair⁸⁵ i z salonów klubu Pall

⁸³Alighieri, Dante (1265–1321) — poeta włoski, autor *Boskiej Komedii*, poematu opisującego podróż w zaświaty: poprzez kolejne kręgi piekła, czyścić do nieba. [przypis edytorski]

⁸⁴dandyzm — ostentacyjna, niekiedy przesadna elegancja. [przypis edytorski]

⁸⁵Mayfair — ekskluzywna dzielnica w środkowej części Londynu. [przypis edytorski]

Mall⁸⁶, którzy naśladowali go we wszystkim i usiłovali przyswoić sobie swobodny urok jego wdzięcznych fanfaronad⁸⁷, przez niego samego niebranych poważnie.

Choć aż zbyt ochoczo przyjął rolę, jaka się przed nim otworzyła natychmiast po dojrzeniu do pełnoletności, znajdując nawet pewną subtelną przyjemność w myśli, że dla współczesnego Londynu może stać się rzeczywiście tym, czym był autor *Satyriconu*⁸⁸ dla cesarskiego Rzymu Nerona, to jednak w głębi duszy pragnął być czymś więcej niż „*arbiter elegantiarum*”⁸⁹, u którego zasięgano rady co do oprawy klejnotu, wiązania krawatki lub sposobu trzymania laski. Zastanawiał się nad opracowaniem nowego sposobu życia, który by miał swoją rozumną filozofię i swe ustalone zasady, a którego celem ostatecznym byłoby uduchowanie zmysłów.

Kult zmysłów często i nie bez słuszności wywoływał oburzenie, bo człowiek ma w sobie naturalny instynkt trwogi przed namiętnościami i popędami, które wydają mu się silniejsze od niego samego i o których wie, że są również udziałem niższych form życia organicznego. Dorian Gray mniemał jednak, że prawdziwa istota zmysłów nigdy nie była rozumiana i że zmysły tylko dlatego pozostały dzikie i zwierzęce, bo usiłowano pokonać je lub zabić przez cierpienia, zamiast dążyć do wytworzenia z nich nowych czynników duchowych, których cechą znamioną byłby doskonały zmysł piękna. Gdy patrzył wstecz na pochod dziejowy ludzkości, doznawał uczucia klęski. Tak wiele poświęcono i dla tak mizernego wyniku! Bywały szalone, dobrowolne wyrzeczenia, potworne rodzaje samoudręki i poświęcenia, których źródłem był strach, a wynikiem poniżenie, nieskończenie straszniejsze od owego poniżenia urojonego, jakiego przez nieświadomość starano się uniknąć, przyroda bowiem w swej zadziwiającej ironii kazała anachoretom⁹⁰ żywić się na pustyni razem z dzikimi zwierzętami, a pustelnikom dawała za towarzyszy bydłeta polne.

Tak, słusznie przepowiada lord Henryk, że nowy hedonizm odrodzi życie, wyzwoli je od surowego, brzydkiego purytanizmu, święcącego w naszych czasach swój niepojęty renesans. Nowe życie będzie oczywiście posługiwało się intelektem, nigdy jednak nie przyjmie żadnej teorii ani systemu wymagającego wyrzeczenia się jakiegokolwiek rodzaju zmysłowego doznania. Jego celem będzie właśnie doznanie, a nie owoce doznania, obojętne, słodkie czy gorzkie. Nieznany mu będzie zabijający zmysły ascetyzm ani przytępiająca je pospolita nikczemność. Będzie ono uczyło człowieka zdolności ześrodkowania się w chwilach życia, które samo jest tylko chwilą.

Niewielu chyba z nas nie czuwało nigdy przed świtem, bądź to po jakiejś bezsennej nocy, przyprowadzającej niemal o rozmiłowanie się w śmierci, bądź też po jakiejś nocy rozpaczki i nieudanych uciech, gdy przez komnaty mózgu przeciągają potworniejsze od rzeczywistości urojenia, ożywione tą siłą życiową, co jest utajona we wszelkiej grotesce i nadaje trwałą żywotność sztuce gotyckiej, szczególnej sztuce tych, których dusze niepokoi choroba marzenia. Z wolna białe palce wsuwają się między firanki i zdają się poruszać. Pelzają i układają się po kątach pokoju nieme cienie w czarnych, fantastycznych postaciach. Na dworze wśród liści szeleszczą ptaki, słysząc kroki ludzi, idących do roboty, wiatr jęczy i wzdycha, zlatując ze wzgórze i okrążając spokojny dom, jakby obawiał się, że zbudzi śpiącego, a jednak zabrał sen z jego purpurowej jaskini. Zaslona po zasłonie z cienkiej przejrzystej gazy podnosi się, rzeczy odzyskują z wolna swój kształt i barwy i widzimy, jak z mroku wylania się dawne oblicze świata. Blade zwierciadła nabierają znów mocy odtwórczej. Wygasłe świece stoją tam, gdzieśmy je postavili, obok nich leży na pół rozwarta książka, którą czytaliśmy, kwiat na drucie, który mieliśmy na balu, albo list, który obawialiśmy się przeczytać lub czytaliśmy zbyt często. Wszystko wydaje się nam niezmiennione. Ze złudnych cieni nocy wylania się znana nam rzeczywistość życia. Musimy podjąć je tam, gdzieśmy zostawili, i ogarnia nas straszne uczucie konieczności, zmuszającej do ciągłego zużywania sił w nużącym kole codziennych wydarzeń, lub też porywa nas dzika tęsknota, by stać się mogło, aby pewnego poranka oczy nasze otworzyły

⁸⁶*Pall Mall* — ulica w londyńskiej dzielnicy Westminster, znana z licznych klubów dżentelmenów. [przypis edytorski]

⁸⁷*fanfaronada* — chępliwość, przechwalanie się. [przypis edytorski]

⁸⁸*Satyricon* — satyryczny romans przygodowy rzymskiego pisarza Petroniusza (zm. 66), mającego duże wpływy na dworze cesarza Nerona i pełniącego rolę autorytetu w sprawach dobrego smaku. [przypis edytorski]

⁸⁹*arbiter elegantiarum* (łac.) — autorytet w sprawach mody, dobrego smaku. [przypis edytorski]

⁹⁰*anachoreta* — pustelnik; samotnik i asceta. [przypis edytorski]

się na świat, ku naszej radości przeobrażony w mrokach na nowo, na świat, w którym rzeczy zmieniły się i mają nowe kształty i barwy lub też kryją inne tajemnice, na świat, w którym przeszłość nie zajmowałaby miejsca wcale, albo bardzo mało, a w każdym razie bez świadomości obowiązku lub żalu, bo nawet wspomnienie radości posiada gorycz, jak wspomnienie rozkoszy swój ból.

Tworzenie takich światów uważał Dorian Gray za właściwe zadanie lub co najmniej za jedno z właściwych zadań życia; w poszukiwaniu wzruszeń, które by były zarazem nowe i rozkoszne i posiadały tak nieodłączny od romantyzmu pierwiastek egzotyczności, schodził często na tory myślowe, o których wiedział, że są naprawdę obce jego naturze, poddawał się jednak ich przenikliwym wpływom, aby poznawszy, czym są, uchwyciłszy ich barwę i zaspokoiwszy ciekawość swego umysłu, porzucić je z ową niezwykłą obojętnością, która wcale nie wyklucza istotnej płomienności usposobienia, a nawet, jak utrzymują niektórzy nowoczesni psychologowie, jest jej warunkiem.

Pewnego razu ogłoszono, że chce przyjąć wyznanie rzymskokatolickie; istotnie obrządek rzymski miał dla niego zawsze wielki urok. Codzienna ofiara, straszniejsza zaiste od wszystkich ofiar starożytnego świata, podniecała go zarówno wzniosłym wyrzeczeniem się świadectwa zmysłów, jak prymitywną prostotą jej czynników i odwiecznym patosem uzmysławianej nią ludzkiej tragedii. Lubił klęczeć na zimnym marmurze posadzki, patrzeć na kapłana w sztywnej, wzorzystej dalmatyce⁹¹, jak białymi palcami odkrywa wolno zasłonę tabernakulum lub podnosi w górę zdobną w klejnoty monstrancję o kształcie latarni, zawierającą błady opłatek, który czasami, gdy się z chęcią w to wierzy, jest naprawdę *panis coelestis*⁹², chlebem anielskim, albo gdy przybrany w ornat Męki Pańskiej, łamie hostię nad kielichem i bije się w piersi za grzechy. Dymiące kadzielnice, potrząsane przez poważnych chłopców w koronkach i szkarłacie, rozkołysane w powietrzu jak wielkie złociste kwiaty, wywierały nań szczególny urok. Gdy odchodził, ze zdziwieniem spoglądał na czarne konfesjonały, w których mdłym cieniu pragnąłby zasiąść, aby słuchać mężczyzn i kobiety, szepczących przez wytarte kratki prawdziwą historię ich życia.

Nigdy jednak nie popadł w błąd powstrzymania swego umysłowego rozwoju przez formalne przyjęcie jakiegoś obrządku lub systemu. Nie popełniłby nigdy tej omyłki, aby za dom mieszkalny obrać gospodę, gdzie można spędzić jedną noc lub parę godzin nocy bez gwiazd, w którą księżyc walczy z chmurami. Mistycyzm, z jego cudowną mocą nadawania rzeczom codziennym cech niezwykłości i z towarzyszącą mu stale subtelną sprzecznością, zajmował go przez jeden sezon; przez jeden też sezon skłaniał się ku materialistycznym doktrynom niemieckiego darwinizmu, znajdując szczególną przyjemność w śledzeniu ludzkich myśli i uczuć aż do najdrobniejszej komórki mózgowej, do najcieńszego nerwu ciała, upajając się myślą o bezwzględnej zależności ducha od pewnych warunków fizycznych, chorobliwych lub zdrowych, normalnych lub anormalnych. Lecz, jak to już mówiliśmy o nim, żadna teoria życiowa nie zdawała się mieć dlań wartości w porównaniu z samym życiem. Miał pełną świadomość bezpłodności wszelkiej spekulacji umysłowej oderwanej od czynu i doświadczenia. Wiedział, że w zmysłach, niemniej jak w duszy, są do odkrycia ich tajemnice duchowe.

Badał perfumy i sposoby ich wyrobu, destylując silnie pachnące olejki i paląc wonne żywice wschodnie. Sądził, iż nie ma nastroju duchowego, który by się nie odzwiercadlał w życiu zmysłowym, usiłował więc odkryć ich prawdziwy wzajemny stosunek, przekonać się, czemu kadzidło pobudza do mistycyzmu, ambra wzmaga namiętność, fiołki wywołują wspomnienie zgasłych miłości, piżmo oszałamia umysł, magnolia barwi wyobrażenie. Starał się opracować prawdziwą psychologię zapachów, ustalić różnorodne działanie słodko pachnących korzeni, oszałamiającym pyłkiem okrytych kwiatów, aromatycznych balsamów, wonnego drzewa, nardu⁹³, przyprawiającego o chorobę, howenii⁹⁴, sprządzającego szaleństwo, i aloesu, o którym mówią, że może uleczyć duszę z melancholii.

⁹¹dalmatyka — długa, obszerna szata liturgiczna w obrządku rzymskim. [przypis edytorski]

⁹²panis coelestis (łac.) — chleb niebiański. [przypis edytorski]

⁹³nard — roślina z gór Azji, z której otrzymuje się olejek eteryczny, ceniony w starożytności jako pachnidło; także: sam olejek. [przypis edytorski]

⁹⁴howenia — rodzaj leśnych roślin występujących od Indii po Japonię, z których najbardziej znana jest *Hovenia dulcis*, nazywana japońskim drzewem rodzynekowym, często sadzona w ogrodach poza Azją. [przypis edytorski]

Kiedy indziej poświęcił się całkowicie muzyce. W długiej, okratowanej sali, o szkarlatno-złotym stropie i ścianach z oliwkowozielonej laki, dawał niezwykle koncerty; wściekli Cyganie wydobywali tu dzikie dźwięki z małych cytr, poważni, żółto ubrani grajkowie z Tunisu szarpali mocno napięte struny olbrzymich lutni, Murzyni z wyszczerzonymi zębami uderzali monotonnie w miedziane bębny, smukli Hindusi w turbanach, leżąc na purpurowych matach, wygrywali na długich piszczałkach z trzciny lub metalu, zaczarowując — lub udając, że zaczarowują — olbrzymie węże-kapturniki i okropne żmieje rogate. Dzikie przeskoki i jaskrawe dysonanse barbarzyńskiej muzyki czarowały go wówczas, gdy słuchał bez wrażenia wdzięku Schuberta, pięknego smutku Chopina i nawet potężnych harmonii Beethovena. Ze wszystkich stron świata zbierał najdziwniejsze instrumenty, jakie tylko mógł znaleźć, zarówno w grobowcach wymarłych ludów, jak i wśród niewielu dzikich szczepów, które przeżyły zetknięcie z cywilizacją zachodnią. Lubił dotykać ich i próbować. Posiadał tajemnicze indiańskie *juruparis* z Rio Negro, na które nie wolno spojrzeć kobiecie, a które nawet młody mężczyzna może oglądać dopiero po poście i pokucie; posiadał gliniane dzbany Peruwiańczyków, naśladujące przenikliwy krzyk ptaków, flety z ludzkich kości, jakich słuchał był w Chile Alfonso de Ovalle⁹⁵, znalezione w okolicy Cuzco dźwięczne zielone jaspisy o dziwnie słodkim brzmieniu. Posiadał malowane tykwy, napelnione żwirem, brzęczące przy potrząsaniu; długie klarnety meksykańskie, na których gra się, nie dmąc, lecz wciągając powietrze; chrapliwe *ture* szczepu znad Amazonki, na których wygrywają strażę, siedząc całymi dniami na wysokich drzewach, a które słychać podobno w odległości trzech mil; *teponaztli* z dwoma drgającymi drewnianymi językami, w które uderza się pałeczkami, nasyconymi elastyczną gumą, dobywaną z mlecznego soku roślin; dzwony Azteków, zwane *yotl*, co zwisają niby grona winne; wielki, cylindryczny bęben, pokryty skórą olbrzymich węży, podobny do tego, jaki widział Bernal Diaz⁹⁶, kiedy wchodził z Cortezem⁹⁷ do świątyni meksykańskiej, i którego bolesnych tonów pozostawił nam tak żywy opis. Fantastyczność tych instrumentów zachwycała go, znajdował dziwną przyjemność w myśli, że sztuka, podobnie jak przyroda, posiada swe potwory, rzeczy o bydlęcym kształcie i potwornych głosach. Niebawem znudziło go to i znowu siadywał w swej łoży w operze, sam, albo z lordem Henrykiem, z nagłym zadowoleniem słuchając *Tannhäusera*⁹⁸ i w preludium do tego wielkiego dzieła sztuki dopatrując się obrazu tragedii swej własnej duszy.

Przy jakiejś sposobności zabrał się do badań nad klejnotami i na balu kostiumowym zjawił się jako admirał francuski Anne de Joyeuse⁹⁹, w stroju zdobnym w pięćset sześćdziesiąt pereł. Zamiłowanie to pochłaniało go latami i naprawdę nie opuściło go nigdy. Nieraz całymi dniami wyjmował i przekładał w szkatułkach rozmaite kamienie, a więc oliwkowozielony chryzoberyl, czerwieniejący w świetle lampy, cymofany o cienkich jak nić srebrnych żyłkach, oliwiny o barwie pistacji, topazy o barwach różowego goździka i żółtego wina, karbunkuly z płomiennego szkarłatu o drżących czteropromiennych gwiazdach, ognistoczerwone kamienie cyrkonowe, pomarańczowe i fioletowe spinele, ametysty z ich zmiennymi warstwami rubinu i szafiru. Lubił złotą czerwień kamienia słonecznego, perłową biel kamienia księżycowego i załamującą się tęczę mlecznych opali. Sprowadził z Amsterdamu trzy szmaragdy o niezwyklej wielkości i bogactwie barw, posiadał turkus *de la vieille roche*¹⁰⁰, będący przedmiotem zazdrości wszystkich znawców.

Odkrywał też precudne historie o klejnotach. *Clericalis disciplina*¹⁰¹ Alfonsa wymienia węża o oczach z prawdziwego hiacyntu, a w romantycznej historii Aleksandra czytamy

Klejnot

⁹⁵ Ovalle, Alonso de (1603–1651) — chilijski ksiądz-jezuita, kronikarz Chile. [przypis edytorski]

⁹⁶ Diaz del Castillo, Bernal (ok. 1496–1584) — hiszpański konkwistador i kronikarz, uczestniczył m.in. w podboju Meksyku. [przypis edytorski]

⁹⁷ Cortez, właśc. Hernán Cortés (ok. 1485–1547) — hiszpański konkwistador, w latach 1519–1521 zdobywca Meksyku. [przypis edytorski]

⁹⁸ *Tannhäuser* — opera Richarda Wagnera w trzech aktach z 1845, o perypetiach rycerza-śpiewaka, który odnalazł legendarną górę bogini miłości. [przypis edytorski]

⁹⁹ Joyeuse, Anne de (1561–1587) — admirał Francji, faworyt króla Henryka III. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *de la vieille roche* (o turkusie, fr.) — prawdziwy turkus; nazwa używana niekiedy w jęz. francuskim dla odróżnienia go od odontolitu, zwanego *turquoise de nouvelle roche*. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *Disciplina clericalis* — zbiór opowieści zaczerpniętych ze źródeł żydowskich, chrześcijańskich i muzułmańskich, napisany na pocz. XII w. po łacinie przez hiszpańskiego autora pochodzenia żydowskiego, Pedro Alfonsa de Huesca. [przypis edytorski]

o zdobywcy z Ematii¹⁰², że znalazł w dolinie Jordanu węże „z naszyjnikami z prawdziwych szmaragdów na grzbietach”. Filostrates¹⁰³ opowiada, że w mózgu smoka znajdowała się gemma¹⁰⁴, a potwora można było wprowadzić w magiczny sen lub zabić przez „ukazanie złotych liter i szkarłatnej szaty”. Zdaniem wielkiego alchemika Pierre’a de Boniface diament czyni człowieka niewidzialnym, agat indyjski wymownym. Karneol tłumia gniew, hiacynt sprowadza sen, a ametyst rozprasza opary wina. Granat wypędza demony, a hydropikus pozbawia księżyc jego barwy. Selenit rośnie i maleje wraz z księżycem, a malokeus, zdradzający złodziei, rozpuszcza się tylko w krwi kozłat. Leonardus Camillus¹⁰⁵ widział biały kamień, wyjęty z mózgu dopiero co zabitej ropuchy, niezawodny środek przeciw truciznie. Bezoar¹⁰⁶ znaleziony w sercu antylopy posiadał własności leczące z zarazy. Według Demokryta¹⁰⁷ aspilaty, wyjęte z gniazd ptasich w Arabii, chronią ich właścicieli od niebezpieczeństwa ognia.

Król Cejlonu podczas uroczystości koronacyjnej jechał przez miasto z wielkim rubinem w ręce. Bramy pałacowe Księdza Jana¹⁰⁸ były „zrobione z sardyku z wyrytym rogiem węża rogatego, aby nikt nie przeszedł z trucizną”. Na szczycie były „dwa złote jabłka z dwoma karbunkułami”, by we dnie świeciło złoto, a w nocy karbunkuły. W dziwnym romanse Lodge’a¹⁰⁹ *Małgorzata z Ameryki* jest wzmianka, że w komnacie królowej można było oglądać „wszystkie niewinne niewiasty całego świata, wyrzeźbione ze srebra, spoglądające przez piękne szkła z chryzolitów, karbunkulów, szafirów i zielonych szmaragdów”. Marco Polo widział, że mieszkańcy Zipangu¹¹⁰ wkładają do ust zmarłych różowo zabarwione perły. Potwór morski, zakochany w perle, którą nurek wyłowił dla króla Perozesa, zabił złodzieja i przez siedem miesięcy oplakiwał swą stratę. Prokop¹¹¹ opowiada, że gdy Hunowie zwabili króla do głębokiego dołu, odrzucił perłę i nie odnaleziono jej już nigdy, mimo że cesarz Anastazjusz obiecał wypłacić za nią pięćset funtów złota. Król Malabaru pokazywał pewnemu weneccjaninowi różaniec z trzystu czterech pereł, z których każda była poświęcona innemu bóstwu.

Gdy książę de Valentinois, syn Aleksandra VI, odwiedził Ludwika XII Francuskiego, jego rumak był według Brantôme’a¹¹² okryty girlandami ze złotych liści, a na kołpaku miał dwa rzędy rubinów lśniących dużym blaskiem. Karol Angielski jeździł w strzemionach zawieszonych na czterystu dwudziestu jeden brylantach. Ryszard II miał kaftan szacowany na trzydzieści tysięcy marek, wysadzany olbrzymimi rubinami. Hall opisuje, że Henryk VIII, jadąc do Tower przed koronacją, był ubrany w „suknię, przetykaną złotem, napierśnik wysadzany brylantami i innymi drogimi kamieniami a wokół szyi miał wielki łańcuch z olbrzymich rubinów”. Faworyci Jakuba I nosili kolczyki ze szmaragdów, osadzone w filigranowym złocie. Edward II podarował Piers Gavestonowi zbroję

¹⁰²Ematia — starożytna kraina w Macedonii; *zdobycyca z Ematii*: Aleksander III Wielki, nazywany przez poetów łacińskich Ematyjczykiem, wodzem Ematii, przez ang. poetę Miliona „Ematyjczykiem zdobywcą”. [przypis edytorski]

¹⁰³Filostrat II Flawiusz (ok. 170–ok. 248) — sofista grecki, biograf sofistów, autor m.in. biograficznego romansu *Żywot Apollonia* z *Tyany*, gdzie znajduje się przytoczona wzmianka. [przypis edytorski]

¹⁰⁴gemma — szlachetny lub półszlachetny kamień z wyrzeźbionym rysunkiem, używany jako ozdoba lub pieczęć. [przypis edytorski]

¹⁰⁵Camillus Leonardus (XV w.) — włoski autor dzieła *Speculum lapidum* (Zwierciadło kamieni, 1502), opisuującego ponad 200 kamieni i minerałów, szczególnie ich tajemne moce. [przypis edytorski]

¹⁰⁶bezoar — kamień jelitowy, kulisty twór powstały w żołądku zwierzęcym z niestrawionych resztek pokarmu i sierści, uważany w średniowieczu za mający właściwości lecznicze i magiczne. [przypis edytorski]

¹⁰⁷Demokryt z *Abdery* (ok. 460–ok. 370 p.n.e.) — filozof grecki, jako pierwszy wprowadził hipotezę istnienia atomów. [przypis edytorski]

¹⁰⁸Książę Jan — legendarny kapłan i król władający zaginionym chrześcijańskim państwem daleko na Wschodzie. [przypis edytorski]

¹⁰⁹Lodge, Thomas (1558–1625) — angielski pisarz, poeta i dramaturg epoki elżbietańskiej; autor rozgrywającego się w Ameryce Płd. romansu *A Margarine of America* (1596), opowiadającego o tragicznej miłości tytułowej córki króla Muscovy do Arsadachusa, brutalnego syna cesarza Cuzco. [przypis edytorski]

¹¹⁰Zipangu — bajecznie bogata wyspa daleko na wschodzie, opisywana przez średniowiecznego weneckiego podróżnika Marco Polo, identyfikowana z Japonią. [przypis edytorski]

¹¹¹Prokopiusz z *Cezarei* a. *Prokop z Cezarei* (ok. 490–ok. 561 r.) — najslawniejszy historyk bizantyński, autor *Historii wojen* oraz *Historii sekretnej*. [przypis edytorski]

¹¹²Brantôme, właśc. *Pierre de Bourdeille* (1535–1614) — pisarz francuski, autor *Pamiętników* (fr. *Memoirs*), dających obraz obyczajów epoki; pierwsze tomy, opublikowane w latach 1665–1666, zawierały głównie *Żywoty znakomitych ludzi i wielkich rycerzy francuskich* (4 t.) oraz *Żywoty znakomitych ludzi i wielkich rycerzy obcych krajów* (2 t.). [przypis edytorski]

z czerwonego złota wysadzaną hiacyntami, łańcuch ze złotych róż usianych turkusami i wyszywaną perłami czapkę. Henryk II nosił rękawice po łokcie, ozdobione klejnotami, i miał rękawicę do polowania z sokołem, wyszytą dwunastoma rubinami i pięćdziesięcioma dwiema perłami. Kapelusz Karola Śmiałego, ostatniego księcia burgundzkiego z tego rodu, był obwieszony perłami w kształcie gruszek i wysadzany szafirami.

Jak ongi wspaniałe było życie! Jak okazałe w swym przepychu i strojności! Samo czytanie o zbytku dawnych czasów jest cudowne.

Potem zajął się haftami i gobelinami, które w zimnych mieszkaniach północnych ludów Europy zastępowały freski. Gdy zagłębił się w tym przedmiocie — zawsze zaś posiadał niezwykłą zdolność całkowitego poddania się upodobaniu chwili — był nadzwyczaj przygnębiony rozmyślaniami nad zniszczeniem, jakie sprowadził czas na te piękne i wspaniałe rzeczy. Przynajmniej on zdołał mu ująć. Mijało lato po lecie, żółte żonkile wielokroć zakwitwały i usychały, okropne noce powtarzały historię jego hańby, lecz on pozostał niezmienny. Żadna zima nie tknęła jego twarzy ani nie ruszyła jego kwitnącej urody. Jakże inaczej z rzeczami martwymi! Co się z nimi stało? Gdzie owa obszerna suknia o barwie krokusów, na której bogowie walczyli z gigantami, utkana przez ciemnowłose dziewczęta dla uciechy Ateny¹¹³? Gdzie olbrzymie *velarium*, które Neron kazał w Rzymie rozciągać nad Colosseum, gdzie tytaniczny żagiel purpurowy, na którym było przedstawione gwiaździste niebo i Apollo na wozie, ciągnionym przez białe rumaki w złocistej uprzęży? Pragnąłby zobaczyć te przedziwne obrusy utkane dla kapłana słońca, na których były wyobrażone wszystkie mięsiva i łakocie, podawane na ucztach; śmiertelny całun króla Chilperyka¹¹⁴ z trzystu złotymi pszczołami; fantastyczne szaty, co wywołały oburzenie biskupa pontyjskiego, utkane w „lwy, pantery, niedźwiedzie, psy, lasy, skały, myśliwych — wszystko, co malarz wziąć może z natury”; lub suknię noszoną przez Karola Orleańskiego, na której rękawach były wyhaftowane wiersze pieśni zaczynającej się od słów „*Madame, je suis tout joyeux*”¹¹⁵, muzyczny akompaniament do słów był utkany ze złotych nici, a każda z czworobocznych w tej epoce nut była zrobiona z czterech pereł. Czytał o komnacie w pałacu w Reims, urządzonej dla królowej Joanny Burgundzkiej, którą zdobyło „tysiąc trzysta dwadzieścia jeden papug haftowanych, naznaczonych godłem króla, pięćset sześćdziesiąt jeden motyli o skrzydełkach jednakowo wyszytych herbem królowej, wszystko ze złota”. Katarzyna Medycejska kazała sobie sporządzić śmiertelne łoże z czarnego aksamitu, obsypanego sierpami księżycy i słońcami. Baldachim był z adamaszku w liściaste wieńce i girlandy na złocie i srebrnym tle, brzegi obramowane haftami z pereł. Ustawiono je w komnacie obwieszonej godłami królowej, wyciętymi z czarnego aksamitu na srebrnej tkaninie. Ludwik XIV miał w swych pokojach złotem haftowane kariatydy¹¹⁶ wysokości piętnastu stóp. Paradne łoże Sobieskiego, króla polskiego, było zrobione ze smyrneńskiego złotego brokatu, na którym turkusami wyhaftowano wersety z Koranu. Jego kolumny były ze złoczonego srebra, pięknie rzeźbione, obficie wysadzone medalionami z emalii i klejnotów. Było zdobyte w obozie tureckim pod Wiedniem, a nad złotym szychem baldachimu powiewał sztandar Mahometa.

Przez cały rok gromadził najkosztowniejsze, jakie mógł znaleźć, okazy tkanin i haftów, sprowadzając wykwintne muśliny delhijskie, pięknie tkane złotą nicią w palmetry¹¹⁷ i naszyte połyskliwymi skrzydełkami chrabąszczy; gazy dakkańskie¹¹⁸, dla swej przejrzystości zwane na wschodzie „tkanym powietrzem”, „płynącą wodą” i „rosą wieczorną”; dziwnie zrobione tkaniny jawańskie; sztuczne żółte zasłony chińskie; książki oprawne w płowy atlas lub w piękny błękitny jedwab, wyciskany we *fleurs de lys*¹¹⁹, ptaki i widoki; welony z *lacis*, szyte węgierskim ścięciem; sycylijskie brokаты i sztywne aksamity

¹¹³obszerna suknia (...) utkana przez (...) dla uciechy Ateny — peplos, wspaniała szata, jaką ofiarowywano bogini Atenie na Akropolu podczas Panatenajów, najważniejszego święta starożytnych Aten. [przypis edytorski]

¹¹⁴Chilperyk I (ok. 539–584) — król Neustrii, płn.-zach. części państwa Franków (od 561), najmłodszy z synów Chlotara I. [przypis edytorski]

¹¹⁵*Madame, je suis tout joyeux* (fr.) — pani, jestem pełen radości. [przypis edytorski]

¹¹⁶kariatyda — rzeźba stojącej kobiety, dźwigającej na głowie belkowanie budowlı, gzyms lub balkon, spełniająca funkcję kolumny lub filaru. [przypis edytorski]

¹¹⁷palmeta — dekoracyjny motyw w formie stylizowanego, symetrycznego liścia palmy, wachlarzowo rozpostartego. [przypis edytorski]

¹¹⁸dakkański — pochodzący z Dakki (Dhaki), miasta w Azji Płd., ob. stolicy Bangladeszu. [przypis edytorski]

¹¹⁹*fleurs de lys* (fr.) — kwiaty lilii. [przypis edytorski]

hiszpańskie; wyroby gruzińskie, obrzeżone złotymi monetami, i japońskie *foukousas* z ich zielonawym złotem i cudownie upierzonym ptactwem.

Szczególną namiętność miał też do szat kościelnych, jak zawsze miał do wszystkiego, co pozostawało w związku z kościelnym ceremoniałem. W długich skrzyniach cedrowych, ustawionych w zachodniej galerii jego domu, mieściły się rzadkie, piękne okazy tego, co jest istotnie strojem oblubienicy Chrystusowej, noszącej purpurę, klejnoty i cienkie tkaniny, by ukryć blade, zmęczone ciało, umierające z cierpienia, którego sama szuka, i krwawiące od ran, które sama sobie zadaje. Posiadał zbytkowną kapę z karmazynowego jedwabiu i złotem tkanego adamaszku, zdobioną w powtarzające się złote girlandy z owoców granatu, osadzonych w sześciopłatkowym regularnym kwieciu, obok których na odwrotnej stronie były szyszki, sztucznie zrobione z pereł. Brzeg podzielony był na osobne pola, przedstawiające sceny z życia Przenajświętszej Dziewicy, a na kapturze kolorowymi jedwabiami wyhaftowano Jej ukoronowanie. Była to robota włoska z XV stulecia. Inna kapa była z zielonego aksamitu, haftowana ułożonymi w serca liśćmi akantu, z których na długich szypułkach wychodziły białe kwiaty, wykończone srebrnymi nićmi i różnobarwnymi kryształami. Wśród tego wylaniał się koń morski z głową serafina, utkaną ze złota. Brzegi, tkane we wzory z czerwonego i złotego jedwabiu, były obszyte medalionami ze świętymi i męczennikami, między którymi znajdował się św. Sebastian. Miał też alby¹²⁰ z jedwabiu barwy bursztynu, z błękitnego jedwabiu i złotego brokatu, z błękitnego jedwabnego adamaszku i złotej tkaniny, zdobne w stacje męki i ukrzyżowania Chrystusa, haftowane w lwy, pawie i inne godła; dalmatyki z białego atłasu i różowego jedwabnego adamaszku, zdobne w tulipany, delfiny i *fleurs de lys*; obrusy ołtarzowe z karmazynowego atłasu i niebieskiej tkaniny lnianej; różne korporaly¹²¹, zasłony na kielichy i ręczniki. Wyobraźnię jego podniecało mistyczne przeznaczenie, do jakiego służyły te przedmioty.

Wszystkie skarby i wszystko, co nagromadził w swym pięknym domu, uważał tylko za środki zapomnienia, za sposób, w jaki chciał schronić się na jeden sezon przed trwożą, która zdawała mu się czasami zbyt wielka, aby mógł ją znieść. Na ścianie pustego, zamkniętego pokoju, w którym spędził znaczną część swego dzieciństwa, własnoręcznie zawiesił straszny portret, którego zmienione rysy ukazywały mu prawdziwe upodlenie jego życia. Zamiast portierni zasłonił go purpurowo-złotym całunem. Całymi tygodniami nie wchodził tam, pragnąc zapomnieć o ohydnych malowidle, odzyskać swe lekkie serce, swą przedziwną radość życia, swe namiętne oddanie się szczęśliwemu bytowi. Aż nagle pewnej nocy wymykał się znów z domu do owych wstrętnych lokali na Blue Gate Fields¹²² i pozostawał tam całymi dniami, dopóki go nie przepędzono. Po powrocie siadywał czasem przed obrazem, nieraz ze wstrętem, kiedy indziej odczuwając dumę indywidualności, zawierającą w sobie połowę uroku grzechu, i uśmiechając się z tajemnym zadowoleniem do niekształtnego cienia, który niósł brzemień przeznaczone dla niego.

Po paru latach nie był w stanie przebywać dłużej poza Anglią, sprzedał więc wille w Trouville, jaką miał wspólnie z lordem Henrykiem, oraz biały murowany domek w Algierze, gdzie obaj niejedną spędzili zimę. Nie znosił rozłąki z obrazem, który był częścią jego życia, i obawiał się, aby podczas jego nieobecności ktoś nie wtargnął do pokoju, pomimo wymyślnych sztab, w jakie zaopatrzył był drzwi.

Był zupełnie spokojny, że on sam przez się nikomu nic nie powie. To prawda, że pod ohydą i brzydota oblicza portret wciąż zachowywał uderzające podobieństwo, ale co z tego można się dowiedzieć? Wyśmiałby każdego, kto by próbował z niego drwić. Przecież nie on go malował. Co go obchodzi, że obraz wygląda ohydnie i nikczemnie? Gdyby nawet powiedział prawdę, czyż by mu uwierzono?

Obawiał się jednak. Nieraz bawiąc na wsi, w swym wielkim domu w Nottinghamshire, otoczony światowymi młodymi ludźmi ze swej sfery, którzy byli jego stałym towarzystwem, gdy ołsniewał całe hrabstwo wyzywającym przepychem i wystawnym zbytkiem swego sposobu życia, opuszczał nagle swych gości, w pośpiechu powracał do miasta, aby

¹²⁰*alba* (łac.: biała) — długa, biała szata liturgiczna noszona pod ornatem. [przypis edytorski]

¹²¹*korporal* — kwadratowa tkanina podkładana pod kielich i patenę z hostią w liturgii Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

¹²²*Blue Gate Fields* a. *Bluegate Fields* — jeden z najgorszych slumsów wiktoriańskiego Londynu, istniejący niegdyś na ptn. od starych doków. [przypis edytorski]

sprawdzić, czy drzwi są nienaruszone i czy obraz jest dalej na swym miejscu. Gdyby go skradziono? Sama myśl o tym napelniała go trwogą. Świat poznałby na pewno jego tajemnicę. Kto wie, czy już się jej nie domyśla.

Choć wielu czarował, byli tacy, w których budził nieufność. Omal że nie przebalotowano¹²³ go w klubie West Endu, pomimo że urodzenie i stanowisko społeczne uprawniały go w pełni, aby został jego członkiem, a opowiadano sobie, iż gdy przy jakiejś sposobności jeden z przyjaciół wprowadził go do salonu klubu Churchill, księżę Berwick i ktoś drugi w znaczący sposób powstali i wyszli. Dziwne krążyły o nim wieści, gdy ukończył dwudziesty piąty rok życia. Głoszono, że widziano go w bójce z cudzoziemskimi marynarzami w jakimś podłym szynku w odległej dzielnicy Whitechapel¹²⁴, że obcuje ze złodziejami i fałszerzami pieniędzy i że zna tajemnice ich zawodu. Zauważono jego niezwykle wyjazd, a kiedy zjawiał się znów w towarzystwie, szeptano o nim po kątach, mijano go szydyczko lub mierzono go zimnym, badawczym wzrokiem, jakby postanowiono odkryć jego tajemnicę.

Nie zwracał oczywiście uwagi na podobne afronty i drwiny, a w oczach większości jego szczerze, dobroduszne usposobienie, czarujący, młodzieńczy uśmiech i niezmierny wdzięk cudownej młodości, która zdawała się nie opuszczać go nigdy, były dostateczną odpowiedzią na oszczerstwa, bo za takie uważano krążące o nim wieści. Zauważono jednakże, iż niektórzy z tych, co obcowali z nim najbliżej, po pewnym czasie unikali go. Kobiety, które za nim szalały, dla niego narażały się na obmowę i łamały konwenanse, bladły ze wstydu lub trwogi, gdy Dorian Gray wchodził do salonu.

W oczach wielu jednak owe skandaliczne pogłoski podnosiły tylko jego dziwny i niebezpieczny urok. Jego majątek był też poważnym czynnikiem bezpieczeństwa. Społeczeństwo, a przynajmniej społeczeństwo cywilizowane, nie jest skłonne wierzyć w nic złego o ludziach bogatych i zachwycających. Ludzie instynktownie czują, że formy są ważniejsze od moralności, i w ich mniemaniu najwyższa uczciwość jest mniej warta niż posiadanie dobrego kucharza. Zaiste, nędzna to pociecha, gdy o człowieku podejmującym swych gości marnym obiadem lub kiepskim winem, opowiadają, że prowadzi nienagane życie. Nawet najwyższe cnoty, jak to zauważył raz lord Henryk w rozmowie o tym przedmiocie, nie są w stanie okupić na pół zimnych potraw, i jest całkiem możliwe, że określenie to dałoby się poważnie podtrzymać. Bo w dobrym towarzystwie obowiązują, lub obowiązywać winny te same zasady, co w sztuce. Forma jest tu rzeczą bezwzględnie najbardziej istotną. Winna posiadać dostojność obrzędu i jego nierealność, winna łączyć nieszczerzy charakter sztuki romantycznej z dowcipem i pięknnością, dzięki którym sztuki takie stają się dla nas rozkoszne. Czy nieszczerłość miałaby być czymś strasznym? Nie sądzę. Jest tylko środkiem zwielokrotniającym naszą osobowość.

Takie było przynajmniej mniemanie Doriana Graya. Dziwiła go płytka psychologia tych, co ludzkie ja uważali za coś trwałego, prostego i jednolitego. Dla niego człowiek był istotą o miriadach żywotów i miriadach wzruszeń, złożonym, różnolitym stworzeniem, noszącym w sobie dziwną spuściznę myśli i namiętności, którego ciało było nawet napiętnowane potwornymi chorobami umarłych. Lubił walać się po zimnej, wysokiej galerii obrazów w swej wiejskiej posiadłości, aby przypatrywać się różnym portretom przodków, których krew płynęła w jego żyłach. Był tam Filip Herbert, o którym Francis Osborne¹²⁵ w *Pamiętnikach z czasów panowania królowej Elżbiety i króla Jakuba* opowiada, że był „pieszczony przez cały dwór gwoli pięknemu obliczu, którego urok był jednak krótkotrwały”. Czy nie wie dzie on niekiedy życia młodego Herberta? Czy dziwne trujące zarodki przechodziły z ciała do ciała, aż stały się jego własnością? Czy kierowało nim może jakieś niejasne odczucie owego przedwcześnie utraconego wdzięku, gdy tak nagle i bez żadnego powodu wyraził w pracowni Bazylego Hallwarda owe szalone życzenie, które tak odmieniło jego życie? Tam, w złotym tkanym, czerwienią podbitym, zdobnym w klejnoty kaftanie, w kołnierzu i mankietach ze złotą frędzlą widnieje pan Antoni Sherard

¹²³balotować (daw.) — tajnie głosować za pomocą kartek albo białych i czarnych galek. [przypis edytorski]

¹²⁴Whitechapel — uboga dzielnica Londynu w pn.-wsch. części miasta (East End); w epoce wiktoriańskiej uważana była za najniebezpieczniejszy obszar metropolii. [przypis edytorski]

¹²⁵Francis Osborne (1593–1659) — angielski pisarz, autor m.in. książki *Traditional Memoirs of the Reigns of Q. Elizabeth and King James I* (Pamiętniki z czasów panowania królowej Elżbiety i króla Jakuba, 1658), zawierającej plotki dworskie, przedrukowanej w 1811. [przypis edytorski]

ze srebrno-czarną zbroją złożoną u jego stóp. Jaką ten człowiek pozostawił mu spuściznę? Czy po kochanku Giovanny Neapolitańskiej¹²⁶ odziedziczył jakiś grzech i hańbę? Czy jego własne czyny nie były marzeniami, których zmarły nie śmiał urzeczywistnić? Tam z płowiejącego płótna uśmiecha się lady Elżbieta Devereux¹²⁷, w gazowym czepku, gorsiecie przybranym perłami i różowych, rozciętych rękawach. W prawej ręce trzyma kwiat, a lewą przyciska naszyjnik, emaliowany w białe róże damasceńskie. Obok na stole leży mandolina i jabłko. Duże, zielone rozety zdobią jej małe, spiczaste trzewiki. Znał jej życie i ciekawe historie, jakie opowiadano o jej kochankach. Czy ma on w sobie coś z jej usposobienia? Te oczy owalne o ciężkich powiekach zdają się patrzeć nań z ciekawością. A Jerzy Willoughby z pudrowanymi włosami i fantastycznymi muszkami na twarzy? Jak on dziko spogląda! Twarz ma posępną i chmurną, a zmysłowe usta zdają się drgać pogardliwie. Cienkie mankiety koronkowe opadają na chude żółte ręce, przeładowane pierścieniami. Był makaronistą¹²⁸ osiemnastego wieku, w młodości przyjaźnił się z lordem Ferrars. A drugi lord Beckenham, towarzysz księcia regenta¹²⁹ w jego najszańszych dniach i jeden ze świadków tajemnego ślubu z panią Fitzherbert¹³⁰? Jakże musiał być dumny i urodziwy ze swymi kasztanowatymi kędziorami i wyzywającą postawą! Jakie przekazał mu on namiętności? Świat patrzył na niego jak na infamisa¹³¹. To on prowadził orgie w Carlton House¹³². Na jego piersi błyszczy gwiazda Orderu Podwiązki¹³³. Obok niego wisiał portret jego żony, czarno ubranej, bladej damy o wąskich wargach. Także jej krew krąży w jego żyłach. Jakie to wszystko ciekawe! A jego matka z twarzą lady Hamilton¹³⁴ i wilgotnymi, winem odświeżonymi ustami — wiedział, co wziął po niej. Dała mu jego piękność i jego namiętność do urody innych. Śmiała się do niego w swym swobodnym stroju bachantki. We włosach ma winne liście. Purpurowy strumień spływa z czary, którą trzyma w ręku. Barwy malowidła wyblakły, pozostały oczy wciąż cudowne w swej głębi i żywym blasku. Zdawały się śledzić go, gdzie się ruszył.

Równie dobrze, jak we własnym rodzie, można mieć przodków w literaturze, może nawet bliższych w typie i usposobieniu, a bez wątpienia wywierających wpływ bezwzględnie świadomy. Były chwile, gdy zdawało się Dorianowi Grayowi, że cała historia ludzkości była tylko opowieścią o jego własnym życiu, nie tym, które przeżywał w czynach i zdarzeniach, lecz tym, które sobie stwarzał w wyobraźni i które istniało w jego mózgu i namiętnościach. Czuł, że zna wszystkie te dziwne, straszne postacie, które przesunęły się przez scenę świata i uczyniły grzech tak czarującym a zło tak pełnym uroku. Zdawało mu się, jakby w jakiś tajemny sposób ich życie było jego własnym.

Bohater tej przedziwnej powieści, która taki wpływ miała na jego życie, znał był również to ciekawe urojenie. W rozdziale siódmym opowiada, jak uwięziony wawrzynem, aby nie uderzył weń piorun, siedział, jako Tyberiusz¹³⁵, w ogrodzie na Capri, czytając bez-

¹²⁶*Giovanna Neapolitańska* a. *Joanna II, królowa Neapolu* (1373–1435) — królowa Neapolu (od 1414); prowadziła swobodny tryb życia, miała dwóch mężów i wielu kochanków. [przypis edytorski]

¹²⁷*Elżbieta Devereux* — postać fikcyjna, zapewne aluzja do relacji łączącej angielską królową Elżbietę I (1533–1603) i jej faworyta Roberta Devereux (1567–1601), hrabiego Essex. [przypis edytorski]

¹²⁸*makaronista* — w XVIII-wiecznej Anglii: młody człowiek, który z podróży po Europie przywiózł zamilowanie do kontynentalnych gustów i mody; poprzednik dandysa. [przypis edytorski]

¹²⁹*książę regent* — Jerzy IV Hanowerski (1762–1830), książę Walii, w 1811 z powodu popadnięcia w obłąd Jerzego III (1738–1820), jego ojca, został przez parlament ogłoszony regentem królestwa i pozostał nim przez resztę życia ojca. [przypis edytorski]

¹³⁰*Fitzherbert, Maria Anne* (1756–1837) — wieloletnia partnerka Jerzego IV Hanowerskiego, zanim został królem. W 1785 w tajemnicy zawarła małżeństwo; ponieważ była katoliczką, nie miało ono mocy prawnej. [przypis edytorski]

¹³¹*infamis* (daw.) — osoba skazana na utratę czci i praw; przen. niegodziwiec, wyrodek. [przypis edytorski]

¹³²*Carlton House* — rezydencja w Londynie, znana głównie jako siedziba księcia Walii Jerzego IV jako księcia regenta. [przypis edytorski]

¹³³*Order Podwiązki* — najwyższy order angielski, ustanowiony przez króla Edwarda III w 1348. [przypis edytorski]

¹³⁴*lady Hamilton*, urodzona jako *Emma Lyon* (1765–1815) — angielska modelka i tancerka, symbol mody i urody XVIII-wiecznej Wielkiej Brytanii; żona brytyjskiego ambasadora sir Williama Hamiltona, znana też jako kochanka admirała Nelsona. [przypis edytorski]

¹³⁵*Tyberiusz*, właśc. *Tiberius Claudius Nero* (42 p.n.e.–37 n.e.) — cesarz rzymski od 14 r. n.e., następca Oktawiana Augusta, wybitny wódz; w historiografii rzym. zyskał opinię tyrańca i rozpustnika; ostatnie lata życia spędził w posiadłości na wyspie Capri w Zat. Neapolitańskiej. [przypis edytorski]

wstydne księgi Elefantydy¹³⁶, podczas gdy karły i pawie krążyły wokół niego, a fletnista szydził z niewolnika palącego kadzidła; jako Kaligula¹³⁷ upijał się w stajni z parobkami w zielonych kurtkach i razem z koniem ubranym w klejnoty jadł ze żłobu z kości słoniowej; jako Domicjan¹³⁸ przechadzał się po korytarzu, wyłożonym lśniącymi marmurami, szklanym wzrokiem szukając miecza, który miał skończyć dni jego życia, chory na ową nudę, to straszne *taedium vitae*¹³⁹, opanowujące tych, którym życie nie odmówiło niczego; przez przezroczysty szmaragd patrzył na arenę cyrkową, w lektyce z pereł i purpury, zaprzężonej w muły w srebrnej uprzęży, był wieszony aleją drzew granatu do Złotego Domu¹⁴⁰, a po drodze słyszał, jak tłumy wołały: „Nero Caesar”; jako Heliogabal¹⁴¹, z twarzą barwnie umalowaną, kręcił wrzeczono wśród niewiast, sprowadzał księżyc z Kartaginy i w mistycznym ślubie łączył go ze słońcem.

Wielekroć razy odczytywał Dorian ten rozdział i dwa następne, w których niby na rzadkich kobiercach lub wytwornie wykonanych emaliach, odmalowane były straszne i piękne kształty tych, których występki, krew i znużenie uczyniły potworami lub szaleńcami: Filippo¹⁴², książę mediolański, co zamordował swą żonę, a usta jej pomalował szkarlatną trucizną, by kochanek wyssał z nich śmierć wraz z pocałunkiem; Pietro Barbi¹⁴³, weneccjanin, znany jako Paweł II, który przez próżność przybrał tytuł Formosus¹⁴⁴, a tiarę swą, ocenianą na sto tysięcy florenów, nabył za cenę straszego grzechu; Gian Maria Visconti¹⁴⁵, który psami szczuł ludzi i którego zwłoki rozmiłowana w nim nierządnicą okryła różami; Borgia¹⁴⁶ na białym rumaku z jadącym obok niego Fratricidą w płaszczu ociekającym krwią Perotta; Pietro Riario, młody kardynał-arcybiskup florencki, syn i ulubieniec Sykstusa IV, którego urodzie równało się tylko jego wyuzdanie i który przyjmował Leonorę Aragońską w namiocie z białego i karmazynowego jedwabiu, pełnego nimf i centaurów, a usługującego do uczt chłopca kazał ozłocić, aby wyglądał, jak Ganimedes¹⁴⁷ lub Hylas¹⁴⁸; Ezzelino¹⁴⁹, leczący swą melancholię wyłącznie widokiem śmierci, łaknący czerwonej krwi, jak kto inny czerwonego wina, syn szatana, jak go nazywano, który oszukiwał ojca przy grze w kości, grając z nim o własną duszę; Giambattista Cibo¹⁵⁰, co dla szyderstwa przybrał imię Innocentego, w którego starcze żyły lekarz żydowski

¹³⁶ *Elefantyda* (I w. p.n.e.) — grecka poetka i lekarka, znana w świecie antycznym jako autorka podręcznika seksualnego. Wg Swetoniusza cesarz Tyberiusz zabrał ze sobą na Capri komplet jej dzieł. [przypis edytorski]

¹³⁷ *Kaligula*, właśc. *Gaius Iulius Caesar Germanicus* (12–41 n.e.) — cesarz rzymski od r. 37, po obiecującym początku rządów zapadł na chorobę umysłową. [przypis edytorski]

¹³⁸ *Domicjan*, właśc. *Titus Flavius Domitianus* (51–96) — cesarz rzym. od 81, trzeci i ostatni z dynastii flawijskiej; padł ofiarą spisku swojej żony z zaufanymi wyzwolencami i dowódcami straży przybocznej: zginął zasztyletowany w swoim pałacu. [przypis edytorski]

¹³⁹ *taedium vitae* (łac.) — znużenie życiem. [przypis edytorski]

¹⁴⁰ *Złoty Dom Nerona* (łac. *Domus Aurea*) — rozległy pałac cesarza Nerona, zbudowany w centrum Rzymu. [przypis edytorski]

¹⁴¹ *Heliogabal* (204–222) — w młodości kapłan syryjskiego boga słońca, od 218 cesarz rzymski (jako *Marek Aureliusz Antoninus*); zyskał reputację rozpustnika i hedonisty. [przypis edytorski]

¹⁴² *Filippo, książę mediolański* — Filip Maria Visconti (1392–1447), ostatni książę Mediolanu z rodu Viscontich. [przypis edytorski]

¹⁴³ *Barbi, Pietro* (1417–1471) — bratanek papieża Eugeniusza IV, włoski kardynał, od 1464 papież jako Paweł II, znany jako miłośnik przepychu i imprez karnawałowych. [przypis edytorski]

¹⁴⁴ *formosus* (łac.) — piękny, przystojny. [przypis edytorski]

¹⁴⁵ *Visconti, Giovanni Maria* (1388–1412) — drugi książę Mediolanu, brat Filipa Marii; znany ze swoich psów, które szkolił, aby rozszarpały ludzi; zamordowany przez spiskowców. [przypis edytorski]

¹⁴⁶ *Borgia, Cesare* (1475–1507) — syn kardynała Rodrigo Borgii (późniejszego papieża Aleksandra VI), arcybiskup, kardynał, później polityk i dowódca wojsk; w 1498 zrezygnował z godności duchownych, dekretem króla Francji Ludwika XII otrzymał tytuł księcia Valentinois (płd. Francja); dowodząc wojskami papieskimi dążył do objęcia środk. Włoch pod swoją władzą i utworzenia własnego państwa (książę Romanii); po śmierci ojca został pozbawiony władzy przez papieża Juliusza II. [przypis edytorski]

¹⁴⁷ *Ganimedes* (mit. gr.) — piękny młodzieniec, ukochany przez Zeusa i wzięty przez niego na Olimp jako podczaszy bogów. [przypis edytorski]

¹⁴⁸ *Hylas* (mit. gr.) — młody towarzysz i kochanek Heraklesa, razem z nim uczestniczył w wyprawie Argonautów. [przypis edytorski]

¹⁴⁹ *Ezzelino III da Romano* (1194–1259) — feudalny władca włoskiego miasta Trevignano, który w sojuszu z cesarzem Fryderykiem II podporządkował sobie Weronę i inne miasta w pn.-wsch. Włoszech. [przypis edytorski]

¹⁵⁰ *Giambattista Cibo* (1432–1492) — kardynał włoski, jako papież (od 1484) przybrał imię Innocenty VIII (łac. *innocentius*: niewinny, prawy, nieposzlakowany). [przypis edytorski]

wprowadził krew trzech młodzieńców; Sigismondo Malatesta¹⁵¹, kochanek Izotty, księżę Rimini, którego obraz, jako wroga Boga i ludzi, spalono w Rzymie, on to zadusił obrusem Polissenę, Ginewrze d'Este¹⁵² podał truciznę w szmaragdowej czarze, a na cześć haniebnej namiętności wystawił świątynię pogańską¹⁵³, by w niej odprawiano chrześcijańskie nabożeństwa; Karol VI¹⁵⁴, tak szalenie zakochany w żonie swego brata, że pewien trędowaty ostrzegł go przed szalenstwem, jakiemu uległ, a gdy mózg miał chory i opętany, jedynym środkiem łagodzącym były dlań karty saraceńskie¹⁵⁵ z wizerunkami miłości, śmierci i szału; i w strojnym kaftanie, w żółtej czapce, z kędziorami na wzór akantu, Grifonetto Baglioni¹⁵⁶, morderca Astorra i jego narzeczonej, i Simonetto ze swym pazurem, tak ujmująco urodziwy, że gdy umierał na żółtym placu w Perugii, nawet ci, co go nienawidzili, oplakiwali go, i Atalanta, choć przeklinała go dawniej, wielbiła go.

Od nich wszystkich bił straszny czar. Widział ich przed sobą nocami i w dzień niepokoił jego wyobraźnię. Renesans znał przedziwne sposoby trucia, truto hełmem, płonąca pochodnią, haftowaną rękawicą, wysadzonym klejnotami wachlarzem, złotym grzebieniem i naszyjnikami z bursztynów. Doriana Graya otruła książka. Były chwile, kiedy zło uważał tylko za środek służący do urzeczywistnienia jego wyobrażenia o pięknie.

ROZDZIAŁ XII

Było to, jak sobie później często przypominał, dziewiątego listopada w wilię trzydziestej ósmej rocznicy jego urodzin.

Około godziny jedenastej w nocy wracał do domu z obiadu u lorda Henryka, otulony w ciężkie futro, gdyż noc była zimna i mglista. Na rogu Grosvenor Square i South Audley Street minął go we mgle mężczyzna w popielatym palcie z podniesionym kołnierzem, idący bardzo szybkim krokiem. W rękę miał walizkę. Dorian poznał go. Był to Bazyli Hallward. Zdjęło go dziwne uczucie trwogi, z którego nie umiał zdać sobie sprawy. Udając, że go nie poznaje, śpiesznie zdążył do domu.

Hallward dostrzegł go jednak. Dorian słyszał, że przystanął na bruku, a potem dopędył go. Za parę chwil dotknął ręką jego ramienia.

— Dorianie! Co za nadzwyczajne szczęście! Mniej więcej od dziewiątej czekałem na ciebie w twej bibliotece. Wreszcie zdjęła mnie litość nad twym znużonym służącym i gdy wypuszczał mnie, powiedziałem mu, aby poszedł spać. Pociągiem o północny wyjeżdżam do Paryża i bardzo mi zależało, aby cię przedtem zobaczyć. Poznałem cię, gdyś mnie mijal, a raczej twoje futro. Nie byłem jednak zupełnie pewny. A ty mnie nie poznałeś?

— W tej mgle, mój drogi Bazyli? Ledwie rozpoznałem Grosvenor Square. Mniemam, że gdzieś w pobliżu znajduje się mój dom, ale nie jestem zupełnie tego pewny. Przykro mi, że właśnie odjeżdżasz, bo całe lata cię nie widziałem. Spodziewam się wszakże, że wrócisz niezadługo?

— Nie, wyjeżdżam z Anglii na pół roku. Mam zamiar wynająć pracownię w Paryżu i zamknąć się w niej, póki nie skończę wielkiego obrazu, który mam w głowie. Ale nie o sobie chciałem z tobą mówić. Oto jesteśmy przed twoją bramą. Pozwól mi wejść na chwilę. Mam ci coś do powiedzenia.

— Będzie mi bardzo miło. Ale czy nie spóźnisz się na pociąg? — powiedział znużonym głosem Dorian Gray, gdy szli po schodach i otwierał drzwi kluczem.

W przedzierającym się przez mgłę świetle lampy Hallward spojrzął na zegarek.

— Mam kupę czasu — odparł. — Pociąg odchodzi dopiero kwadrans po dwunastej, a teraz jest jedenasta. Szedłem właśnie do klubu, sądząc, że cię tam spotkam. Widzisz,

¹⁵¹ *Sigismondo Pandolfo Malatesta* (1417–1468) — włoski książę i kondotier, zwany wilkiem z Rimini. [przypis edytorski]

¹⁵² *Polissena [Sforza], Ginewra d'Este* — dwie pierwsze żony Sigismonda. [przypis edytorski]

¹⁵³ *na cześć haniebnej namiętności wystawił świątynię pogańską* — renesansowy budynek Tempio Malatestiano, nieukończony kościół katedralny w Rimini, zbudowany zasadniczo jako mauzoleum dla Isotty degli Atti, kochanki i trzeciej żony Sigismonda. [przypis edytorski]

¹⁵⁴ *Karol VI Szalony* (1368–1422) — król Francji (od 1380) z dynastii Walezjusów; w 1392 zapadł niespodziewanie na chorobę psychiczną, krajem rządziła skłócona rada regencyjna. [przypis edytorski]

¹⁵⁵ *karty saraceńskie* — dawna nazwa kart tarota. [przypis edytorski]

¹⁵⁶ *Grifonetto Baglioni (...)* *Astora (...)* *Atalanta* — członkowie rodziny szlacheckiej kontrolującej włoskie miasto Perugia, bohaterowie krwawej rzezi i zemsty w roku 1500. [przypis edytorski]

że nie potrzebuję się troszczyć o bagaże, bo cięższe już wysłałem. Wszystko, co biorę ze sobą, jest w tej walizce, a na dworcu Victoria¹⁵⁷ będę z łatwością za dwadzieścia minut.

Dorian popatrzył nań, uśmiechając się.

— Tak podróżuje modny malarz! Ręczna walizka i palto! Wejdz, bo mgła wtargnie do domu. Spodziewam się, że nie będziesz mówił o niczym poważnym. W dzisiejszych czasach nie ma nic poważnego. Przynajmniej nie powinno być.

Gdy wchodzili, Hallward potrząsnął głową i podążył za Dorianem do biblioteki. Na szerokim kominku płonęło drzewo jasnym ogniem. Lampa świeciła się, a na inkrustowanym stoliku był przygotowany srebrny serwis holenderski z likierami, kilka syfonów wody sodowej i duże kryształowe szklanki.

— Widzisz, Dorianie, jak podejmował mnie twój służący. Dał mi wszystko, czego pragnąłem, nawet twoje najlepsze papierosy ze złotymi ustnikami. Bardzo gościnna istota. Wolę go od tego Francuza, którego miałeś. Ale co się z nim stało?

Dorian wzruszył ramionami.

— Zdaje się, że ożenił się ze służącą od lady Radley i urządził jej w Paryżu angielską pracownię sukien. Słyszałem, że anglomania jest tam teraz w modzie. Wygląda to na głupotę ze strony Francuzów, nieprawdaż? Ale wiesz, to wcale nie był zły służący. Nie lubiłem go nigdy, ale nie miałem mu nic do zarzucenia. Nieraz wmawiamy sobie rzeczy zupełnie niedorzeczne. Był do mnie naprawdę przywiązany i zdawał się bardzo strapiony, gdy odchodził. Pozwolisz brandy z wodą sodową? A może wolisz czerwone wino z wodą selcerską¹⁵⁸? Ja sam zawsze pijam czerwone wino z wodą selcerską. Jest na pewno w sąsiednim pokoju.

— Dziękuję ci już za wszystko — odrzekł malarz, zdejmując czapkę i płaszcz i składając je na walizce, którą postawił w kącie pokoju. — A teraz, mój drogi przyjacielu, chcę z tobą pomówić poważnie. Nie marszcz się z tego powodu. Utrudniasz mi tylko zadanie.

— O co ci chodzi? — zawołał Dorian zgryźliwie, wyciągając się na sofie. — Spodziewam się, że nie o mnie. Jestem dziś znużony sobą. Chciałbym być kimś innym.

— Chodzi o ciebie — odparł Hallward poważnym, głębokim głosem — i muszę z tobą pomówić. Zajmę ci tylko pół godziny.

Dorian westchnął i zapalił papierosa.

— Pół godziny! — mruknął.

— Niewiele żądam od ciebie, Dorianie, a jest to twoja własna sprawa. Uważam za słuszne, abyś dowiedział się o tych straszliwych rzeczach, które mówią o tobie w Londynie.

— Nic nie chcę o nich wiedzieć. Lubię plotki o innych, ale plotki o mnie samym mnie nie obchodzą. Brak im uroku nowości.

— Muszą cię obchodzić, Dorianie. Każdy człowiek honoru dba o dobre imię. Nie pozwolił chyba, aby mówiono o tobie jak o kimś nikczemnym i upadłym. Oczywiście, że posiadasz stanowisko, majątek i połączone z tym przywileje. Ale stanowisko i majątek nie są wszystkim. Wiedz, że nie wierzę w te wszystkie plotki. Przynajmniej nie wtedy, gdy widzę ciebie. Grzech odznacza się na twarzy człowieka. Ukryć go niepodobna. Mówi się wprawdzie o tajemnych występkach. Nie ma ich. Występek ukazuje się sam w liniach ust, w obwisłych powiekach, nawet w kształcie rąk. Ktoś, czyjego nazwiska nie wymienię, ale znasz go, był u mnie w tym roku, abym zrobił jego portret. Nigdy go przedtem nie widziałem ani nic o nim nie słyszałem, choć później dowiedziałem się wiele. Dawał mi niezwykłą cenę. Odmówiłem. W kształcie jego palców było coś dla mnie odrażającego. Teraz wiem, że moje wrażenie było zupełnie słuszne. Jego życie jest straszne. Ale ty, Dorianie, z twą czystą, otwartą, niewinną twarzą, z twą cudowną, nienaruszoną młodością — nie mogę wierzyć w nic złego o tobie. Widuję cię jednak tak rzadko, nigdy nie przychodzisz teraz do mej pracowni, a gdy cię nie widzę i słyszę te wszystkie okropności, jakie o tobie opowiadają, sam nie wiem, co o tym myśleć. Dlaczego, Dorianie, taki człowiek jak książę Berwick, wyszedł w klubie z pokoju, do którego ty wszedłeś? Dlaczego tyłu ludzi z towarzystwa londyńskiego nie bywa u ciebie i nie zaprasza cię do siebie? Wszak z lordem Staveleyem byłeś zaprzyjaźniony. W zeszłym tygodniu spotkałem go na obiedzie. W rozmowie wymieniono twe nazwisko w związku ze zbiorem miniatur, które

Grzech

¹⁵⁷Victoria Station — jedna z głównych stacji kolejowych w Londynie, otwarta w 1862. [przypis edytorski]

¹⁵⁸woda selcerska (daw.) — stolowa woda mineralna z Selters w Niemczech, zawierająca wiele wolnego dwutlenku węgla; także: woda sztucznie gazowana. [przypis edytorski]

oddaleś na wystawę w Dudley¹⁵⁹. Staveley, krzywiąc usta, powiedział, że możesz posiadać najwyższy smak artystyczny, ale jesteś człowiekiem, z którym w tym samym pokoju nie powinna przebywać żadna niewinna dziewczyna i żadna uczciwa kobieta. Przypomniałem mu, że jestem twym przyjacielem i zażądałem wyjaśnienia. Dał mi je. Dał mi je wobec wszystkich. To było okropne! Dlaczego twa przyjaźń jest dla młodych ludzi tak szkodliwa? Ot, choćby ów nieszczęsny chłopiec z gwardii, co popełnił samobójstwo. Byłeś jego serdecznym przyjacielem. Albo pan Henryk Ashton, co ze zhańbionym nazwiskiem musiał opuścić Anglię. Byliście obaj nierozłączni. A Adrian Singleton i jego straszny koniec? A jedyny syn lorda Kent i jego kariera? Wczoraj na St. James's Street spotkałem jego ojca. Jest złamany ze wstydu i żalu. A młody książę Perth? Jakież prowadzi życie? Kto z towarzystwa zechciałby być z nim?

— Dosyć, Bazyli. Mówisz o rzeczach, o których nie masz pojęcia — powiedział Dorian Gray, przygryzając wargi, z tonem niezmiernej pogardy w głosie. — Pytasz, dlaczego Berwick opuścił pokój, do którego wszedłem. Dlatego, że wiem o nim wszystko, a nie dlatego, że on wie cokolwiek o moim. Z tą krwią, jaka płynie w jego żyłach, czyż żywot jego mógłby być czysty? Pytasz o Henryka Ashtona i o młodego Perth. Portret. Czy to ja uczyłem pierwszego występku, a drugiego rozpusty? Jeżeli głupi syn Kenta bierze sobie żonę z ulicy, to cóż ja mam do tego? Jeżeli Adrian Singleton fałszuje na wekslu podpis przyjaciela, to czyż jestem jego opiekunem? Wiesz dobrze, jak się robi w Anglii plotki. Mieszczanstwo uprzyjemnia sobie swe obfite obiady przesądami moralnymi, objawiającymi się w opowieściach o tym, co nazywają rozwiązłością wyższych sfer, a chodzi im o to, aby pochwalić się, że bywają w najwyższych kołach i że są w stosunkach z tymi, których oczerniają. W tym kraju wystarczy być jednostką wybitną i z głową, aby stać się pastwą wszystkich pospolitych języków. A jakież życie prowadzą ci ludzie, co odgrywają rolę stróżów moralności? Mój drogi przyjacielu, zapominasz, że przebywamy w ojczyźnie obludy.

Plotka

— Dorianie — zawołał Hallward — nie o to chodzi. Wiem dobrze, że Anglia jest zepsuta i społeczeństwo angielskie jest niesprawiedliwe. Właśnie dlatego pragnąłbym, abyś ty był dobry. Nie byłeś dobry. Ludzie mają prawo sądzić człowieka według wpływu, jaki wywiera na przyjaciół. Twoi zatracają poczucie honoru, cnoty i czystości. Wszczepiłeś w nich szalone pragnienie użycia. Poszli na dno. Ty ich tam wtrąciłeś, a jednak możesz się uśmiechać, jak uśmiechasz się teraz. Są gorsze rzeczy. Wiem, że z Henrykiem jesteście nierozłączni. Już choćby dlatego, jeśli nie dla niczego innego, nie powinienesz okrywać hańbą imienia jego siostry.

— Ostrzegam cię, Bazyli, abyś liczył się ze słowami.

— Muszę mówić i ty musisz słuchać. Musisz wysłuchać! Zanim poznałeś lady Gwendolen, nie było na niej ani cienia obmowy. Czyż jest teraz choć jedna przyzwoita kobieta, która zechciałaby pokazać się z nią w parku? Nawet do własnych dzieci wzbroniono jej dostępu. Są inne jeszcze wieści, wieści, że widziano cię o świcie, jak wykradałeś się z podejrzanych domów, że odwiedzałeś w przebraniu najohydniejsze nory londyńskie. Czy to prawda? Czy to może być prawda? Roześmiałem się, gdy posłyszałem o tym po raz pierwszy. Posłyszałem znowu i przebiegł mnie dreszcz. A co mówią o twej siedzibie wiejskiej i życiu, jakie tam prowadzisz? Dorianie, ty nawet nie wyobrażasz sobie. Nie chcę zaprzeczać, że chciałbym prawić ci morały. Przypominam sobie, że Henryk powiedział kiedyś, że człowiek, który podejmuje się roli przygodnego kaznodziei, zawsze zaczyna od zaprzeczenia temu i łamie swe słowo. Ja chcę ci prawić morały. Chcę, abyś prowadził takie życie, by wszyscy cię szanowali. Chcę, abyś miał czyste imię i dobrą opinię. Chcę, abyś zerwał z tymi okropnymi ludźmi, z którymi żyjesz. Nie wzruszaj tak ramionami. Przystań być obojętny. Posiadasz niezwykle wpływ. Używaj go nie na zło, a na dobro. Opowiadają, że znieprawiasz każdego, z kim obcuje, i że wystarczy, byś wszedł do jakiegoś domu, a zniesławisz go lub coś podobnego. Nie wiem, czy jest tak, czy inaczej. Skąd mógłbym wiedzieć? Ale tak o tobie mówią. Słyszałem rzeczy niepodlegające wątpliwości. Lord Gloucester był w Oxfordzie jednym z najlepszych moich przyjaciół. Pokazywał

¹⁵⁹ *Dudley* — galeria sztuki w dawnym budynku wystawowym Egyptian Hall przy ulicy Piccadilly w Londynie, zbudowanym w 1812, zburzonym w 1905. [przypis edytorski]

mi list żony, pisany do niego, gdy umierała opuszczona w willi w Mentonie¹⁶⁰. Twoje nazwisko było wymienione w najstraszniejszym wyznaniu, jakie kiedykolwiek czytałem. Powiedziałem mu, że to niedorzeczność, że znam cię na wskroś i że byłbyś niezdolny do czegoś podobnego. Czy cię znam? Pragnąłbym wiedzieć, czy cię znam. Zanim na to odpowiem, powinienem zobaczyć twą duszę.

— Zobaczyc mą duszę! — wyjąkał Dorian Gray, zrywając się z sofj i blednac z przerażenia.

— Tak — odparł Hallward powaznie i z gluchym zalem w glósie — zobaczyc twą duszę. Ale to moze tylko Bóg.

Gorzki smiech szyderstwa wydarł się z warg mlodego mężczyzny.

— Mozesz zobaczyc ją sam, dzisiejszej nocy! — zawolał, biorac ze stołu lampę. — Chodz, to twoje własne dzieło. Dlaczego nie miałbys nań spojrzec? Mozesz potem opowiadac całemu światu, co tylko zechcesz. Nikt ci nie uwierzy. Gdyby ci uwierzono, kochano by mnie tym więcej. Znam świat lepiej od ciebie, choc prawisz o nim tak nudnie. Chodz, mówię ci. Nagadales się juz dosc o zepsuciu. Spojrzysz mu teraz w twarz.

Kazde jego slowo bylo napełnione szaloną dumą. Tupał nogami z chłopięcą zuchwaloscią. Odczuwał straszną radość na myśl, że podzieli się z kimś innym swą tajemnicą i to z człowiekiem, który namalował portret będący źródłem całej tej hańby, i że odtąd na całe życie obarczy go okropną pamięcią o tym, co uczynił.

— Tak — mówił dalej, podchodzac doń i ostro spoglądajac mu w oczy. — Pokazę ci moją duszę. Zobaczysz to, o czym sądziles, że moze oglądać tylko Bóg.

Hallward cofnął się.

— Ty bluźnisz, Dorianie! — zawolał. — Nie wolno ci mówić w ten sposób. To byłoby straszne, a nie moze być.

— Tak sądzisz? — Roześmiał się znowu.

— Wiem to. Wszystko, co ci dziś mówiłem, to dla twego dobra. Wszak wiesz, że byłem ci zawsze wiernym przyjacielem.

— Nie wtrącaj się do mnie. Kończ, coś miał do powiedzenia.

Twarz malarza skurczyła się wyrazem bólu. Umilkł na chwilę, gdyż owładnęło nim dzikie współczucie. Poza wszystkim, jakież prawo miał wdzierać się do życia Dorian Gray? Jeżeli popełnił choć dziesiątą część tego, co o nim opowiadano, jak wiele musiał wycierpieć! Powstał sam, podszedł do kominka i stanawszy przy nim, przyglądał się objętym płomieniami polanom, językom ognia i podobnemu do szronu popiołowi.

— Czekam, Bazylu — odezwał się mlody mężczyzna głosem stanowczym i jasnym.

Odwrócił się.

— Tylko tyle mam ci do powiedzenia — zawolał. — Musisz mi dać odpowiedź na to straszne oskarżenie, jakie ci stawiają. Jeżeli powiesz, że od początku do końca są nieprawdą, uwierzę ci. Powiedz to, Dorianie, powiedz! Czyż nie widzisz, co się ze mną dzieje? Mój Boże, nie mów mi, że jesteś zły, zepsuty i bezwstydnym!

Dorian Gray uśmiechnął się. Usta jego okryły się wzgardą.

— Chodz na górę, Bazylu — rzekł spokojnie. — Prowadzę pamiętnik mego życia, dzień po dniu, i nigdy nie zabieram go z pokoju, w którym jest pisany. Pokażę ci go, jeśli pójdziesz ze mną.

— Pójdę, Dorianie, jeżeli tego chcesz. Widzę, że już spóźniłem się na pociąg. Nie szkodzi. Pojadę jutro. Nie żądaj tylko, abym miał czytać cokolwiek dzisiejszej nocy. Chciałbym jedynie otrzymać szczerą odpowiedź na moje pytanie.

— Otrzymasz ją na górze. Tu ci jej dać nie mogę. Nie będziesz długo czytał.

ROZDZIAŁ XIII

Wyszedł z pokoju i wstąpił na schody, Bazylu Hallward szedł tuż za nim. Szli cicho, jak odruchowo zwykło się chodzić w nocy. Lampa rzuciła fantastyczne cienie na ściany i schody. Zrywający się wiatr bił w szyby.

Gdy stanęli na najwyższym schodzie, Dorian postawił lampę na podłodze, wyjął klucz i przekręcił go w zamku.

¹⁶⁰Menton a. Mentona — miejscowość wypoczynkowa na Riwierze Francuskiej, w pobliżu granicy z Włochami, jedno z ulubionych miejsc brytyjskiej klasy wyższej. [przypis edytorski]

— Czy nastajesz, Bazyli, aby się dowiedzieć? — spytał cichym głosem.

— Tak.

— Cieszy mnie to — odparł z uśmiechem. Po czym dodał nieco cierpko: — Jesteś jedynym człowiekiem na świecie uprawnionym do tego, aby wiedzieć o mnie wszystko. Masz w mym życiu większe znaczenie, niż sam przypuszczasz. — I wzięwszy lampę, otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Wionął na nich zimny prąd powietrza i światło lampy zamigotało na chwilę ciemno-pomarańczowym płomieniem. Wstrząsnął nim dreszcz.

— Zamknij za sobą drzwi — wyszeptał, stawiając lampę na stole.

Hallward rozglądał się z wyrazem zdumienia. Pokój robił wrażenie od lat niezamieszkałego. Wyblakłe obicie flamandzkie, zasłonięty obraz, stara włoska *cassone*¹⁶¹ i niemal pusta półka na książki — to było wszystko, co tu zdawało się znajdować, oprócz krzesła i stołu. Gdy Dorian Gray zaświecił stojącą na półce do połowy wypaloną świecę, zauważył, że cały pokój był pokryty kurzem i że w dywanie były dziury. Za obiciem ściennym harcowała mysz. Powietrze było zatęchłe od wilgoci.

— Więc myślisz, Bazyli, że tylko Bóg widzi duszę? Odsłoń tę firankę, a zobaczysz moją.

Głos, którym to mówił, był chłodny i okrutny.

— Oszalałeś, Dorianie, albo udajesz — mruknął Hallward, marszcząc brwi.

— Nie chcesz? Więc zrobię to sam — rzekł młody mężczyzna i zrywając zasłonę, rzucił ją na podłogę.

Okrzyk przerażenia wydarł się z ust malarza, gdy w słabym świetle zobaczył wykrzywającą się doń z płótna ohydą twarz. W jej wyrazie było coś, napelniającego go wstrętem i obrzydzeniem. Boże! Przecież oglądał twarz Dorianą Graya! Ohyda, czymkolwiek ona była, jeszcze nie zdołała całkowicie zniszczyć piękna. Rzadkie włosy lśniły jeszcze resztką złota, zmysłowe usta resztką szkarłatu. Wyblakłe oczy zachowały jeszcze resztkę ślicznego błękitu, wytworne nozdrza i kształtna szyja jeszcze niezupełnie zatraciły szlachetność rysów. Tak, to był Dorian we własnej osobie. Kto to jednak zrobił? Wydawało mu się, że rozpoznaje swój własny pędzel, a rama była zrobiona według jego rysunku. Potworna myśl napawała go trwogą. Wziął zapaloną świecę i podniósł ją do obrazu. W lewym rogu było jego nazwisko, nakreślone dużymi literami jasnym cynobrem.

Była to jakaś podła parodia, nikczemna, niegodna satyra. On tego nigdy nie malował. A jednak to był jego własny obraz. Poznawał go i poczuł, jak w jednej chwili płomienie jego krwi zaskrzepły w lód. Jego własny obraz! Co to ma znaczyć? Dlaczego jest zmieniony? Odwrócił się i spojrział na Dorianą Graya oczami chorego człowieka. Usta mu drżały, nie mógł poruszać zdrewniałym językiem. Przeciągnął ręką po czole. Było mokre od kroplistego potu.

Młody mężczyzna, wsparty o gzyms kominka, patrzył nań z tym dziwnym wyrazem, jaki widuje się na twarzach ludzi zajętych grą któregoś z wielkich artystów. Nie było w nim ani prawdziwego żalu, ani prawdziwej radości. Była tylko namiętność widza z niejakim błyskiem triumfu w oczach. Wyjął ze swej butonierki kwiat i wachał go lub udawał, że wacha.

— Co to ma znaczyć? — wykrzyknął w końcu Hallward. Jego własny głos brzmiał mu w uszach przeraźliwie i obco.

— Przed laty, gdy byłem chłopcem — powiedział Dorian Gray, mnąc kwiat w rękę — spotkałeś mnie, schlebiałeś mi i nauczyłeś być próżnym z powodu urody. Pewnego dnia przedstawiłeś mi jednego ze swych przyjaciół, który wytłumaczył mi czar młodości, gdy wykończyłaś właśnie portret, który objawił mi cud piękności. W chwili szału, której dziś jeszcze nie wiem, czy żałuję, czy nie, wyraziłem życzenie, które nazwałbyś może modlitwą...

— Pamiętam to! Och, jak dobrze pamiętam! Nie! To niemożliwe. Pokój jest wilgotny. Do płótna dostała się pleśń. Farby, których używałem, musiały zawierać jakieś przekłętą jady chemiczne. Mówię ci, że to niemożliwe.

— Co jest niemożliwe? — wyszeptał młody mężczyzna, podchodząc do okna i przykładając czoło do zimnej, wilgotnej od mgły szyby.

¹⁶¹*cassone* (z wł.) — duża ozdobna skrzynia, charakterystyczny mebel włoskiego renesansu. [przypis edytorski]

— Mówiłeś mi, że go zniszczyłeś.
— To nieprawda. On mnie zniszczył.
— Nie wierzę, aby to był mój obraz.
— Nie poznajesz w nim swego ideału? — rzekł Dorian z goryczą.
— Mój ideał, jak go nazywasz...
— Jak ty go nazwałeś.
— Nie było w nim nic złego, nic haniebnego. Byłeś dla mnie takim ideałem, jakiego nigdy już nie spotkam. To jest twarz satyra.
— To jest oblicze mej duszy.
— Chryste! Kogóż ja ubóstwiałem! To są oczy szatana.
— Każdy z nas, Bazyli, nosi w sobie niebo i piekło — zawołał Dorian z dzikim ruchem rozpaczy.

Hallward zwrócił się znów do portretu i wpatrywał się weń.

— Boże, jeśli to prawda — zawołał — i jeśli to zrobiłeś ze swego życia, byłbyś znacznie gorszy, niż o tobie mówią i sobie wyobrażają!

Zbliżył świecę do płótna i badał je. Zewnętrznie wydawało się nienaruszone, takie, jakim je zrobił. Zgnilizna i ohyda szły widocznie od wewnątrz. Przez niepojętą szybkość wewnętrznego życia jad grzechu trawił stopniowo obraz. Rozkład trupa w wilgotnym grobie nie mógł być równie straszliwy.

Z lichtarza w jego drżącej ręce wypadła świeca na podłogę, paląc się dalej. Zgasił ją, depcząc nogą. Następnie osunął się na trzeszczące krzesło koło stołu i ukrył twarz w dłoniach.

— Boże litościwy, jakaż to nauka, Dorianie! Jakaż straszna nauka! — Nie było odpowiedzi, ale słyszał, że młody mężczyzna pod oknem lkał. — Módl się, Dorianie, módl się — wyszeptał. — Jak to nas nauczono w młodości? „Nie wódź nas na pokuszenie. Opuść nasze winy. Zbaw nas od złego”. Módlmy się razem. Modlitwa twojej próżności została wysłuchana. Będzie też wysłuchana modlitwa twej skruchy. Ubóstwiałem cię za bardzo. Jestem za to ukarany. Ubóstwiałeś się sam zanadto. Jesteśmy obaj ukarani.

Dorian Gray obrócił się powoli i popatrzył nań oczami pociemniałymi od łez.

— Za późno, Bazyli — wyjąkał.

— Nigdy nie jest za późno, Dorianie. Klękniemy i spróbujemy przypomnieć sobie jakąś modlitwę. Wszak Pismo mówi: „A choćby grzechy twe były jak szkarłat, obmyję je, że będą bielsze ponad śnieg”¹⁶².

— Słowa te nic już dla mnie nie znaczą.

— Cicho! Nie mów tak. Dość już złego popełniłeś w swym życiu. Mój Boże! Czy nie widzisz, jak ta niegodziwość nam urąga?

Dorian Gray spojrział na obraz i nagle poczuł niepohamowaną nienawiść do Bazylego Hallwarda, jakby wzbudzoną w nim przez portret na płótnie, podszeptaną przez jego wykrzywione usta. Opanowała go obłądna wściekłość ściganego zwierzęcia, zniechęcił siedzącego przy stole człowieka gorzej niż kiedykolwiek nienawidził w swym życiu. Rozglądał się dzikim wzrokiem. Naprzeciw niego błyszczało coś na wieku malowanej skrzyni. Zauważyły to jego oczy. Wiedział, co to jest. Był to nóż, który przyniósł tu przed paroma dniami, by odciąć kawałek sznura, i zapomniał go zabrać. Podeszedł powoli, przechodząc obok Hallwarda. Gdy stanął za nim, chwycił za nóż i odwrócił się. Hallward poruszył się na krześle, jakby miał zamiar powstać. Rzucił się na niego, wbił nóż w tętnicę za uchem i przycisnąwszy jego głowę do stołu, uderzał w nią raz za razem.

Rozlegały się stłumione jęki i straszliwe rżenie duszącego się od krwi. Trzy razy konwulsyjnie podnosiły się ręce, wymachując dziwacznie zeszywniałymi palcami. Jeszcze dwa razy uderzył weń, ale już się nie ruszał. Coś zaczęło ściekać na podłogę. Czekał jeszcze chwilę, wciąż przyciskając głowę. Potem położył nóż na stole i nadśluchiwał.

Nic nie słyszał, oprócz kropli krwi, ściekających na zniszczony dywan. Otworzył drzwi i wyszedł na korytarz. W całym domu panowała zupełna cisza. Nie czuwał nikt. Przez parę sekund stał przechylony przez balustradę, patrząc w czarną otchłań ciemności. Potem wyjął klucz, wszedł do pokoju i zamknął go od wewnątrz.

Ciało siedziało wciąż na krześle obok stołu z pochyloną nad nim głową, ze zgięty-

Zbrodnia

Trup

¹⁶²A choćby grzechy twe były jak szkarłat, obmyję je, że będą bielsze ponad śnieg — Iz 1, 18. [przypis edytorski]

mi plecami i z dziwnie długimi rękami. Gdyby nie czerwona, poszarpana rana na karku i ciemna kałuża krzepnącej krwi, powoli rozlewającej się po stole, można by po prostu powiedzieć, że ten człowiek zasnął.

Jak szybko stało się to wszystko! Czuł się dziwnie spokojny i podszedłszy do oszklonych drzwi, otworzył je i wyszedł na balkon. Wiatr rozpedził mgłę i niebo wyglądało, jak olbrzymie pawie pióro, ugwieżdżone miriadami złotych oczu. Spojrzał w dół i zobaczył policjanta, jak obchodził ulicę z latarnią, rzucającą podłużne promienie na bramy spokojnych domów. Na rogu błysnęło karmazynowe światło przejeżdżającej dorożki i znikło. Wzdłuż ogrodzenia wlokła się powoli, chwiejnym krokiem, kobieta w powiewającym szalu. Przystawała niekiedy, oglądając się. Zaczęła śpiewać ochryplym głosem. Podszedł do niej policjant i coś powiedział. Zaśmiała się i powlokła dalej. Ostry podmuch zawiął przez plac. Lampy gazowe zamigotały, stały się błękitne, a bezlistne drzewa zatrzęśły czarnymi konarami. Zadrżał i wrócił do pokoju, zamykając za sobą balkon.

Doszedłszy do drzwi, przekręcił klucz w zamku i otworzył je. Na zamordowanego człowieka nawet nie spojrział. Czuł, że chodzi teraz o to, aby nie zdawać sobie sprawy z położenia. Przyjaciel, który namalował fatalny portret, będący źródłem jego nędzy, przestał żyć. To wszystko.

Przypomniawszy sobie o lampie. Było to cacko mauretańskiej¹⁶³ roboty z kutego srebra, inkrustowanego arabeskami z hartowanej stali, ozdobionych dużymi turkusami. Służący mógłby zauważyć jej brak i pytałby o nią. Wahał się przez chwilę, po czym wrócił i zabrał ją ze stołu. Nie mógł powstrzymać się, aby nie spojrzeć na martwe ciało. Jakie było spokojne! Jak okropnie białe wyglądały długie ręce! Było podobne do strasznej postaci woskowej.

Zamknąwszy za sobą drzwi, cicho schodził po schodach. Trzaskały pod nim i zdawały się krzyczeć z bólu. Kilkakrotnie zatrzymywał się, nadsłuchując. Nic, wszędzie była cisza. To był tylko odgłos jego własnych kroków.

Gdy wszedł do biblioteki, zauważył w kącie walizkę i płaszcz. Trzeba było je gdzieś usunąć. Otworzył tajemne drzwiczki w boazerii, gdzie ukrywał swe własne tajne przebrania, i tam schował te rzeczy. Myślał, że łatwo je spali później. Potem spojrział na zegarek. Była za dwadzieścia druga.

Usiadł i zaczął rozmyślać. Co rok, co miesiąc niemal wieszano w Anglii ludzi za to, co on uczynił. W powietrzu unosił się jakiś szal morderstw. Jakaś czerwona gwiazda zbliżyła się do ziemi... Ale jakie poszlaki mogłyby być przeciw niemu? Bazyli Hallward wyszedł z domu o jedenastej. Nikt nie widział, że powrócił. Większość służby była w Selby Royal. Jego lokaj poszedł spać... Paryż! Tak. Bazyli pojechał do Paryża, pociągiem północnym, jak miał zamiar. Wobec jego dziwnego unikania ludzi, upłynę miesiąc, zanim powstaną jakieś podejrzenia. Miesiące! Do tego czasu wszystko da się uprzętać.

Błysnęła w nim nagle myśl. Włożył na siebie futro i kapelusz i wyszedł do sieni. Zatrzymał się tam, nadsłuchując powolnych, ciężkich kroków policjanta na bruku ulicy i śledząc w oknie odbłask jego latarki. Czekał z powstrzymanym w piersiach oddechem.

Po paru chwilach ujął za klamkę i wysunął się, bardzo cicho zamykając za sobą drzwi. Potem zadzwonił. Mniej więcej po pięciu minutach zjawił się służący, na pół ubrany i mocno zaspany.

— Przykro mi, że musiałem cię budzić, Franciszku — powiedział, wchodząc; — zapomniałem jednak klucza. Która godzina?

— Dziesięć po drugiej, jaśnie panie — odparł służący, spoglądając zmrużonymi oczami na zegar.

— Dziesięć po drugiej? Jak strasznie późno! Musisz mnie jutro obudzić o dziewiątej. Mam coś do załatwienia.

— Słucham, jaśnie panie.

— Czy nie było nikogo wieczorem?

— Pan Hallward, jaśnie panie. Czekał tu do jedenastej, a potem poszedł na pociąg.

— Och! Bardzo mi przykro, że się z nim nie widziałem. Czy nie zostawił jakiegoś zlecenia?

¹⁶³mauretański — związany z Maurami; przym. stosowany zwykle w odniesieniu do stylu mebli i architektury charakterystycznego dla budowli islamskich w Hiszpanii. [przypis edytorski]

— Nie, jaśnie panie, mówił tylko, że jeśli nie znajdzie jaśnie pana w klubie, to napisze z Paryża.

— Dobrze, Franciszku. Nie zapomnij obudzić mnie jutro o dziewiątej.

— Słucham, jaśnie panie.

Służący poczłapał w swych pantoflach przez korytarz.

Dorian Gray rzucił płaszcz i kapelusz na stół i przeszedł do biblioteki. Przez kwadrans chodził po pokoju tam i z powrotem, przygryzając wargi i myśląc. Z jednej z półek zdjął *Błękitną Księgę* i zaczął przerzucać kartki. „Alan Campbell, 152, Hertford Street, Mayfair”. Tak, tego właśnie człowieka potrzebował.

ROZDZIAŁ XIV

Nazajutrz o dziewiątej rano wszedł służący z filiżanką czekolady na tacy i otworzył okiennice. Dorian spał zupełnie spokojnie, leżąc na prawym boku z ręką pod głową. Wyglądał jak chłopiec zmęczony zabawą lub nauką.

Służący musiał dwukrotnie dotykać jego ramienia, zanim go obudził, a gdy otworzył oczy, przez usta jego przebiegł łagodny uśmiech, jakby się przebudził z rozkosznego snu. Nie miał jednak żadnych snów. Miał noc niezamąconą żadnymi obrazami rozkoszy czy cierpienia. Młodość uśmiecha się jednak bez powodu. Jest to jeden z jej głównych powabów.

Odwrócił się i wsparty na łokciu, pił czekoladę. Łagodne słońce listopadowe wpływało do pokoju. Niebo było jasne, a powietrze przesycone miłym ciepłem. Było zupełnie jak w poranek majowy.

Powoli zdarzenia ubiegłej nocy przedostawały się do jego mózgu cichymi krokami o krwawym śladzie, odtwarzając się ze straszną dokładnością. Drgnął na wspomnienie wszystkich swych cierpień i na chwilę poczuł znów ów dziwny wstręt do Bazylego Hallwarda, który kazał mu zabić siedzącego na krześle, potem ów wstręt ogarnął go znowu i wzrastał z chłodną namiętnością. Trup wciąż tam siedział i teraz w świetle słońca. Jakże to było straszne! Rzeczy tak ohydne przeznaczone są dla mroku, nie dla dnia.

Czuł, że jeśli dalej będzie się nad tym zastanawiał, to rozchoruje się albo dostanie obłądę. Istnieją grzechy, których urok tkwi bardziej we wspomnieniu niż w spełnianiu ich, dziwne triumfy, zadowalające raczej dumę niż namiętności, dające umysłowi wzmożone uczucie radości, znacznie większej od tej, jaką dają lub dać mogą zmysły. Ale tu było inaczej. Była to rzecz, którą należało wygnąć z myśli, uspić makiem, zdławić, aby samemu nie być zdławionym.

Gdy wybiło pół godziny, przeciągnął ręką po czole, podniósł się szybko i ubrał się sam z większą starannością niż zazwyczaj, poświęcając wiele uwagi doborowi krawata i szpilki i kilkakrotnie zmieniając pierścienie. Długo siedział przy śniadaniu, próbując rozmaitych dań, rozmawiając ze służącym o nowej liberii, jaką miał zamiar sprawić dla służby w Selby, i przeglądając korespondencję. Przy niektórych listach uśmiechał się. Trzy z nich zagniewały go. Jeden czytał kilka razy, wreszcie podarł go ze wzgardliwym wyrazem zniecierpliwienia. „Straszna to rzecz pamięć kobieca!” — jak to powiedział kiedyś lord Henryk.

Po wypiciu czarnej kawy, powoli obtarł usta serwetką, skinął na służącego, aby zczekał, przeszedł do biurka i napisał dwa listy. Jeden schował do kieszeni, drugi oddał służącemu.

— Odnieś go zaraz, Franciszku, na Hertford Street 152, a gdyby pana Campbella nie było w domu, zapytaj o adres.

Gdy pozostał sam, zapalił papierosa i na kawałku papieru zaczął szkicować kwiaty, motywy architektoniczne, wreszcie twarze ludzkie. Nagle zauważył, że każda z twarzy, które rysował, zdawała się być zadziwiająco podobna do Bazylego Hallwarda. Zmarszczył brwi, wstał, podszedł do półki z książkami i wyjął jedną na oślep. Postanowił nie myśleć o tym, co się stało, dopóki nie zajdzie konieczna potrzeba.

Zbrodniarz

Gdy wyciągnął się na sofie, popatrzył na tytuł książki. Były to *Émaux et Camées* Gautiera¹⁶⁴, w wydaniu Charpentiera, na japońskim papierze, z rysunkami Jacquemarta. Oprawa była z cytrynowozielonej skóry z wyciśniętym rysunkiem złotej kraty i nakrapianych owoców granatu. Dostał ją od Adriana Singletona. Gdy przerzucał kartki, wzrok jego zatrzymał się na wierszu o ręce Lacenaire'a¹⁶⁵, owej zimnej, żółtej ręce, „*du supplice encore mai lavée*”¹⁶⁶, z jej meszkiem rudych włosów i z jej „*doigts de faune*”¹⁶⁷. Spojrzał na swe własne białe, smukłe palce, nieznacznie wzdrygnął się gniewnie i dalej przerzucał kartki, aż zatrzymał się przy tych pięknych słowach o Wenecji:

*Sur une gamme chromatique,
Le sein de perles ruisselant,
La Vénus de l'Adriatique
Sort de l'eau son corps rose et blanc.*

*Les dômes, sur l'azur des ondes
Suivant le phrase au pur contour,
S'enflent comme des gorges rondes
Que soulève un soupir d'amour.*

*L'esquif aborde et me dépose,
Jetant son amarre au pilier,
Devant une façade rose,
Sur le marbre d'un escalier.*¹⁶⁸

Jakież precudne! Czytając, ma się wrażenie, jakby się płynęło po zielonych wodach miasta goździków i pereł, siedząc w czarnej gondoli o srebrnym dziobie i rozwianych firankach. Same wiersze wydawały mu się niczym owe proste wstęgi turkusowego błękitu, biegnące za nami, gdy płyniemy na Lido¹⁶⁹. Nagle błyski barw przypomniały mu lśniące opalem i tęczą upierzenie ptaków, latających dokoła wysokiej, podziurawionej Campanili¹⁷⁰ albo kroczących z tak poważnym wdziękiem wzdłuż ciemnych, zakurzonych arkad. Oparłszy się wygodnie, z na pół przymkniętymi oczami, powtarzał wciąż sobie:

*Devant une façade rose,
Sur le marbre d'un escalier.*

W tych dwóch wierszach mieści się cała Wenecja. Przypomnił sobie spędzoną tam jesień i ową dziwną miłość, która popchnęła go do szalonych, rozkosznych wybryków. Wszędzie są romanse. Tylko że Wenecja, podobnie jak Oxford, zachowała romantyczne tło, a dla prawdziwego romantyka tło jest wszystkim lub niemal wszystkim. Bazyli bawił tam z nim przez pewien czas i szalał za Tintorettem¹⁷¹. Biedny Bazyli! Jakie to okropne umrzeć w ten sposób!

¹⁶⁴ „*Émaux et Camées*” Gautiera, w wydaniu Charpentiera... — zbiór wierszy francuskiego pisarza i poety Teofila Gautiera (1811–1872), uważany za jego szczytowe osiągnięcie poetyckie; opublikowany po raz pierwszy w 1852, poszerzany w kolejnych wydaniach aż do ostatecznego wydania Charpentiera w 1872. [przypis edytorski]

¹⁶⁵ Lacenaire, Pierre François (1803–1836) — francuski morderca, niedoszły poeta; stracony za podwójne morderstwo, podczas procesu żarliwie bronił swoich zbrodni jako uprawnionego protestu przeciw niesprawiedliwości społecznej. [przypis edytorski]

¹⁶⁶ *du supplice encore mai lavée* (fr.) — z tortur jeszcze nicobmyta. [przypis edytorski]

¹⁶⁷ *doigts de faune* (fr.) — palce fauna. [przypis edytorski]

¹⁶⁸ *Sur une gamme chromatique...* (fr.) — fragment wiersza *Sur les lagunes* Gautiera. [przypis edytorski]

¹⁶⁹ *Lido* — długa piaszczysta wyspa oddzielająca Wenecję od morza. [przypis edytorski]

¹⁷⁰ *campanila* — dzwonnica kościelna charakterystyczna dla architektury włoskiej, wyodrębniona z bryły kościoła i zbudowana obok niej; tu: dzwonnica św. Marka (wł. *Campanile di San Marco*) przy bazylice św. Marka w Wenecji, najwyższa budowla miasta, licząca niemal 100 m. [przypis edytorski]

¹⁷¹ *Tintoretto, Jacopo*, właśc. *Jacopo Robusti* (1518–1594) — włoski malarz okresu manieryzmu, przedstawiciel szkoły weneckiej, autor licznych obrazów religijnych. [przypis edytorski]

Westchnął i wziął znowu książkę do ręki, starając się zapomnieć. Czytał o jaskółkach¹⁷², wpadających i wyfruwających z kawiarenki smyrneńskiej¹⁷³, gdy *badździ*¹⁷⁴, siedząc, liczą swe bursztynowe paciorki, a kupcy w turbanach, paląc fajki na długich cybuchach, prowadzą poważne rozmowy; czytał o obelisku z Place de la Concorde¹⁷⁵, wylewającego na samotnym, bezsłonecznym wygnaniu łzy granitowe z tęsknoty za pokrytym lotosami Nilem, za sfinksami, za czerwonymi jak róże ibisami¹⁷⁶, za białymi sępami o złocistych szponach i za krokodylami o małych berylowych oczach, pełzających po zielonym, parującym mule; dumał nad owymi wierszami, wydobywającymi muzykę ze skalanego pocałunkami marmuru, opiewającymi ów dziwny posąg¹⁷⁷, porównywany przez Gautiera z głosem kontraltowym, „*monstre charmant*”¹⁷⁸, spoczywający w komnacie porfirowej Luwru. Po pewnym czasie jednak książka wypadła mu z rąk. Opanowało go zdenerwowanie i przebiegł przezeń straszny wstrząs trwogi. Co będzie, jeżeli Alan Campbell wyjechał z Anglii? Przeminają całe dni, zanim powróci. A może odmówi przyjscia. Co wówczas robić? Każda chwila miała poważne znaczenie.

Byli kiedyś wielkimi przyjaciółmi, przed pięciu laty, zaiste niemal nierozłącznymi. Nagle zażyłość ta ustała. Gdy spotykali się teraz w towarzystwie, tylko Dorian Gray się uśmiechał, Alan Campbell — już nigdy.

Był to niezwykle mądry młody człowiek, mimo że miał mało rzeczywistego zrozumienia dla sztuk plastycznych, a pewne słabe odczucie piękna poezji, jakie posiadał, zawdzięczał wyłącznie Dorianowi. Przeważającym zamiłowaniem jego umysłu była nauka. W Cambridge poważną część czasu spędzał na pracy laboratoryjnej, a egzamin z nauk przyrodniczych zdał z dobrym rezultatem. Obecnie stale poświęcał się badaniom chemicznym, do czego urządził sobie własne laboratorium, w którym zamykał się po całych dniach, ku wielkiemu utrapieniu matki, marzącej dla niego o krześle w parlamencie i mającej mętne wyobrażenie, że chemik jest pracownikiem sporządzającym recepty. Poza tym był jednak doskonałym muzykiem i grał na skrzypcach i fortepianie lepiej od wielu amatorów. Muzyka była też pierwszym powodem jego zbliżenia z Dorianem Grayem, muzyka i ów nieuchwytny wpływ, jaki zdawał się wywierać Dorian, gdy tego pragnął, i naprawdę wywierał często bezwiednie. Poznali się u lady Berkshire na wieczorze, na którym grał Rubinstein¹⁷⁹, odąd widywano ich zawsze razem w operze i wszędzie, gdzie była dobra muzyka. Zażyłość ta trwała przez półtora roku. Campbell przebywał stale w Selby Royal albo na Grosvenor Square. Dla niego, jak dla wielu innych, Dorian Gray był cudownym i zachwycającym wzorem życiowym. Nie wiedziano, czy zaszła między nimi jakaś sprzeczka. Zauważono jednak nagle, że spotykając się, mówią do siebie skąpo i że Campbell jakby wcześniej starał się opuszczać towarzystwo, w którym był obecny Dorian Gray. Zmienił się też bardzo — bywał chwilami dziwnie przygnębiony, wydawało się, że nie lubił słuchać muzyki i sam nie chciał nigdy grać, tłumacząc się, gdy go o to pytano, iż nauka zajmuje mu tyle czasu, że nie ma kiedy ćwiczyć się w muzyce. Istotnie było to prawdą. Z każdym dniem zdawał się być coraz bardziej zajęty biologią i jego nazwisko

¹⁷²Czytał o jaskółkach (...) z kawiarenki smyrneńskiej, gdy badździ, siedząc, liczą swe bursztynowe paciorki... — w wierszu *Ce que disent les hirondelles* (Co mówią jaskółki) ze zbioru *Émaux et Camées* Gautiera. [przypis edytorski]

¹⁷³Smyrna — duże miasto portowe u wsch. wybrzeży Morza Egejskiego; dziś: Izmir w zach. Turcji nad Zatoką Izmirską. [przypis edytorski]

¹⁷⁴badździ (ar.) — muzułmański pielgrzym; odbycie co najmniej raz w życiu pielgrzymki do świątyni Al-Kaba w Mekce jest jednym z podstawowych obowiązków religijnych każdego muzułmanina, jeśli jest do niej zdolny zdrowotnie i finansowo. [przypis edytorski]

¹⁷⁵obelisk z Place de la Concorde — egipski obelisk stojący na Place de la Concorde (placu Zgody) w centrum Paryża, pochodzący ze świątyni Amona w Luksorze; wylewającego na samotnym, bezsłonecznym wygnaniu łzy granitowe: w pierwszej części dwuczęściowego wiersza *Nostalgies d'Obélisques* (Nostalgie obelisków), ze zbioru *Émaux et Camées* Gautiera. [przypis edytorski]

¹⁷⁶ibis — ptak brodzący o długim, wygiętym dziobie, czczony w starożytnym Egipcie. [przypis edytorski]

¹⁷⁷dziwny posąg, porównywany przez Gautiera z głosem kontraltowym (...) w komnacie (...) Luwru — rzymska replika hellenistycznej rzeźby z II w. p.n.e. *Spiący Hermafrodyta*, przedstawiająca leżącą postać, której jedna strona ciała ma cechy męskie, druga zaś kobiece (Hermafrodyta to mityczny syn Hermesa i Afrodyty, którego bogowie na prośbę zakochanej w nim nimfy Salmakis połączyli z nią w jedną istotę), od 1812 znajdująca się w zbiorach muzeum w Luwrze. Gautier pisze o tej rzeźbie w wierszu *Contralto*. [przypis edytorski]

¹⁷⁸monstre charmant (fr.) — uroczy potwór. [przypis edytorski]

¹⁷⁹Rubinstein, Anton Grigorjewicz (1829–1894) — rosyjski pianista, kompozytor i dyrygent, jeden z największych wirtuozów fortepianowych XIX w., płodny kompozytor. [przypis edytorski]

wymieniono raz czy dwa razy w którymś z kwartalników naukowych w związku z jakimiś ciekawymi badaniami.

Na tego człowieka oczekiwał Dorian Gray. Co sekundę spoglądał na zegar. Z każdą minutą wzmagal się strasznie jego niepokój. Wreszcie podniósł się i zaczął biegać po pokoju, wyglądając jak piękne zwierzę w klatce. Stawiał kroki długie i nierówne. Jego ręce były dziwnie zimne.

Czekanie stawało się nie do zniesienia. Czas zdawał mu się wlec ołowianymi stopami, a on sam jakby huraganem zapędzony na kraj czarnej przepaści czy otchłani. Wiedział, co się tam na niego czai; widział to dokładnie i drżąc, przyciskał wilgotne palce do płonących powiek, jak gdyby chciał mózg swój pozbawić wzroku, a źrenice wtłoczyć wgłąb oczodołów. Na próżno. Umysł nasycił się swym własnym żerem, a wyobraźnia, stając się dziwną z trwogi, skręcała się i wila jak zwierzę smagane bólem, skakała jak opętany pajac, i wykrzywiła się w coraz zmieniającą się masce. Wtem nagle czas dla niego stanął. Tak, owa ślepa, ciężko dysząca poczwara przestała się poruszać, a z zamarciem czasu wypełzły zwinnie straszne myśli i ukazały mu wywleczoną z czeluści straszną przyszłość. Wpatrywał się w nią. Skamieniał z przerażenia.

Wreszcie otworzyły się drzwi i wszedł służący. Spojrzał nań szklanym wzrokiem.

— Pan Campbell, jasnie panie — powiedział służący.

Westchnienie ulgi wydobyło się ze spieczonych ust i na policzki wróciły rumieńce.

— Proś zaraz, Franciszku. — Czuł, że odzyskuje równowagę. Cała bojaźń minęła.

Służący, skłoniwszy się, wyszedł. Za parę chwil wszedł Alan Campbell z twarzą bardzo poważną i bladą, co uwydatniały jeszcze włosy czarne jak węgiel i ciemne brwi.

— Alanie, bardzo to ładnie z twojej strony. Dziękuję ci, żeś przyszedł.

— Postanowiłem nigdy już nie wchodzić do twego domu, Grayu. Napisałeś jednak, że chodzi o śmierć lub życie.

Głos jego był twardy i zimny. Mówił z powolnym namysłem. W bystrym, badawczym spojrzeniu, którym mierzył Dorian, widniała wzdarda. Trzymał ręce w kieszeniach karakułowego palta i zdawał się nie spostrzegać ruchu, jakim był witany.

— Tak, to sprawa życia lub śmierci, Alanie, i więcej niż dla jednej osoby. Siadaj.

Campbell siadł na krześle za stołem, Dorian zajął miejsce naprzeciw. Spojrzenia ich spotkały się. W oczach Dorian był niezmierny żal. Wiedział, że to, co chciał uczynić, było straszne.

Po chwili dręczącego milczenia nachylił się i powiedział z wielkim spokojem, ale śledząc wrażenie każdego słowa na twarzy tego, do którego się zwracał:

— Alanie, w zamkniętym pokoju na piętrze tego domu, w pokoju, do którego oprócz mnie nikt nie ma dostępu, siedzi za stołem trup mężczyzny. Skonał dopiero przed dziesięcioma godzinami. Nie zrywaj się i nie patrz na mnie w ten sposób. Nie obchodzi cię, kto to jest, dlaczego umarł i jak umarł. Jedyne, co masz uczynić, to...

— Przestań, Grayu. Nie chcę wiedzieć nic więcej. Czy mówisz prawdę, czy nieprawdę, nie obchodzi mnie to wcale. Całkowicie odmawiam współudziału w twych sprawach. Zachowaj swe okropne tajemnice dla samego siebie. Nie obchodzą mnie już wcale.

— Alanie, muszą cię obchodzić. Ta jedna sprawa musi cię obchodzić. Bardzo mi cię żal, Alanie. Sam nie dam sobie jednak rady. Jesteś jedynym człowiekiem, który zdoła mnie ocalić. Jestem zmuszony wciągnąć cię w tę sprawę. Nie mam wyboru. Alanie, jesteś uczonym. Znasz się na chemii i podobnych rzeczach. Robiłeś doświadczenia. Masz teraz unieścić to ciało na górze, unieścić je tak, aby nie pozostał po nim żaden ślad. Nikt nie wie, że ta osoba weszła do domu. W obecnej chwili wszyscy sądzą, że jest w Paryżu. W ciągu miesięcy nikt jej nie będzie poszukiwał. Gdy zaczną jej poszukiwać, nie będzie tu po niej ani śladu. Ty, Alanie, musisz ją i wszystko, co do niej należało, zamienić w garść popiołu, którą rozproszę w powietrzu.

— Oszalałeś, Dorianie.

— Och, czekałem, byś nazwał mnie Dorianem.

— Mówię ci, że oszalałeś, oszalałeś, sądząc, że ruszę bodaj palcem, aby ci pomóc, oszalałeś, czyniąc mi to potworne wyznanie. Nic nie chcę mieć z tym do czynienia, cokolwiek to jest. Czy przypuszczasz, że dla ciebie narażę swą dobrą sławę? Co mnie obchodzi, co za szatańskie dzieło masz na górze?

— To samobójstwo, Alanie.

— Dobrze. Ale kto go do tego popchnął? Wyobrażam sobie, że ty.

— Więc wciąż odmawiasz mi pomocy?

— Oczywiście, że odmawiam. Nic nie chcę mieć z tym wspólnego. Nie mogę trochę się o twoją hańbę. Zasłużyłeś na nią. Nie żałowałbym cię, gdybyś został zhańbiony, publicznie zhańbiony. Jak śmiałeś spomiędzy tylu ludzi na świecie żądać ode mnie właśnie, abym przykładał rękę do tej ohydy? Myślałem, że lepiej znasz się na ludziach. Twój przyjaciel lord Henryk Wotton, który cię nauczył tylu rzeczy, niewiele nauczył cię psychologii. Nic nie skłoni mnie choćby do jednego kroku, aby ci pomóc. Pomyliłeś się w wyborze człowieka. Udaj się do któregoś z twych przyjaciół. Nie zwracaj się do mnie.

— Alanie, to było morderstwo. Zabiłem go. Nie wiesz, ile przez niego wycierpiałem. Jakikolwiek było moje życie, na to, że było takie, a nie inne, on wpłynął więcej niż biedny Henryk. Może nie chciał tego, ale taki był wynik.

— Morderstwo! Boże litościwy, Dorianie, a więc do tego już doszedłeś? Nie będę cię przed nikim oskarżał. To nie moja rzecz. I bez tego zresztą możesz być pewny, że zostaniesz uwięziony. Nikt nie popełnia zbrodni, nie robiąc przy tym jakiegoś głupstwa. Jednak ja nie chcę mieć z tym nic do czynienia.

— Musisz mieć z tym do czynienia. Zaczekaj, zaczekaj chwilę; wysłuchaj mnie. Tylko wysłuchaj, Alanie. Wszystko, czego od ciebie żądam, to abyś wykonał pewne doświadczenie naukowe. Chodzisz do szpitali i kostnic i okropności, jakie tam robisz, nie wzruszają cię. Gdybyś znalazł tego człowieka w jakimś ohydnyim pokoju prosektoryjnym albo w śmierdzącym laboratorium na ołowianym stole, z którego rynienkami ścieka czerwona krew, patrzyłbyś na niego jak na doskonały przedmiot doświadczalny. Nie drgnąłby ci ani jeden włos na głowie. Nie przyszłoby ci nawet na myśl, że popełniasz coś niesłusznego. Na odwrót, mniemałbyś prawdopodobnie, że czynisz to dla ludzkości, że powiększasz zasób naszej wiedzy, że zaspokajasz ciekawość umysłów albo coś podobnego. Nie żądam od ciebie niczego więcej nad to, co niejednokrotnie już robiłeś. Zniszczenie zwłok musi być nawet mniej straszne od doświadczeń, które przywykłeś wykonywać. Wiedz o tym, iż te zwłoki to jedyny dowód przeciwko mnie. Jeśli zostaną odkryte, jestem zgubiony; a na pewno zostaną odkryte, jeśli ty mi nie pomożesz.

— Wcale nie pragnę ci pomagać. Zapominasz o tym. To wszystko jest dla mnie po prostu obojętne. Nic z tym nie mam wspólnego.

— Błagam cię, Alanie. Pomyśl o moim położeniu. Zanim przyszedłeś, omdlewałem z trwogi. Może sam pewnego dnia zaznasz trwogi. Nie! Nie myśl o tym. Spójrz na to wyłącznie ze stanowiska naukowego. Wszak nie pytasz, skąd pochodzą trupy, które bierzesz do doświadczeń. Nie pytaj i teraz. Powiedziałem ci już za wiele. Proszę cię jednak, zrób to dla mnie. Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, Alanie.

— Nie wspominaj tamtych dni, Dorianie, one umarły.

— Umarli niekiedy opierają się. Ten człowiek na górze nie chce odejść. Siedzi przy stole z pochyloną głową i zwieszonymi rękami. Alanie! Alanie! Jeżeli mi nie pomożesz, jestem zgubiony. Powiesz mi, Alanie! Czy ty tego nie rozumiesz? Powiesz mi za to, co zrobiłem.

— Na nic się nie przyda przedłużanie tej sceny. Stanowczo odmawiam jakiegokolwiek współudziału w tej sprawie. To szaleństwo, czego ty żądasz ode mnie.

— Odmawiasz?

— Tak.

— Błagam cię, Alanie.

— Daremnie.

Ten sam wyraz żalu ukazał się w oczach Doriana Graya. Powoli wyciągnął rękę, wziął kawałek papieru i coś na nim napisał. Przeczytał to dwukrotnie, złożył starannie i przesunął na drugą stronę stołu. Uczyniwszy to, podniósł się i podszedł do okna.

Campbell patrzył na niego ze zdziwieniem, potem wziął papier i rozłożył go. Gdy czytał, twarz jego stała się upiornie blada, opadł na krzesło. Zdjęło go uczucie strasznej choroby. Zdawało mu się, że serce jego w jakiejś pustej jaskini zatłucze się samo na śmierć.

Po dwóch lub trzech minutach okropnego milczenia Dorian odwrócił się, podszedł i stanął przy nim, kładąc rękę na jego ramieniu.

— Bardzo mi cię żal, Alanie — wyszeptał — nie dajesz mi jednak wyboru. Napisałem już list. Oto jest. Popatrz na adres. Jeśli nie pomożesz mi, będę musiał go wysłać. Jeśli

Szantaż

nie pomożesz mi, wyślę go. Wiesz, jaki będzie wynik. Ale ty mi pomożesz. Niemożliwe, abys mi teraz odmówił. Chciałem cię oszczędzić. Będziesz na tyle sprawiedliwy, aby mi to przyznać. Byłeś szorstki, twardy, obrażający. Postępowałeś ze mną tak, jak jeszcze nigdy nikt ze mną nie postępował, przynajmniej nikt z żyjących. Zniosłem to wszystko. Teraz ja będę dyktował warunki.

Campbell ukrył twarz w dłoniach i wstrząsnął nim dreszcz.

— Tak, Alanie, teraz na mnie kolej dyktowania warunków. Znasz je. Sprawa jest zupełnie prosta. Chodź, nie wprawiaj się sam w zdenerwowanie. To musi być zrobione. Zmier się z tym i zrób.

Jęk wydarł się z ust Campbella, drżące całym ciałem. Zdawało mu się, że cykanie zegara na kominku dzieli czas na oddzielne atomy agonii, z których każdy był zbyt ciężki, aby go unieść. Miał wrażenie, że dokoła jego czoła zaciska się powoli żelazna obręcz, jakby hańba, którą mu grożono, już na niego spadła. Ręka, spoczywająca na jego ramieniu, ciążyła mu ołowiem. Było to nie do zniesienia. Zdawało się go miażdżyć.

— Chodź, Alanie, musisz w końcu się zgodzić.

— Nie mogę — odparł odruchowo, jak gdyby te słowa mogły zmienić jego położenie.

— Musisz. Nie masz wyboru. Nie zwlekaj.

Wahał się przez chwilę.

— Czy w pokoju na górze jest piec?

— Tak, jest piec azbestowo-gazowy.

— Muszę pójść do domu i wziąć parę rzeczy z laboratorium.

— Nie, Alanie, nie możesz opuścić tego domu. Napisz na kartce wszystko, co ci potrzeba, a mój służący weźmie dorożkę i przywiezie ci.

Campbell skreślił parę wierszy, wysuszył je bibułą i zaadresował kopertę do swego asystenta. Dorian wziął kartkę do rąk i przeczytał ją uważnie. Zadzwoił i dał ją służącemu z poleceniem możliwie najszybszego powrotu i przywiezienia rzeczy.

Gdy zamknęły się drzwi do sieni, Campbell powstał nerwowo i odchodząc od krzesła, zbliżył się do kominka. Trząsł się jak w febrze. Przez jakieś dwadzieścia minut żaden z nich się nie odezwał. Mucha, brzęcząc, latała po pokoju, a cykanie zegara robiło wrażenie uderzania młotem.

Gdy wybiła godzina, Campbell odwrócił się i patrząc na Dorianą Graya, zauważył, że jego oczy napełnione są łzami. W niewinności i wytworności tej smutnej twarzy było coś, co przyprawiało go o wściekłość.

— Jesteś nikczemny, skończenie nikczemny! — wyszeptał.

— Cicho, Alanie, ocaliłeś mi życie — rzekł Dorian.

— Twoje życie? Wielki Boże! Co to za życie! Szedłeś od występku do występku, aby skończyć na zbrodni. Robiąc to, do czego mnie zmuszasz, wcale nie myślę o twym życiu.

— Ach, Alanie — wyszeptał Dorian z westchnieniem — chciałbym, abys miał tysiączną część współczucia, jakie ja mam dla ciebie.

Mówiąc to, odwrócił się i patrzył w ogród. Campbell nie odpowiadał.

Mniej więcej po dziesięciu minutach zapukano do drzwi i wszedł służący, wnosząc dużą mahoniową skrzynię z chemikaliami, długi zwój drutu stalowego i platynowego i dwoje dziwnego kształtu szczypiec.

— Czy mam to pozostawić tutaj, jaśnie panie? — zapytał Campbella.

— Tak — rzekł Dorian. — Przykro mi, Franciszku, ale mam dla ciebie jeszcze jedno zlecenie. Jak się nazywa ten człowiek z Richmond, który dostarcza orchidee do Selby?

— Harden, jaśnie panie.

— Tak, Harden. Otóż musisz zaraz jechać do Richmond, zobaczyć się osobiście z Hardenem i powiesz mu, ażeby przysłał dwa razy więcej orchidei, niż zamówiłem, i możliwie najmniej białych. Najlepiej, aby wcale nie było białych. Jest ładny dzień, Franciszku, a Richmond to bardzo piękna miejscowość, inaczej bym cię tym nie trudził.

— Nic nie szkodzi, jaśnie panie. Kiedy mam być z powrotem?

Dorian spojrział na Campbella.

— Jak długo będzie trwało twoje doświadczenie, Alanie? — zapytał spokojnym, obojętnym głosem. Zdawało się, że obecność trzeciej osoby w pokoju nadzwyczajnie dodaje mu odwagi.

Campbell zmarszczył brwi i przygryzł wargi.

— Potrwa około pięciu godzin — odparł.

— Wystarczy więc, Franciszku, jeżeli wrócisz o wpół do ósmej. Albo zaczekaj, przygotuj mi ubranie. Możesz spędzić wieczór poza domem. Na obiedzie nie będę w domu, więc nie będziesz mi potrzebny.

— Dziękuję jasnie panu — rzekł służący, wychodząc z pokoju.

— Teraz, Alanie, nie mamy chwili do stracenia. Jakżeż ciężka ta skrzynia! Zaniósę ci ją. Ty weź inne rzeczy.

Mówił szybko i w sposób rozkazujący. Campbell czuł się pod jego władzą. Razem wyszli z pokoju.

Gdy stanęli na najwyższym schodzie, Dorian wyjął klucz i obrócił go w zamku. Wtem zatrzymał się z wyrazem przestachu w oczach. Zadrżał.

— Nie wiem, czy będę mógł wejść, Alanie — wyszeptał.

— Jesteś mi zbyt czuły. Możesz mnie zostawić samego — chłodno rzekł Campbell.

Dorian na wpół otworzył drzwi. W pełnym świetle słonecznym zobaczył szyderczą twarz portretu. Obok niego leżała na podłodze podarta zasłona. Przypomniał sobie, że ubiegłej nocy po raz pierwszy w życiu zapomniał zasłonić fatalne płótno, i chciał już rzucić się naprzód, ale cofnął się z drżeniem.

Cóż za wstrętna czerwona rosa, wilgotna i błyszcząca, widniała na jednej z rąk, jakby płótno było pokryte krwią? Jakie to straszne! Wydało mu się to w tej chwili straszniejsze niż milcząca bryła, o której wiedział, że jest oparta o stół, której dziwaczny niezdamny cień na poplamionym dywanie wskazywał mu, iż nie ruszyła się i pozostaje na tym miejscu, gdzie ją zostawił.

Głęboko zaczerpnął powietrza, otworzył drzwi nieco szerzej i wszedł do pokoju cicho z przymkniętymi oczami i odwróconą głową, postanawiając nie spojrzeć ani razu na trupa. Schylił się, podniósł złoto-purpurową zasłonę i zarzucił ją na obraz.

Potem przystanął, obawiając się odwrócić i mając oczy nieruchomo utkwione w zawitym desenie, który miał przed sobą. Słyszał, jak Campbell wnosił ciężką skrzynię, żelazo i inne rzeczy, których potrzebował do swej strasznej pracy. Zaczynał zastanawiać się nad tym, czy spotkał on kiedyś Bazylego Hallwarda, a jeśli tak, co wzajem o sobie myśleli.

— Zostaw mnie teraz — odezwał się za nim ostry głos.

Odwrócił się i wybiegł, ledwo dostrzegając przechylonego na krześle trupa i Campbella, wpatrującego się w żółtą, świecąca twarz. Gdy schodził po schodach, słyszał, jak w zamku obracano klucz.

Było już dobrze po siódmej, gdy Campbell powrócił do biblioteki. Był blady, ale zupełnie spokojny.

— Zrobiłem, czego żądałeś — zamruczał. — A teraz, do widzenia. Obyśmy się już nigdy nie spotkali.

— Ocaliłeś mnie od zguby, Alanie. Nie zapomnę ci tego — po prostu rzekł Dorian.

Zaraz po odejściu Campbella poszedł na górę. W powietrzu czuć było straszną woń kwasu azotowego. Znikło jednak ciało, które siedziało przy stole.

ROZDZIAŁ XV

Tegoż wieczora o wpół do dziewiątej Dorian Gray, wytwornie ubrany, z dużym pękiem fiołków parmeńskich w butonierce, wchodził wśród głębokich ukłonów służby do salonu lady Narborough. Tętna w skroniach biły mu gorączkowo i czuł się szalenie podniecony, ale sposób, w jaki całował rękę pani domu, był równie swobodny i wdzięczny, jak zawsze. Być może, że człowiek nigdy nie czuje się tak swobodny, jak wtedy gdy ma do odegrania jakąś rolę. Na pewno nikt z obecnych na tym wieczorze nie podejrzewał, że Dorian Gray przeżył tragedię straszniejszą niż wszystkie tragedie naszych czasów. Te smukłe palce nigdy nie mogły trzymać morderczego noża ani te uśmiechnięte usta bluźnić Bogu i miłosierdziu. On sam nie mógł powstrzymać się od podziwiania spokoju swego zachowania i przez chwilę żywo odczuwał straszliwą rozkosz podwójnego życia.

Towarzystwo było nieliczne, zebrane może w zbyt wielkim pośpiechu przez lady Narborough, bardzo mądrą kobietę, o której zwykł wyrażać się lord Henryk, że jest szczątkiem naprawdę niezwyklej brzydoty. Była wzorową żoną jednego z najnudniejszych naszych ambasadorów, a gdy pochowała swego męża w marmurowym mauzoleum, wyko-

nany według jej własnego rysunku, i wydała swe córki za bogatych, nieco wiekowych mężów, poświęciła się sama rozkoszom francuskiej poezji, francuskiej kuchni i, o ile było to jej dostępne, francuskiemu dowcipowi.

Dorian był jednym z jej wyjątkowych ulubieńców i zawsze powtarzała mu, że jest niezmiernie zadowolona, że nie spotkała się z nim za swych młodszych lat. „Wiem, mój drogi — zwykła mówić — że byłabym się w panu szalenie zakochała i dla pana puściłabym moją cnotę na wolę wiatrów. Wielkie szczęście, że wówczas jeszcze nie mówiono o panu. Zresztą nasza cnota była dość niedostępna, a wiatry tak zajęte obracaniem wiatraków, że nigdy z nikim nie miałam żadnego flirtu. Poza tym zawinił tu głównie Narborough. Miał strasznie krótki wzrok, nie byłoby więc przyjemnością zdradzać męża, który nic nigdy nie widzi”.

Tęgo wieczora jej goście byli dość nudni. Przyczyną było to, jak objaśniała Dorianowi zza bardzo zniszczonego wachlarza, że niespodziewanie przyjechała do niej jedna z zamężnych córek, a co jeszcze gorsze, przywiozła z sobą męża.

— Uważam to, mój drogi, za najwyższy brak uprzejmości z jej strony — wyszeptowała. — Co prawda, odwiedzam ją każdego lata, gdy wracam z Homburga¹⁸⁰, ale kobieta w moim wieku potrzebuje czasami świeżego powietrza, a przy tym ja ich naprawdę rozruszam. Nie wyobraża pan sobie, jakie oni prowadzą tam życie. Czyste, niezmacone życie wiejskie. Wstają wcześniej, gdyż mają dużo do roboty, spać idą wcześniej, bo mają mało do myślenia. W okolicy nie było ani jednego skandalu od czasów królowej Elżbiety, skutkiem czego po obiedzie wszyscy zapadają w drzemkę. Niech pan nie siada koło nich. Proszę siedzieć koło mnie i bawić mnie.

Dorian rzucił miłe słówko podziękowania i rozglądał się po salonie. Tak, towarzystwo było rzeczywiście nudne. Oprócz dwojga osób, które widział po raz pierwszy, znajdował się tu Ernest Harrowden, jedna z tych przeciętności w przeciętnym wieku, tak pospolitych w klubach londyńskich, pozbawiona wrogów, ale niecierpiana przez przyjaciół; lady Roxton, przesadnie ubrana kobieta czterdziestosiedmioletnia, z haczykowatym nosem, pragnąca ciągle uchodzić za skompromitowaną, ale tak osobliwie płytka, że ku jej wielkiemu rozczarowaniu nikt nigdy nie chciał wierzyć w żadną o niej plotkę; pani Erlynnę, zupełnie zero, rozkosznie szepleniące, o rudych włosach weneckich; lady Alicja Chapman, córka pani domu, niezdarne głupie dziewczę, o jednej z tych charakterystycznych twarzy brytyjskich, których niepodobna zapamiętać; jej mąż, ogorzały jegomość z siwymi bokobrodami, mający, jak wielu ludzi z jego środowiska, przeświadczenie, że niezwykła jowialność¹⁸¹ może zastąpić zupełny brak myśli.

Zaczął już żałować, że przyszedł, gdy lady Narborough, spoglądając na wielki zegar z pozłacanego brązu, błyszczący krzykliwymi liniami na udrapowanym w malwową tkaninę gzymsie kominka, zawołała:

— Jak to nieładnie ze strony Henryka Wottona, że się spóźnia! Na los szczęścia posyłałam do niego dziś rano i przyrzekł stanowczo, że nie zrobi mi zawodu.

Było to pewną pociechą, że Henryk przyjdzie, i gdy usłyszał, że otworzono drzwi i że zaczął usprawiedliwiać się nieszczercze swym cichym, melodyjnym głosem, pełnym wdzięku, przestał się nudzić.

Podczas obiadu nie mógł jednak nic jeść. Danie po daniu zabierano nietknięte. Lady Narborough gniewała się, nazywając to „obelgą dla biednego Adolfa, który obmyślił menu wyłącznie dla pana”, a lord Henryk spoglądał nań co jakiś czas, dziwiąc się jego milczeniu i roztargnieniu. Służący raz po raz dolewał mu szampana. Pił gorączkowo, a pragnienie jego zdawało się wciąż wzmacniać.

— Dorianie — rzekł wreszcie lord Henryk, gdy podawano *chaud-froid*¹⁸² — co się z tobą dziś dzieje? Jesteś zupełnie nieswój.

— Podejrzewam, że się zakochał — zawołała lady Narborough — i nie chce się do tego przyznać z obawy, abym nie była zazdrosna. Ma zupełną słusność. Na pewno byłabym zazdrosna.

¹⁸⁰Homburg — kurort w Niemczech, znany ze swoich wód mineralnych, odkrytych w 1834, ob. Bad Homburg vor der Höhe. [przypis edytorski]

¹⁸¹jowialność — pogodne usposobienie, dobroduszość. [przypis edytorski]

¹⁸²chaud-froid (fr.) — sos z wywaru mięsnego z galaretką do pokrywania mięs na zimno; niekiedy także: danie mięsne z takim sosem. [przypis edytorski]

— Droga lady Narborough — rzekł Dorian z uśmiechem — od całego tygodnia nie byłem zakochany, tak jest, od wyjazdu pani de Ferrol.

— Mężczyźni, jakżeż możecie się kochać w tej kobiecie! — wykrzyknęła stara lady. — Doprawdy, nie mogę tego pojąć.

— To jedynie dlatego, że przypomina panią, lady Narborough, gdy była pani małym dziewczęciem — powiedział lord Henryk. — Ona jest jedynym ogniwem łączącym nas z pani krótkimi sukniami.

— Moich krótkich sukien, lordzie Henryku, ona nie pamięta. Bardzo dobrze jednak przypominam sobie ją z Wiednia przed trzydziestu laty, była wówczas bardzo wydekoltowana.

— Ona jest zawsze wydekoltowana — odparł, biorąc oliwkę swymi długimi palcami — a gdy ubierze się bardzo strojnie, wygląda jak *edition de luxe*¹⁸³ lichej powieści francuskiej. Ona jest naprawdę cudowna i pełna niespodzianek. Jej zdolność do uczuć rodzinnych jest wprost niezwykła. Po śmierci trzeciego męża jej włosy ze zmartwienia stały się zupełnie złote.

— Jak możesz, Henryku! — zawołał Dorian.

— Bardzo romantyczne wyjaśnienie — zaśmiała się pani domu. — Ale trzeci mąż, lordzie Henryku! Wszak nie chciał pan powiedzieć, że Ferrol jest czwartym?

— Owszem, lady Narborough.

— Nie wierzę panu w ani jedno słowo.

— Więc proszę zapytać pana Graya. Jest jednym z jej najbliższych przyjaciół.

— Czy to prawda, panie Gray?

— Tak mnie przynajmniej zapewniała, lady Narborough — powiedział Dorian. — Zapytałem ją kiedyś, czy jak Małgorzata z Nawarry¹⁸⁴ nosi przy pasku zabalsamowane serca swych mężów. Odpowiedziała, że nie, dlatego że żaden z nich nie miał serca.

— Czterech mężów! Dalibóg, że *trop de zèle*¹⁸⁵.

— *Trop d'audace*¹⁸⁶, powiedziałem jej — rzekł Dorian.

— Och, na odwadze nie zbywa jej nigdy, mój drogi. A jakież jest Ferrol? Nie znam go.

— Mężowie bardzo pięknych kobiet zawsze należą do klasy zbrodniarzy — rzekł lord Henryk, pijąc wino.

Lady Narborough uderzyła go wachlarzem.

— Lordzie Henryku, wcale się nie dziwię, że świat uważa cię za nadzwyczajnie złośliwego.

— Ale który świat tak twierdzi? — zapytał lord Henryk, podnosząc brwi. — To może być tylko inny świat. Ten świat i ja jesteśmy w doskonałej zgodzie.

— Wszyscy moi znajomi twierdzą, że jest pan bardzo złośliwy — zawołała stara lady, potrząsając głową.

Lord Henryk miał przez parę chwil poważny wyraz twarzy.

— To doprawdy potworne — powiedział w końcu — że ludzie za czymis plecami mówią o kimś coś bezwzględnie i zupełnie prawdziwego.

— Czyż on nie jest niepoprawny? — zawołał Dorian, pochylając się na krześle.

— Tak sędzę — powiedziała pani domu, śmiejąc się. — Skoro jednak rzeczywiście wszyscy tak ubóstwiają panią de Ferrol, muszę znowu wyjść za mąż, aby stać się modną.

— Pani się już nigdy nie ożeni, lady Narborough — wtrącił lord Henryk. — Zbyt pani była szczęśliwa. Kobieta wychodzi za mąż po raz drugi dlatego, że nienawidziła pierwszego męża. Gdy mężczyzna żeni się powtórnie, to dlatego, że ubóstwiał swą pierwszą żonę; kobiety próbują szczęścia, mężczyźni rzucają je na kartę.

— Narborough nie był doskonałością — zawołała stara lady.

— Gdyby był, nie kochałaby go pani, droga lady — brzmiała odpowiedź. — Kobiety kochają nas za nasze wady. Jeżeli mamy ich dosyć, wybaczą nam wszystko, nawet nasz

Serce

Prawda

Małżeństwo

Kobieta, Mężczyzna

¹⁸³*edition de luxe* (fr.) — wydanie luksusowe. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*Małgorzata z Nawarry* — tu: *Małgorzata de Valois* (1492–1549), królowa Francji i Nawarry; znana z licznych kochanków; bohaterka powieści Alexandre'a Dumasa pt. *Królowa Margot* (1847), w której zamieszczono przypis ze wzmianką o kolekcjonowaniu przez nią serc kochanków. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*trop de zèle* (fr.) — zbytek gorliwości. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*trop d'audace* (fr.) — zbytek odwagi. [przypis edytorski]

rozum. Obawiam się, lady Narborough, że po tych słowach nie zaprosi mnie już pani na obiad, ale jest to całkowita prawda.

— Zupełna prawda, lordzie Henryku. Gdybyśmy nie kochały was za wasze błędy, co by się z wami stało? Żaden z was nie mógłby się ożenić. Bylibyście gromadą nieszczęśliwych starych kawalerów. Zapewne, nie bardzo by to was zmieniło. Dziś wszyscy żonaci żyją jak kawalerowie, a kawalerowie jak żonaci.

— *Fin de siècle*¹⁸⁷ — mruknął lord Henryk.

— *Fin de globe*¹⁸⁸ — odparła pani domu.

— Chciałbym, aby to był *fin de globe* — rzekł Dorian z westchnieniem. — Życie jest wielkim rozczarowaniem.

— Ale, mój drogi — zawołała lady Narborough, naciągając rękawiczki — niech pan nie mówi, żeś pan już wyczerpał życie. Jeśli mężczyzna tak mówi, to można mniemać, że życie go wyczerpało. Lord Henryk jest bardzo złośliwy i ja chwilami pragnęłabym być złośliwa; ale pan jest stworzony, aby być dobrym, wygląda pan tak dobrze. Muszę panu wyszukać piękną żonę. Lordzie Henryku, czy nie myśli pan, że pan Gray powinien się ożenić?

— Wciąż mu to powtarzam, lady Narborough — odrzekł lord Henryk, skłaniając się.

— Doskonale. Musimy rozejrzeć się za stosowną dla niego żoną. Dziś wieczór uważnie przejrzę Debretta¹⁸⁹ i przygotuję spis wszystkich możliwych młodych dam.

— Czy z podaniem wieku, lady Narborough? — zapytał Dorian.

— Oczywiście, że z podaniem wieku, ogólnie uznanego. Niczego jednak nie należy robić w pośpiechu. Chciałabym, ażeby było to tym, co „The Morning Post” nazywa właściwym związkiem i żebyście byli oboje szczęśliwi.

— Jakichże to niedorzeczności nie opowiada się o szczęśliwych małżeństwach! — zawołał lord Henryk. — Mężczyzna może być szczęśliwy z każdą kobietą, dopóki jej nie kocha.

— Ach, jaki z pana cynik! — zawołał stara lady, odsuwając swe krzesło i kiwając na lady Ruxton. — Musi pan niebawem znowu przyjść do mnie na obiad. Doskonały z pana środek pokrzepiający, dużo lepszy od tego, jaki mi przepisał sir Andrew. Musi mi pan powiedzieć, jakie mam zaprosić towarzystwo. Postaram się o najlepszy dobór.

— Lubię mężczyzn z przyszłością i kobiety z przeszłością — odpowiedział. — Przyzna pani, że tworzą razem dobrane towarzystwo?

— Tak myślę — powiedziała, śmiejąc się, i powstała od stołu. — Stokrotnie przepraszam, droga lady Ruxton — dodała — nie zauważyłam, że pani nie skończyła papierosa.

— Nic nie szkodzi, lady Narborough. Pałę przeważnie za wiele. Na przyszłość chciałabym się ograniczyć.

— Niech pani tego nie robi — rzekł lord Henryk. — Każde ograniczenie jest zgubne. Umiarkowanie jest równie złe, jak posilek. Nadmiar jest tak dobry, jak uczta.

Lady Ruxton spojrzała nań z zaciekawieniem.

— Musi pan przyjść, lordzie Henryku, któregoś popołudnia wytłumaczyć mi to. To wygląda na zachwycającą teorię — mówiła, przechodząc do salonu.

— Tylko nie zabawiajcie się zbyt długo polityką i plotkami — zawołała od drzwi lady Narborough. — Bo się na pewno posprzeczamy.

Mężczyźni roześmiali się, a pan Chapman uroczyście wstał od końca stołu i przeniósł się na pierwsze miejsce. Dorian Gray zmienił krzesło, przysiadając się do lorda Henryka. Pan Chapman zaczął opowiadać ciężkim głosem o sytuacji w Izbie Gmin. Miał gromy na swych przeciwników. Wyraz „doktryner” — wyraz napęniający trwogą umysły brytyjskie — powtarzał się co pewien czas w jego wybuchach. Przedrostki służyły mu za upiększenie przemowy. Podnosił Union Jack¹⁹⁰ na szczyty myśli. Dziedziczną głupotę rasy — jak jowialnie określał angielski zdrowy rozsądek — ukazywał jako prawdziwą twierdzę społeczeństwa.

¹⁸⁷*fin de siècle* (fr.) — koniec wieku; koniec epoki. [przypis edytorski]

¹⁸⁸*fin de globe* (fr.) — koniec globu. [przypis edytorski]

¹⁸⁹*Debrett* — pot. nazwa książki *Debrett's Peerage and Baronetage*, przewodnika z krótkimi informacjami o wszystkich utytułowanych rodzinach w Wielkiej Brytanii; kolejne wydania tej książki są regularnie publikowane od 1802 aż do dziś. [przypis edytorski]

¹⁹⁰*Union Jack* — nazwa brytyjskiej flagi państwowej. [przypis edytorski]

Małżeństwo

Miłość, Szczęście,
Mężczyzna

Mężczyzna, Kobieta

Uśmiech wykrzywił usta lorda Henryka, który odwracając się, spojrzął na Doriana.

— Czy czujesz się lepiej, drogi przyjacielu? — zapytał. — Przy obiedzie wyglądałeś bardzo nieswojo.

— Czuję się zupełnie dobrze, Henryku. Jestem znużony. Nic więcej.

— Wczoraj wieczór byłeś zachwycający. Młoda księżna jest tobą wprost oczarowana. Mówiła mi, że wybiera się do Selby.

— Obiecała przyjechać dwudziestego.

— Czy Monmouth będzie także?

— Ach, tak, Henryku.

— Nudzi mnie strasznie, niemniej niż ją. Ona jest bardzo mądra, za mądra na kobietę. Brak jej tego nieokreślonego wdzięku słabości. Gliniane nogi podnoszą wartość złotego posągu¹⁹¹. Jej nogi są bardzo piękne, ale nie są to nogi z gliny. Powiedzmy, że z białej porcelany. Przeszły przez ogień, a czego ogień nie zniszczy, to zahartuje. Ona ma za sobą doświadczenie.

— Jak dawno jest zamężna? — zapytał Dorian.

— Mówiła mi, że wieczność. Na podstawie herbarza przypuszczam, że dziesięć lat, ale dziesięć lat z Monmouthem to wieczność pomnożona przez doczesność. Kto będzie jeszcze?

— Och, państwo Willoughby, lord Rugby z żoną, nasza dzisiejsza gospodyni, Geoffrey Clouston, zwykle kółko. Zaprosiłem też lorda Grotriana.

— Lubię go — rzekł lord Henryk. — Wielu go nie lubi, ale dla mnie jest czarujący. Pewną niekiedy przesadę w ubraniu okupuje bezwzględną wysokością wykształcenia. Człowiek na wskroś nowoczesny.

— Nie wiem tylko, czy będzie mógł przybyć, Henryku. Ojciec chce go zabrać do Monte Carlo.

— Ach, jakże nieznośni bywają ludzie! Postaraj się, aby przyjechał. Ale, Dorianie, uciekłeś wczoraj tak wcześnie. Wyszedłeś przed jedenastą. Coś robił później? Czy poszedłeś prosto do domu?

Dorian spojrzął nań przelotnie, marszcząc brwi.

— Nie, Henryku — rzekł w końcu — wróciłem do domu dopiero koło trzeciej.

— Czy byłeś w klubie?

— Tak — odparł. Potem zagryzł wargi. — Nie, nie to chciałem powiedzieć. Nie byłem w klubie. Wąleś się. Zapomniałem, gdzie... Jak ty się dopytujesz, Henryku! Zawsze chcesz wiedzieć, co kto robił. Ja zawsze staram się zapomnieć o tym, co robiłem. Wróciłem o wpół do trzeciej, jeśli chcesz znać dokładną godzinę. Zostawiłem w domu klucz i wpuszczał mnie służący. Jeżeli chcesz potwierdzającego dowodu w tej sprawie, możesz go zapytać.

Lord Henryk wzruszył ramionami.

— Mój drogi przyjacielu, jakżebyś śmiał! Przejdźmy do salonu. Nie, za sherry dziękuję panu, panie Chapman. Dorianie, miałeś jakąś nieprzyjemność. Powiedz mi, jaką. Nie poznaję cię dziś.

— Nie troszcz się o mnie, Henryku. Jestem rozdrażniony i nieswój. Przyjdę do ciebie jutro lub pojutrze. Wytlumacz mi wobec lady Narborough. Ja wyjdę. Pójdę do domu. Muszę iść do domu.

— Dobrze, Dorianie. A zatem oczekuję cię jutro w porze podwieczorku. Będzie księżna.

— Postaram się przyjść, Henryku — odpowiedział, wychodząc z pokoju.

Jadąc do domu, uświadamiał sobie, że uczucie trwogi, jakie myślał, że zadusił, owłada nim znowu. Przypadkowe pytania lorda Henryka wyprowadziły go na chwilę z równowagi i chciał uspokoić swe nerwy. Trzeba zniszczyć wszystkie niebezpieczne rzeczy. Drgnął. Sama myśl o nich była mu nienawistna.

A jednak należało to zrobić. Postanowił to i zamknąwszy na klucz drzwi biblioteki, otworzył tajną skrytkę, gdzie wrzucił płaszcz i walizkę Bazylego Hallwarda. Na kominu płonął ogień. Dorzucił doń parę polan. Smród płonącego sukna i palącej się skóry

¹⁹¹ *Gliniane nogi podnoszą wartość złotego posągu* — odniesienie do biblijnego obrazu posągu z głową ze złota, coraz niższymi częściami ciała z ostatnich metali, stojącego na glinianych stopach (Dn 2, 31–35). [przypis edytorski]

był okropny. Zanim się wszystko spaliło, upłynęły trzy kwadransy. Pod koniec uczuł się omdlewający i słaby. Zapalił w kadzielnicy kilka algierskich pastylek i obmył ręce i czoło zimnym octem piżmowym.

Nagle drgnął. Oczy jego dziwnie rozszerzyły się, a zęby wpiły się nerwowo w dolną wargę. Pomiędzy dwoma oknami stała duża, hebanowa szafa florencka, wykładana kością słoniową i niebieskim lapisem. Patrzył na nią wzrokiem wyrażającym zarazem zachwyt i przerażenie, jakby zawierała coś, za czym tęsknił i czego również nienawidził. Oddychał szybko. Ogarnęło go szalone pożądanie. Zapalił papierosa i odrzucił go. Przymknął oczy tak, że długie rzęsy niemal dotykały policzka. Wciąż jednak wpatrywał się w szafę. W końcu powstał z sofy, na której leżał, i podszedłszy do szafy, otworzył ją, dotykając jakiejś ukrytej sprężyny. Wysunęła się cicho trójkątna szuflada. Palce jego zbliżyły się do niej odruchowo, poczęły czegoś poszukiwać i coś uchwyciły. Była to mała chińska szkatułka z czarnej i ciemnozłotej laki, kunsztownie zrobiona. Boki przedstawiały wzburzone fale, a zwisające jedwabne sznury były zakończone krągłymi kryształami i frędzlami ze splecionych metalowych nici. Otworzył ją. Znajdowała się w niej zielona maść o woskowym połysku, o dziwnie ciężkim i oszalamiającym zapachu.

Przez kilka chwil wahał się, z dziwnie nieruchomym uśmiechem na twarzy. Dygotał, choć w pokoju było strasznie gorąco. Przeciągnął się i spojrzął na zegar. Była za dwadzieścia dwunasta. Schował szkatułkę na miejsce, zamknął szafę i przeszedł do sypialni.

Gdy spżowe dźwięki w ciemności były północ, Dorian Gray, w lichym ubraniu, w chustce owiniętej dokoła szyi, wymykał się po cichu ze swego domu. Na Bond Street znalazł dorożkę z dobrym koniem. Zawołał na dorożkarza i cichym głosem podał mu adres.

Woźnica wstrząsnął głową.

— To dla mnie za daleko — mruknął.

— Oto dla was suweren¹⁹² — rzekł Dorian. — Dostaniecie drugiego, jeśli pojedziecie prędko.

— Dobrze, jaśnie panie — odparł woźnica — będzie tam pan za godzinę — i kiedy pasażer wsiadł, zawrócił na miejscu i pojechał szybko w stronę rzeki.

ROZDZIAŁ XVI

Zaczął padać zimny deszcz, a w wilgotnej mgłę latarnie uliczne wyglądały upiornie. Zamykano właśnie szynki i posępne grona mężczyzn i kobiet stały jeszcze u wejść. Z jakichś szynków dochodziły odgłosy przeraźliwych śmiechów. Z innych pijackie wrzaski i klótnie.

Wsparty o tył dorożki, z czapką nasuniętą na czoło, Dorian Gray obojętnie patrzył na ponurą hańbę wielkiego miasta i co pewien czas powtarzał sobie słowa wypowiedziane przez lorda Henryka w pierwszym dniu ich znajomości: „Leczyć duszę za pomocą zmysłów i zmysły za pomocą duszy”. Tak, to była tajemnica. Często ją stosował i chciał zastosować ją znowu. Istnieją wszak palarnie opium, gdzie można kupić zapomnienie, potworne nory, gdzie pamięć starych grzechów można unicestwić szalem grzechów nowych.

Księżyc zawisł nisko na niebie niby żółta trupia czaszka. Od czasu do czasu ciężka, niezdarna chmura wysuwała swe długie ramię, aby go zasłonić. Lampy gazowe stawały się rzadsze, a ulice węższe i ciemniejsze. Raz woźnica zmylił drogę i wracał z pół mili. Para unosiła się z konia, kłusującego przez błotne kałuże. Szyby dorożki przesłaniała szara, gęsta mgła.

„Leczyć duszę za pomocą zmysłów i zmysły za pomocą duszy!” Jak te słowa brzmiały mu w uszach! Jego dusza była istotnie śmiertelnie chora. Czy to prawda, że zmysły ją ulecą? Przelano niewinną krew. Jakaż może być za to pokuta? Ach, to się nie da odpokutować. Ale jeśli odpuszczenie jest niemożliwe, to zawsze jest możliwe zapomnienie, postanowił więc zapomnieć, wygnać to z pamięci, zdeptać, jak depcze się żmiję, gdy ukąsi. Bo i jakież prawo miał Bazyli, aby mówić do niego w ten sposób? Kto go uczynił sędzią nad drugimi? Mówił rzeczy straszne, okropne, nie do zniesienia.

Księżyc, Noc

Zbrodniarz

¹⁹²suweren — angielska złota moneta o wartości 1 funta (20 szylingów). [przypis edytorski]

Dorożka toczyła się z turkotem i wydawało mu się, że z każdym krokiem coraz wolniej. Odemknął drzwiczki i zawołał na woźnicę, aby jechał prędzej. Potworny głód opium zaczął go palić. W gardle mu zaschło, a wykwintne ręce zaciskały się kurczowo. Jak szalony poganiał konia laską. Woźnica, śmiejąc się, popędzał go batem. I on się roześmiał, a wtedy woźnica zamilkł.

Droga wydawała się nieskończona, a sieć ulic robiła wrażenie czarnej przędzy jakiegoś pełzającego pająka. Jednostajność stawała się nie do zniesienia, a gęstniejąca mgła przyprawiała go o trwogę.

Potem przejeżdżali koło odludnych cegielni. Mgła była tu rzadsza, tak że widoczne były piece o dziwnym kształcie butelek z ich podobnymi do pomarańczowych wachlarzy językami ognia. Gdy tamtędy jechali, zaszczekał na nich pies, a gdzieś w oddali krzyczała jakaś zabłąkana mewa. Koń potknął się na jakimś wyboju, skoczył w bok i popędził galopem.

Po pewnym czasie wydostali się z gliniastej drogi i potoczyli się po źle brukowanych ulicach. W większości okien było ciemno, ale gdzieś tam na osłonach przyćmionych lamp rysowały się dziwaczne cienie. Patrzył na nie z ciekawością. Wyglądały jak potworne marionetki i wykonywały ruchy, jakby były żywe. Były mu wstrętne. Opanowywała go ponura wściekłość. Na rogu jakiejś ulicy jakaś kobieta zakrzyczała coś do nich z otwartych drzwi i dwóch ludzi biegło za dorożką jakieś sto jardów¹⁹³. Woźnica zdzielił ich batem.

Mówi się o namiętności, że ściąga nasze myśli do jednego koła. Toteż pokąsane do krwi wargi Doriana Graya dopóty powtarzały te przebiegłe słowa o duszy i zmysłach, dopóki nie znalazł w nich pełnego wyrazu dla swego usposobienia w tej chwili oraz zgodnego z rozumem usprawiedliwienia namiętności, które i bez tego byłyby zawładnęły jego umysłem. W mózgu jego ta jedyna myśl pełzała z komórki do komórki; dzika żądza życia, straszniejsza od wszelkich pragnień ludzkich, naprężała każdy drgający nerw i każde włókno jego ciała. Brzydota, której niegdyś nienawidził, ponieważ nadawała rzeczom rzeczywistość, z tego samego powodu stawała mu się teraz droga. Brzydota była jedyną rzeczywistością. Prostactwa klótnia, wstrętne nora, surowa gwałtowność nieokiełzanego życia, naga nikczemność złodzieja i włóczęgi w swej głębokiej bezpośredniości wrażenia stawały się żywsze niż wytworne kształty sztuki, cienie sennych marzeń. Tego mu było potrzeba, ażeby zapomnieć. Za trzy dni będzie wyzwolony.

Nagle woźnica zatrzymał się u wylotu ciemnego zaułka. Ponad niskimi dachami i zębatymi szczytami kominów piętrzyły się czarne maszty okrętów. Zwoje białej mgły czepiały się lin jak upiorne żagle.

— To gdzieś tutaj, prawda, jaśnie panie? — zapytał z kozła woźnica chrapliwym głosem.

Dorian zerwał się i spojrział wokół.

— Tak, to tu — odparł i spieszenie wyskakując z dorożki, dał woźnicy obiecaną zapłatę, po czym popędził w stronę wybrzeża.

Gdzieś tam płonęły latarnie na tyłach kilku wielkich statków kupieckich. Światło odbijało się migotliwie w falach. Czerwone blaski biły od wielkiego parowca, na który ładowano węgiel. Oślizgły bruk wyglądał jak zmoczony płaszcz przeciwdeszczowy.

Pospiesznie zawrócił na lewo, oglądając się co trochę, czy go ktoś nie śledzi. Po siedmiu czy ośmiu minutach stanął przed lichym domkiem, wciśniętym między dwie nędzne fabryczki. W jednym z okien na górze świeciła się lampa. Zatrzymał się i zapukał w umówiony sposób.

Po krótkiej chwili usłyszał kroki w korytarzu i brzęk łańcucha zdejmowanego z drzwi. Drzwi otworzyły się cicho. Wszedł, nie powiedziawszy słowa do skulonej, drobnej postaci, usuwającej się przed nim w cień. W końcu korytarza wisiała podarta zielona zasłona, poruszająca się i szeleszcząca od ostrego wicheru, który wpadł za nim z ulicy. Odsunął ją i wszedł do podłużnego, niskiego pokoju, który wyglądał, jak gdyby kiedyś był trzeciorzędną salą do tańca. Jaskrawe, migoczące lampki gazowe, zawieszane wzdłuż ścian, odbijały się dziwnie w lustrach upstrzonych przez muchy. Znajdujące się za nimi brudne reflektory z blachy cynkowej rzucały drżące koła światła. Podłoga była posypana trocinami o barwie ochry, zdeptanymi miejscami w błoto i pokrytymi ciemnymi plamami

¹⁹³jard — anglosaska miara długości równa ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

rozlanych trunków. Przy małym piecyku węglowym przykucnęło kilku Malajczyków, grających w kości i ukazujących w rozmowie białe zęby. W jednym kącie spał nad stołem jakiś marynarz z głową ukrytą w ramionach, a przed jaskrawo pomalowanym szynkwąsem¹⁹⁴, biegnącym wzdłuż jednej ze ścian, dwie dziko wyglądające kobiety szydziły ze starca, który z obrzydzeniem czyścił rękawy swego palta.

— Jemu się zdaje, że oblaży go czerwone mrówki — zaśmiała się jedna z nich do przechodzącego Doriana.

Człowiek spojrział na nią z przerażeniem i zaczął stękać.

W głębi pokoju małe schodki prowadziły do ciemnej izby. Gdy Dorian przebiegł trzy uginające się schody, doleciała go ciężka woń opium. Głęboko zaczerpnął powietrza, a nozdrza zadrżały mu z rozkoszy. Gdy wszedł, młody mężczyzna o jedwabnych blond włosach, pochylony nad lampą, aby od jej ognia zapalić długą, wąską fajkę, spojrział na niego i skłonił mu się z pewnym wahaniem.

— Ty tutaj, Adrianie? — mruknął Dorian.

— A gdzie mógłbym być? — odparł ów obojętnie. — Nikt mnie teraz nie chce znać.

— Myślałem, że nie ma cię w Anglii.

— Darlington nic nie robi. Mój brat splecił w końcu weksel. Poza tym Jerzy nie chce ze mną mówić... Wszystko mi jedno — dodał w westchnieniu. — Dopóki się ma to, nie potrzeba przyjaciół. Zdaje mi się, że miałem ich za wielu.

Dorian wzdrygnął się i spojrział wokoło na groteskowe postacie, leżące na porozkładanych materacach w dziwacznych pozach. Przykuwały jego wzrok ich powyginane członki, otwarte usta i szklane, nieruchome oczy. Wiedział, przez jakie dziwne nieba udręki przechodzili i jak ponure piekła uczyły ich tajemnicy nowej radości. Było im lepiej niż jemu, niewolnikowi własnej myśli. Pamięć jak straszliwa choroba żarła mu duszę. Zdawało mu się czasami, że widzi patrzące nań oczy Bazylego Hallwarda. Czuł jednak, że nie będzie mógł tu zostać. Niepokoiła go obecność Adriana Singletona. Chciał być tam, gdzie go nikt nie zna. Chciał uciec sam przed sobą.

— Pójdę gdzie indziej — powiedział po chwili.

— Na wybrzeże portowe?

— Tak.

— Będzie tam na pewno ta wariatka. Tutaj już jej nie chcą.

Dorian wzruszył ramionami.

— Zmęczyły mnie już kobiety, które kochają. Ciekawsze są te, które nienawidzą. Poza tym mają lepszy towar.

— Ten sam.

— Smakuje mi lepiej. Chodź, napijemy się. Muszę się napić.

— Nie mam na nic ochoty — mruknął młody człowiek.

— Nic nie szkodzi.

Adrian Singleton podniósł się leniwie i podążył za Dorianem do baru. Mieszaniec w podartym turbanie i wytartym surducie, wyszczerzając się ohydnie na powitanie, postawił przed nimi butelkę wódki i dwa kieliszki. Kobiety zbliżyły się i poczęły paplać. Dorian odwrócił się do nich tyłem i rzekł coś po cichu do Adriana Singletona.

Jedna z kobiet skrzywiła się w złym uśmiechu, podobnym do zmarszczki na malajskiej twarzy.

— Jesteśmy dziś bardzo dumni — zadrwiła.

— Na Boga, nie odzywaj się do mnie — zawołał Dorian, tupiąc nogą. — Czego chcesz? Pieniędzy? Masz. Ale nie odzywaj się już do mnie.

Dwie czerwone iskry zamigotały na chwilę w błędnych oczach kobiety, ale niebawem zgasły i oczy wróciły do poprzedniego wyrazu szklanej martwoty. Odrzuciła głowę i chciwymi palcami zgarniała monety z szynkwasu. Druga przyglądała się jej z zazdrością.

— To na nic — westchnął Adrian Singleton. — Nie zależy mi, żeby wrócić. Zresztą po co? Jest mi tu całkiem dobrze.

— Napisz do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebował, dobrze? — powiedział po chwili Dorian.

— Może napiszę.

¹⁹⁴szynkwąs — lada w szynku, w karczmie, przy której kupowało się trunki. [przypis edytorski]

— A więc dobranoc.

— Dobranoc — odparł młody człowiek, idąc po schodach i ocierając spalone usta chustką.

Dorian z wyrazem cierpienia na twarzy skierował się ku wyjściu. Gdy uchylił zasłonę, ohydny śmiech wydarł się z malowanych warg kobiety, której dał pieniądze.

— Odchodzisz, czarci synu! — zachichotała ochryple.

— Przekłęta! — odparł — Nie nazywaj mnie tak.

Pstryknęła palcami.

— Wolałbyś, aby nazywano cię księciem z bajki? — zadrwiła za nim.

Na te słowa śpiący marynarz zerwał się na równe nogi i spojrzął dziko. Trzask zamkniętych drzwi wpadł mu do uszu. Wybiegł w pościg.

Dorian Gray szedł pospiesznie wzdłuż wybrzeża w mżącym deszczu. Spotkanie z Adrianem Singletonem dziwnie go wzburzyło i zapytywał się w duchu, czy rzeczywiście jest odpowiedzialny za złamanie tego młodego życia, jak mu to obelżywie rzucił był w twarz Bazyl Hallward. Zagryzł wargi i przez kilka sekund na jego oczach osiadł wyraz smutku. Poza wszystkim jednak, co go to obchodzi? Życie jest zbyt krótkie, abyśmy brali na swoje barki brzemień cudzych win. Każdy żyje swym własnym życiem i za nie odpowiada. Szkoda tylko, że tak często trzeba płacić za raz popełniony błąd. Niejeden musi zaiste płacić wciąż na nowo. W swych stosunkach z człowiekiem los nigdy nie zamyka rachunków.

Zdarzają się chwile, jak twierdzą psychologowie, kiedy żądza grzechu lub tego, co świat nazywa grzechem, do tego stopnia włada człowiekiem, że każde włókno ciała, każda komórka mózgu jest opanowana straszliwymi popędami. Mężczyźni i kobiety tracą w takich chwilach poczucie własnej woli. Jak automaty zdążają do swego przeraźliwego końca. Odjęta jest im wolność wyboru i zabite w nich sumienie, a jeśli żyje, to tylko po to, aby bunt ożywić czarem, a nieposłuszeństwo wdziękiem. Bo jak tego nie zapominają wciąż przypominać nam teolodzy, wszystkie grzechy są grzechami nieposłuszeństwa. Gdy ów szczytny duch, jutrzeńka zła, spadał z niebios, był opanowany uczuciem buntu.

Grzech

Zatwardziały, skupiony na złości, ze splugawioną myślą i duszą łaknącą buntu, Dorian Gray pędził przed siebie. Zwalniając kroku, skręcił w ciemny zaułek, którym zazwyczaj skracał sobie drogę do osławionego lokalu, dokąd zdążył. Nagle poczuł, że schwycono go z tyłu i zanim zdążył pomyśleć o obronie, rzucono nim o mur, a jakaś brutalna ręka schwyła go za gardło.

Bronił swego życia jak szalony i po strasznym wysiłku udało mu się oderwać od szyi dławiące go palce. W tej samej chwili usłyszał trzask odwodzonego kurka i zobaczył błyszczącą lufę skierowaną prosto w jego głowę, a przed sobą ciemną sylwetkę niskiego, przysadzistego mężczyzny.

— Czego chcesz? — wykrztusił.

— Cicho bądź — rzekł mężczyzna. — Jeden ruch, a cię zastrzelę.

— Jesteś szalony. Cóż ci zrobiłem?

— Zmarnowałeś życie Sybilli Vane — brzmiała odpowiedź — a Sybilla Vane była moją siostrą. Zabiła się sama. Wiem o tym. Za jej śmierć ty odpowiadasz. Przysiągłem, że cię zabiję. Szukałem cię całe lata. Nie miałem żadnej wskazówki, ani śladu. Tych dwoje ludzi, którzy mogliby cię opisać, nie żyje. Nie wiedziałem o tobie nic oprócz piśmiennego imienia, którym zwykła była cię nazywać. Dziś usłyszałem je przypadkiem. Pojednaj się z Bogiem, bo dzisiejszej nocy umrzesz.

Dorian Gray omdlewał ze strachu.

— Nigdy jej nie znałem — wyjąkał. — Nigdy o niej nie słyszałem. Jesteś szalony.

— Wypowiadaj się lepiej ze swoich grzechów, bo jakem Jakub Vane, zapewniam cię, że umrzesz. — Była to straszna chwila. Dorian nie wiedział, co mówić czy robić. — Na kolana! — warknął mężczyzna. — Na obrachunek z Bogiem daję ci minutę, nie więcej. Dziś w nocy odjeżdżam do Indii, więc muszę wprawdzie załatwić się z tobą. Jedna minuta. Nie więcej.

Dorian zwiesił bezwładnie ręce. Znieruchomiały od trwogi, nie wiedział, co ma robić. Nagle błysnęła mu w mózgu dzika nadzieja.

— Stój — zawołał. — Jak dawno zmarła twoja siostra? Mów prędzej!

— Przed osiemnastu laty — rzekł mężczyzna. — Dlaczego o to pytasz? Co to ma za znaczenie?

— Przed osiemnastu laty — roześmiał się Dorian Gray z odgłosem triumfu. — Przed osiemnastu laty! Postaw mnie pod latarnią i spójrz na moją twarz!

Jakub Vane wahał się przez chwilę, nie rozumiejąc, o co chodzi. Następnie uchwycił Doriana Graya i powlókł go do rogu zaułka.

Pomimo słabego, migocącego na wietrze światła spozzegł swą straszną omyłkę, w którą o mało co nie popadł. Twarz mężczyzny, którego chciał zabić, była w kwiecie chłopięcej młodości, miała jej nieskalaną czystość. Wyglądał na młodzieńca w wieku najwyżej lat dwudziestu, to jest niewiele więcej, niż miała jego siostra, gdy umierała przed tylu laty. Rzecz jasna, że to nie mógł być człowiek, który zmarnował jej życie.

Puścił go i zatoczył się w tył.

— Boże! Boże! — zawołał. — O mało, a byłbym pana zamordował!

Dorian Gray głęboko odetchnął.

— Człowieku, o mało, a byłbyś popełnił straszną zbrodnię — powiedział, mierząc go ostrym spojrzeniem. — Niech ci to służy za przestrożę, że nie należy brać zemsty w swe własne ręce.

— Niech mi pan wybaczy — mamrotał Jakub Vane. — Pomyliłem się. Przypadkowe słowo usłyszane w tej przeklętej norze zwiódło mnie na złą drogę.

— Idźcie lepiej do domu i schowajcie ten rewolwer, bo może narazić was na kłopoty — powiedział Dorian, odwracając się i powoli skręcając w uliczkę.

Jakub Vane stał przerażony na kamieniach ulicznych. Drżał od stóp do głów. Po krótkiej chwili czarny cień, przesuwający się chyłkiem wzdłuż wilgotnego muru, wyłonił się z ciemności i zbliżył się do niego skradającym się krokiem. Poczul rękę na swym ramieniu i drżąc, odwrócił się. Była to jedna z kobiet pijących w barze.

— Dlaczego go nie zabiłeś? — syknęła, zbliżając swą dziką twarz tuż do jego twarzy. — Wiedziałam, że wybiegłeś za nim od Daly'ego. Głupcze! Powinieneś go być zabić. Ma mnóstwo pieniędzy, a jest gorszy od najgorszego.

— To nie jest człowiek, którego szukam — odparł — a pieniędzy nie potrzebuję od nikogo. Chcę czyjegós życia. Człowiek, od którego chcę życia, będzie teraz miał około czterdziestu lat. Ten to młody chłopiec. Dzięki Bogu, że nie mam jego krwi na rękach.

Kobieta zaśmiała się gorzko.

— Młody chłopiec! — zachichotała. — Człowieku, toż mija osiemnaście lat, jak ten książę z bajki zrobił mnie tym, czym jestem.

— Kłamiesz! — zawołał Jakub Vane.

Wzniosła rękę ku niebu.

— Przysięgam przed Bogiem, że mówię prawdę — zawołała.

— Przed Bogiem?

— Niech oniemieję, jeśli jest inaczej. To jest najgorszy z tych, co tu przychodzą. Powiadają, że diabłu sprzedał duszę za swą ładną twarz. Już będzie osiemnaście lat, jak go poznałam. Od tego czasu niewiele się zmienił. Ale za to ja... — dodała z chorobliwym śmiechem.

— Przysięgasz?

— Przysięgam — powtórzyły ochryplym echem jej obwisłe wargi. — Tylko mnie nie zdradź przed nim — zajęczała. — Boję się go. Daj mi trochę pieniędzy na noc.

Z przekleństwem odskoczył od niej, wpadając za róg ulicy, ale Dorian Gray już zniknął. Gdy się obejrzał, kobiety też już nie było.

ROZDZIAŁ XVII

W tydzień później w oranżerii Selby Royal Dorian Gray rozmawiał z piękną księżną Monmouth, bawiącą tam wśród gości wraz z mężem, przeżytym mężczyzną lat około sześćdziesięciu. Była pora podwieczorku. Wysoka lampa stołowa, osłonięta koronkowym abazurem, rzuciła łagodne światło na serwis z chińskiej porcelany i kutego srebra, koło którego krzątała się księżna. Jej białe ręce zgrabnie ujmowały filiżanki a pełne, czerwone usta uśmiechały się do czegoś, co szeptał jej Dorian. Lord Henryk przyglądał się im, wyciągnięty na trzcinowym fotelu pokrytym jedwabiem. Na kanapie brzoskwińowego koloru siedziała lady Narborough, udając, że słucha opowiadania księcia o ostatnim

brazylijskim chrabąszczu, którego udało mu się zdobyć do swych zbiorów. Trzech młodych mężczyzn w eleganckich smokingach częstowało panie herbatnikami. Towarzystwo składało się z dwunastu osób, a nazajutrz oczekiwano więcej gości.

— O czym państwo rozmawiacie? — rzekł lord Henryk, zbliżając się do stołu i stawiając swą filiżankę. — Przypuszczam, Gładys, że Dorian opowiadał ci o moim projekcie przemianowania wszystkich rzeczy. To świetny pomysł.

— Ależ, Henryku, ja wcale nie chcę być przemianowana — odparła księżna, patrząc nań swymi cudownymi oczami. — Jestem zupełnie zadowolona ze swego imienia i całkiem pewna, że pan Dorian jest również zadowolony ze swego.

— Moja droga Gładys, nie chcę bynajmniej zmieniać waszych imion. Oba są doskonałe. Myślałem głównie o kwiatach. Wczoraj zerwałem orchideę do butonierki. Była cudownie nakrapiana, śliczna jak siedem grzechów głównych. W bezmyślnej chwili zapytałem jednego z ogrodników o jej nazwę. Powiedział mi, że jest to piękny okaz *Robinsoniany*¹⁹⁵, czy coś równie okropnego. Smutna to prawda, ale zatraciliśmy zdolność nadawania rzeczom pięknych nazw. Nazwy są wszystkim. Nigdy nie sprzeczą się o czyny. Chodzi mi zawsze o słowa. Dlatego nienawidzę prostackiego realizmu w literaturze. Człowiek, który nazywa motykę motyką, powinien być skazany, aby nią kopał. To jest jego jedyne powołanie.

— Jakże mamy nazywać ciebie, Henryku? — zapytała.

— On się zowie książę Paradoks — rzekł Dorian.

— Poznaję go od razu — zawołała księżna.

— Nie chcę o tym słyszeć — roześmiał się lord Henryk, opadając na fotel. — Niepodobna uchylić się od etykiety! Zrzekam się tytułu.

— Królewskiej mości nie wolno abdykować — padła przestroga z pięknych ust.

— Mam więc bronić tronu?

— Tak.

— Rozdaję prawdy jutrzejsze.

— Wolę błędy dzisiejsze — odparła.

— Rozbrajasz mnie, Gładys — zawołał, dostosowując się do jej swawolnego nastroju.

— Tylko z tarczy, Henryku, a nie z kopii.

— Nigdy jej nie podnoszę przeciw piękności — zawołał, robiąc wdzięczny gest ręką.

— Wierź mi, Henry, że to twój błąd. Przeceniasz piękność.

— Jak możesz tak mówić? Przyznaję, że wyżej stawiam piękność niż dobroć. Ale skądinąd nikt nie przyzna z równą gotowością, jak ja, że lepiej być dobrym niż brzydkim.

— Brzydota jest więc jednym z siedmiu grzechów śmiertelnych? — zawołała księżna. — Cóż będzie z twym porównaniem do orchidei?

— Brzydota, Gładys, jest jedną z siedmiu cnót śmiertelnych. Jako dobra toryska nie powinnaś jej lekceważyć. Piwo, Biblia i siedem cnót śmiertelnych zrobiły z Anglii to, czym jest.

— Nie kochasz więc ojczyzny? — zapytała.

— Mieszkam w niej.

— Tym lepiej możesz ją smagać.

— Chciałabyś, abym miał o niej zdanie Europy? — zapytał.

— Co o nas mówią?

— Że *Tartuffe*¹⁹⁶ wyemigrował do Anglii i otworzył tu swój sklep.

— Czy to twoje zdanie, Henryku?

— Odstępuję ci je.

— Niepotrzebne mi. Jest zbyt prawdziwe.

— Nie potrzebujesz się obawiać. Żaden z naszych współziomków nie rozpozna się w opisie.

— Są zbyt praktyczni.

— Bardziej przebiegli niż praktyczni. Gdy zamykają swą księgę główną, bilansują głupotę z majątkiem i występek z obłudą.

¹⁹⁵*Robinsoniana* — uprawna odmiana zawilca gajowego o lawendowoniebieskich, od spodu kremowoszarych kwiatach. [przypis edytorski]

¹⁹⁶*Tartuffe* — główny bohater komedii *Świętoszek* Moliera. [przypis edytorski]

— A jednak dokonaliśmy rzeczy wielkich.
 — Wielkie rzeczy, Gladys, były nam narzucone¹⁹⁷.
 — Unieśliśmy ich brzemię.
 — Nie dalej, jak do giełdy.
 Potrząsnęła przecząco głową.
 — Wierzę w naszą rasę — zawołała.
 — Obrazuje przetrwanie przedsiębiorczych.
 — Rozwija się.
 — Mnie bardziej pociąga upadek.
 — A sztuka? — spytała.
 — To choroba.
 — Miłość?
 — Żłuda.
 — Religia?
 — Wytworny substytut wiary.
 — Jesteś sceptykiem.
 — Nigdy! Sceptycyzm jest początkiem wiary.
 — Czymże jesteś?
 — Określać to ograniczać.
 — Daj mi wskazówkę.
 — Nic się zrywa. Zgubiłabyś drogę w labiryncie.
 — Zbijasz mnie z tropu. Mówmy o czym innym.
 — Nasz gospodarz jest zachwycającym tematem. Przed laty nazwano go księciem z bajki.
 — Ach, nie przypominaj mi tego! — zawołał Dorian Gray.
 — Nasz gospodarz jest dziś raczej nieuprzejmy — odparła księżna, rumieniąc się. — Wydaje mi się, iż sądzi, że Monmouth ożenił się ze mną ze względów czysto naukowych, jako z najlepszym okazem współczesnego motyla, jaki umiał znaleźć.
 — Mam jednak nadzieję, księżno, że nie wbije pani na szpilkę — roześmiał się Dorian.
 — Och, panie Gray, robi to zawsze moja służąca, gdy jej dokuczę.
 — A czymże mogłaby jej pani dokuczyć, księżno?
 — Zapewniam pana, panie Gray, że z najbliższych powodów. Najczęściej dlatego, że gdy przychodzę za dziesięć dziewiąta, mówię jej, iż muszę być ubrana o wpół do dziewiątej.
 — Jakże to nierozsądne z jej strony! Powinna ją pani odprawić.
 — Nie mogę, panie Gray. Ona daje pomysły do moich kapeluszy. Przypomina pan sobie ten, jaki miałam na majówce u lady Hilstone? Pan nie pamięta, ale ładnie z pańskiej strony, że pan udaje. Otóż kapelusz ten zrobiła z niczego. Wszystkie dobre kapelusze są zrobione z niczego.
 — Jak każda dobra reputacja, Gladys — wtrącił lord Henryk. — Każde wrażenie, jakie potrafimy wywołać, stwarza nam nieprzyjaciół. Tylko miernoty bywają popularne.
 — Tylko nie u kobiet — powiedziała księżna, przecząco potrząsając głową — a kobiety rządzą światem. Zapewniam cię, że nie znosimy miernot. Ktoś powiedział, że my, kobiety, kochamy uszami jak wy, mężczyźni, kochacie oczami, o ile w ogóle kochacie.
 — Zdaje mi się, że nigdy nie czynimy nic innego — wyszeptał Dorian.
 — Ach, w takim razie, panie Gray, pan nigdy nie kochał naprawdę — odparła księżna z udanym żalem.
 — Moja droga Gladys! — zawołał lord Henryk. — Jak możesz tak mówić? Romantyczne uczucie żyje przez powtarzanie, a powtarzanie przekształca żądzę w sztukę. Przy tym miłość, którą przeżywamy, wydaje się nam zawsze jedyna. Rozmaitość przedmiotu wcale nie zmienia poczucia, że nasza namiętność jest jedyna. Potęguje ją tylko. W życiu możemy mieć co najwyżej jedno wielkie doświadczenie, a tajemnica życia polega na tym, aby doświadczenie to powtarzało się jak najczęściej.
 — Nawet, jeśli zadaje nam rany, Henryku? — po chwili zapytała księżna.

¹⁹⁷ *Wielkie rzeczy (...) były nam narzucone* — parafraza zdania z Szekspira, *Wieczór Trzech Króli*, akt III, scena 4. [przypis edytorski]

— Wówczas tym bardziej — odparł lord Henryk.
 Księżna odwróciła się i spojrzała na Doriana Graya z dziwnym wyrazem w swych oczach.
 — Co pan na to powie, panie Gray? — zapytała.
 Dorian wahał się przez chwilę. Wreszcie odrzucił głowę i roześmiał się.
 — Zawsze zgadzam się, księżno, z Henrykiem.
 — Czy nawet wtedy, kiedy nie ma słuszności?
 — Henryk, księżno, zawsze ma słuszność.
 — A czy jego filozofia daje panu szczęście?
 — Nigdy nie szukałem szczęścia. Kto szuka szczęścia? Szukam rozkoszy.
 — I znajduje ją pan, panie Gray?
 — Często. Nazbyt często.
 Księżna westchnęła.
 — Ja szukam spokoju — powiedziała — i jeśli zaraz nie pójdę się przebrać, nie zaznam go dzisiejszego wieczora.
 — Przyniosę pani kilka orchidei, księżno — zawołał Dorian, podnosząc się i przechodząc do cieplarni.
 — Flirtujesz z nim sromotnie — rzekł lord Henryk do swej kuzynki. — Miej się lepiej na ostrożności. To człowiek czarujący.
 — Gdyby był inny, nie byłoby walki.
 — Zatem Grecy przeciw Grekom?
 — Jestem po stronie Trojan. Walczyli za kobietę¹⁹⁸.
 — Zostali pobici.
 — Istnieją rzeczy gorsze od klęski — odparła.
 — Pędzisz na oślep.
 — Pęd daje życie — brzmiała odpowiedź.
 — Dziś wieczór zapiszę to sobie w dzienniku.
 — Dlaczego?
 — Bo dziecko, co się sparzyło, nie dmucha na gorące.
 — Mnie ogień nie dotknął. Skrzydła mam nieopalone.
 — Do wszystkiego ich używasz, tylko nie do ucieczki.
 — Odwaga przeszła od mężczyzn do kobiet. To dla nas nowe doświadczenie.
 — Masz rywalkę.
 — Kogo?
 Roześmiał się.
 — Lady Narborough — wyszeptał. — Ubóstwia go.
 — Przerażasz mnie. Dla nas, romantyków, zamięłowanie do starożytności jest niebezpieczne.
 — Romantyków! Posługujesz się metodą naukową.
 — Kształcili nas mężczyźni.
 — Ale was nie objaśnili.
 — Określ nas jako płeć — padło wyzwanie.
 — Sfinksy bez tajemnic.
 Spojrzała nań z uśmiechem.
 — Jakże długo nie wraca pan Gray! — rzekła. — Chodźmy mu pomóc. Nie podałam mu nawet koloru swej sukni.
 — Ach, Gladys, kolor sukni musisz dostosować do jego kwiatów.
 — Byłaby to przedwczesna kapitulacja.
 — Sztuka romantyczna zaczyna się w punkcie kulminacyjnym.
 — Chcę sobie zachować możliwość odwrotu.

¹⁹⁸ *Jestem po stronie Trojan. Walczyli za kobietę* — podczas opisywanej w *Iliadzie* wojny trojańskiej. Helena, piękna żona króla Sparty Menelaosa, uciekła z księciem trojańskim Parysem do Troi, zaś Trojanie nie chcieli jej wydać Grekom przybyłym na wezwanie jej męża i jego brata. [przypis edytorski]

— Na wzór Partów¹⁹⁹?

— Oni znaleźli ocalenie w pustyni. Nie zdobyłabym się na to.

— Kobietom nie zawsze jest dane prawo wyboru — odparł.

Zaledwie jednak dokończył zdania, gdy z głębi cieplarni doleciał zdławiony jęk, a potem głuchy łoskot ciężkiego upadku. Wszyscy się zerwali. Księżna znieruchomiała z przerażenia. Lord Henryk z trwogą w oczach biegł wśród obwisających palm i ujrzał Dorianą Graya, leżącą w śmiertelnym omdleniu twarzą w dół na płytach posadzki.

Przeniesiono go niezwłocznie do błękitnego salonu i położono na jednej z sof. Po krótkiej chwili wrócił do przytomności i rozglądał się wokół z wyrazem zmieszania.

— Co się stało? — zapytał. — Ach, przypominam sobie. Czy tu jestem bezpieczny, Henryku? — Zaczął drżeć.

— Mój drogi Dorianie — odparł lord Henryk — zemdlałeś tylko. Nic więcej. Musisz odpocząć. Nie przychodź lepiej na obiad. Zastąpię cię.

— Nie, wolę przyjść — powiedział, wstając z trudem. — Wolę przyjść. Nie chcę być sam.

Poszedł do swego pokoju, aby się przebrać. Przy stole okazywał dziką, niepoahamowaną wesołość, ale od czasu do czasu przebiegał go dreszcz trwogi, gdy przypominał sobie, że widział przylepioną do szyby cieplarni, jak białą chustę, czyhającą nań twarz Jakuba Vane.

ROZDZIAŁ XVIII

Następnego dnia wcale nie wychodził z domu i prawie cały czas spędził w swym pokoju, chory z dzikiej trwogi przed śmiercią, choć zobojętniały dla życia. Całkowicie ośwładnęła nim świadomość, że jest ścigany, śledzony i prześladowany. Drżał, gdy powiew wiatru poruszał firankami. Martwe liście, miotane o szyby oprawne w olów, wydawały mu się niby jego własne rozpierzchłe postanowienia i gorące żale. Gdy zamknął oczy, za mokrą od deszczu szybą widział znowu czyhającą nań twarz marynarza i serce jego ścisnęło się od przerażenia.

A może to tylko złuda, którą zemsta wywlokła z mroku, ukazując mu okropne widmo kary. Życie było chaosem, ale wyobraźnia ma jakąś straszną logikę. To wyobraźnia sprowadza wyrzuty sumienia na trop grzechu. To wyobraźnia sprawia, że każda zbrodnia nosi w sobie brzemień potwornego płodu. W zwykłym świecie rzeczywistości złych nie spotyka kara ani dobrych nagroda. Powodzenie należy do silnych, niepowodzenie jest udziałem słabych. Nic nadto. Przy tym, gdyby jakiś obcy człowiek wałęsał się koło domu, zauważyłaby go służba lub stróż. Gdyby znaleziono ślady stóp na grzędach kwiatów, powiedzieliby mu o tym ogrodnicy. Tak, to tylko złuda. Brat Sybilli Vane nie wrócił, by go zamordować. Wsiadł na swój okręt, aby zginąć w jakiejś burzy morskiej. Od niego w każdym razie nic mu nie groziło. Wszak człowiek ten nawet nie wiedział, kim on jest, nie mógł tego wiedzieć. Ocaliła go maska młodości.

A jednak jeśli to było złudzenie, jakże straszna jest myśl, że sumienie może wywoływać takie okropne mary, nadawać im widzialne kształty i sprawiać, że się poruszają! Jakież to będzie życie, jeśli dniem i nocą cienie zbrodni będą nań czyhały ze spokojnych kątów, sztydzić zeń z tajemnego ukrycia, szeptać mu do uszu podczas uczt, budzić go ze snu lodowatymi palcami! Gdy myśl ta pełzała przez mózg, stawał się blady z trwogi i zdawało mu się, że powietrze oziębia się nagle. Och, w jakże dzikiej godzinie opętania zamordował przyjaciela! Jak upiorne było samo wspomnienie tej sceny! Widział ją znowu. Każdy okropny szczegół stawał przed nim, spotęgowany przerażeniem. Z czarnej otchłani czasu wylaniał się potworny obraz jego grzechu, okryty szkarłatem. Gdy o godzinie szóstej odwiedził go lord Henryk, zastał go w rozpacz, jak człowieka, któremu pęka serce.

Dopiero na trzeci dzień odważył się wyjść z domu. Zdawało mu się, że czyste, przesycone zapachem sosen powietrze zimowego poranka ma w sobie coś, co wraca mu beztrochę i ochotę do życia. Nie tylko jednak zewnętrzne warunki otoczenia wywoływały w nim tę

¹⁹⁹ zachować możliwość odwrótu (...) Na wzór Partów — mieszkańcy staroż. państwa Partów (ok. 238 p.n.e.–226 n.e.), położonego w większości na terenie dzisiejszego Iranu, uwikłanego w liczne wojny z Rzymem; znani byli z używania taktyki polegającej na okrążaniu przeciwnika przez atakujących konnych łuczników oraz pozorowanej lub prawdziwej ucieczki połączonej z ciągłym ostrzałem z luków. [przypis edytorski]

Strach

Zbrodniarz

zmianę. Jego własna natura zbuntowała się przeciw nadmiernej udręce, która usiłowała zniszczyć i zniweczyć jego doskonały spokój. Leży to w usposobieniu ludzi wrażliwych i przeczulonych. Ich silne namiętności muszą miażdżyć albo się złamać. Zabijają człowieka albo same giną. Płytkie żale i płytkie uczucia żyją długo. Wielkie miłości i wielkie bóle giną od własnego nadmiaru. Poza tym przekonał sam siebie, że był ofiarą smaganej trwogą wyobraźni i na swój lęk patrzył teraz z odcieniem litości i z pewną pogardą.

Po śniadaniu około godziny przechadzał się z księżną po ogrodzie, następnie wyjechał przez park, aby dogonić myśliwych. Szron świecił na trawie jak grudki soli. Niebo wyglądało niby wywrócona filiżanka z błękitnego metalu. Cienka warstwa lodu pokrywała płytkie, zarosłe trzciną jezioro.

Na skraju sosnowego lasu spostrzegł sir Geoffreya Cloustone'a, brata księżnej, gdy wyrzucał z fuzji dwa wystrzelone naboje. Wyskoczył z amerykanki²⁰⁰, kazał służącemu odjechać do domu i pieszo poszedł naprzeciw swego gościa po opadłych gałęziach i splątanych zaroślach.

— Jak ci idzie, Geoffreju? — zapytał.

— Niezbyt, Dorianie. Zdaje mi się, że większość ptactwa uciekła na pola. Sądzę, że się poprawi po śniadaniu, gdy przejdziemy na inny teren.

Dorian wlokł się koło niego. Ostro pachnące powietrze, migocące wśród lasu brązowe i czerwone światła, rozlegające się czasami chrapliwe krzyki nagonki i następujące po nich wystrzały — wszystko to upajało go, napełniając uczuciem rozkosznej swobody. Ponoсила beztraska szczęścia i najwyższa obojętność radości.

Nagle o jakieś dwadzieścia jardów przed nimi z gęstej kępy zeschłej trawy wybiegł zając o nastawionych, czarno zakończonych słuchach²⁰¹, sadząc przed siebie długimi skokami wprost na gęstwę olch. Sir Geoffrey zmierzył się z bronią, ale we wdzięcznym ruchu zwierzęcia było dla Dorian'a Graya coś tak dziwnie czarującego, że nagle zawołał:

— Nie strzelaj, Geoffreju. Pozwól mu żyć.

— Co za nedoręczność, Dorianie! — roześmiał się towarzysz, strzelając do umykającego w gęstwinę szaraka.

Usłyszano dwa krzyki, straszny pisk konającego zająca i straszniejszy od niego przedśmiertny jęk człowieka.

— Na Boga! Zastrzeliłem naganiacza! — zawołał sir Geoffrey. — Co za osioł, żeby stawać naprzeciwko myśliwych! Nie strzelać! — zawołał na całe gardło. — Zraniono człowieka.

Leśniczy nadbiegł z kijem w rękę.

— Gdzie, jaśnie panie? Gdzie on jest? — zapytał. Równocześnie umilkły strzały na całej linii.

— Tutaj — odparł sir Geoffrey z wściekłością, biegnąc ku gęstwinie. — Dlaczego nie trzymacie swoich ludzi z daleka? Zepsuliście mi całe polowanie.

Dorian patrzył na nich, jak w gąszczu olszyny odgarniali gibkie, zwisające gałęzie. Po paru chwilach wyszli, wyciągając trupa na światło. Odwrócił się, przerażony. Zdawało mu się, iż gdziekolwiek się zwróci, wszędzie kroczy za nim nieszczęście. Słyszał, jak sir Geoffrey zapytywał, czy męczyzna naprawdę nie żyje, i twierdzącą odpowiedź naganiacza. Las wydał mu się nagle ożywiony marami. Stąpały miriady stóp, głucho pomrukiwały głosy. Tuż nad nim zerwał się z gałęzi wielki bażant o miedzianym podgardlu. Po paru chwilach, które w jego niepokoju wydały mu się nieskończonymi godzinami cierpienia, poczuł czyjąś rękę na swym ramieniu. Drgnął i spojrzął wokół siebie.

— Dorianie — rzekł lord Henryk — wydaje mi się, że na dziś lepiej będzie ogłosić koniec polowania. Inaczej zrobiłoby to złe wrażenie.

— Chciałbym, Henryku, aby już skończyło się na zawsze — odparł gorzko. — Wszystko to jest ohydne i okrutne. Czy ten człowiek?...

Nie mógł dokończyć zdania.

— Niestety — wtrącił lord Henryk. — Dostał w piersi cały ładunek. Musiał skonać natychmiast. Chodź, wracajmy do domu.

²⁰⁰amerykanka a. amerykan — odkryty, dwukołowy powóz. [przypis edytorski]

²⁰¹stuchy — uszy zająca a. królika. [przypis edytorski]

Szli obok siebie w kierunku alei przez prawie pięćdziesiąt jardów, nie mówiąc ani słowa. Wtem Dorian spojrział na lorda Henryka i rzekł z ciężkim westchnieniem:

— To zły znak, Henryku, bardzo zły znak.

— Co? — spytał lord Henryk. — Och, sądzę, że to wypadek. Mój drogi przyjacielu, na to nie ma rady. To jego własna wina. Czemu stawał przed myśliwymi? Nas to poza tym nie dotyczy. To oczywiście nieprzyjemne dla Geoffreya. Nie należy strzelać do nagonki. Rozchodzą się zaraz plotki, że strzela się na ośle. A to niesłusznie: Geoffrey strzela bardzo uważnie. Ale po co o tym mówić.

Dorian przecząco pokręcił głową.

— To zły znak, Henryku. Wydaje mi się, że jednemu z nas zdarzy się coś strasznego. Może mnie — dodał, przesuwając dłonią po oczach z wyrazem cierpienia.

Starszy mężczyzna roześmiał się.

— Dorianie, jedyną rzeczą straszną na świecie jest nuda. To jedyny grzech nie do wybaczenia. My jednak nie będziemy cierpieć z tego powodu, jeśli tylko przy obiedzie nie będzie się paplało o tym zdarzeniu. Muszę zapowiedzieć, że o tym przedmiocie nie wypada mówić. Co zaś do wróżb, to nic podobnego nie istnieje. Los nie wysła heroldów. Jest na to zbyt mądry albo zbyt okrutny. Zresztą, Dorianie, cóż mogłoby się ci zdarzyć? Masz wszystko, czego człowiek mógłby tylko zapragnąć. Nie znam nikogo, kto by się z przyjemnością z tobą nie zamienił.

— Nie znam nikogo, Henryku, z kim ja bym się nie zamienił. Nie śmiej się. Mówię ci prawdę. Temu nędznemu chłopu, co właśnie skołał, jest lepiej niż mnie. Nie boję się śmierci. Trwogą przejmuje mnie zbliżanie się śmierci. Jej potworne skrzydła łopoczą wokół mnie w ołowianym powietrzu. Wielki Boże, czy nie widzisz za tymi drzewami człowieka, który na mnie czyha?

Lord Henryk spojrział w kierunku wskazanym mu drżącą ręką w rękawicze.

— Tak — odparł z uśmiechem — widzę oczekującego na ciebie ogrodnika. Zapewne chce cię zapytać, jakie kwiaty chcesz mieć wieczorem przy stole. Jakże niedorzecznie zdenerwowany jesteś, mój drogi przyjacielu! Gdy powrócimy do miasta, musisz poradzić się swego lekarza.

Dorian odetchnął z ulgą, widząc zbliżającego się ogrodnika. Człowiek zdjął kapelusz, przez chwilę patrzył z wahaniem na lorda Henryka, po czym wyjąwszy list, podał go swemu panu.

— Jej Wysokość kazała mi czekać na odpowiedź — wyszeptał.

Dorian włożył list do kieszeni.

— Powiedz Jej Wysokości, że idę — powiedział chłodno.

Człowiek odwrócił się i poszedł szybko w kierunku domu.

— Jak chętnie kobiety popełniają rzeczy niebezpieczne! — roześmiał się lord Henryk. — To jedna z właściwości, którą najbardziej u nich podziwiam. Kobieta flirtuje z każdym mężczyzną, dopóki przyglądają się inni.

— Jak chętnie mówisz niebezpieczne rzeczy, Henryku! W tym wypadku mylisz się zupełnie. Bardzo lubię księżnę, ale jej nie kocham.

— A księżna kocha cię bardzo, choć cię nie lubi, jesteście więc doskonale dobrani.

— Opowiadasz plotki, Henryku, a plotki są zawsze bezpodstawne.

— Podstawą każdej plotki jest niemoralna pewność — powiedział lord Henryk, zapalając papierosa.

— Cały świat poświęciłbyś, Henryku, dla powiedzenia dowcipu.

— Świat dobrowolnie garnie się do ołtarza — brzmiała odpowiedź.

— Chciałbym móc kochać — zawołał Dorian Gray z głęboką przesadą w głosie. — Zdaje mi się jednak, że straciłem namiętność i wyzbyłem się pragnień. Jestem zbyt skupiony na sobie. Moja własna osobowość stała mi się brzemieniem. Chciałbym uciec, odejść, zapomnieć. Głupio było z mej strony, że w ogóle tu przybyłem. Wydaje mi się, że powinienem zadeszować do Harveya, aby przygotowano mój jacht. Tylko na jachcie będę bezpieczny.

— Bezpieczny od czego, Dorianie? Coś cię niepokoi. Dlaczego mi nie powiesz? Wiesz, że mogę ci pomóc.

Los

— Nie mogę ci powiedzieć, Henryku — odparł smutnie. — Sam zresztą sędzę, że to tylko przywidzenie. Ten nieszczęśliwy wypadek wytrącił mnie z równowagi. Mam straszne przeczucie, że i mnie się zdarzy coś podobnego.

— Co za nedorzeczność!

— Wiem o tym, ale nie mogę pozbyć się tego uczucia. Ach, oto księżna. Wygląda pani jak Artemida²⁰² w stroju spacerowym. Jesteśmy już, księżno, z powrotem.

— Wiem o wszystkim, panie Gray — odparła. — Biedny Geoffrey nie może przyjść do siebie. A podobno pan go prosił, żeby nie strzelał do zająca. Jakie to dziwne!

— Tak, to było bardzo dziwne. Sam nie wiem, czemu to powiedziałem. Sędzę, że tak sobie. Wyglądał jak najpiękniejsze ze zwierzątek. Przykro mi, że powiedziano pani o tym człowieku. To okropna rzecz.

— To nudna rzecz — przerwał lord Henryk. — Pozbawiona wszelkiej wartości psychologicznej. Gdyby Geoffrey zrobił był to rozmyślnie, jakże byłby zajmujący! Bardzo bym pragnął znać kogoś, kto naprawdę popełnił morderstwo.

— Jakie to okropne, co ty mówisz, Henryku! — zawołała księżna. — Nieprawdaż, panie Gray? Henryku, pan Gray jest znowu słaby. Mdleje.

Dorian opanował się z wysiłkiem i uśmiechnął się.

— To nic, księżno — wyszeptał — mam strasznie wyczerpane nerwy. Nic więcej. Zdaje się, że dziś rano za dużo chodziłem. Nie słyszałem, co mówił Henryk. Czy to było coś złego? Powtórz mi to pani kiedyś. Muszę pójść się położyć. Pani mi wybaczy, prawda?

Stanęli u wielkich schodów, wiodących z cieplarni na taras. Skoro za Dorianem zamknęły się oszklone drzwi, lord Henryk odwrócił się i spojrział na księżnę swymi sennymi oczami.

— Czy bardzo jesteś w nim zakochana? — zapytał.

Nie odpowiadała przez pewien czas, zapatrzona w krajobraz.

— Sama chciałabym to wiedzieć — powiedziała w końcu.

Potrząsnął głową.

— Świadomość jest zgubna. Tylko niepewność ma urok. Mgła czyni rzeczy czarowymi.

— Można w niej zgubić drogę.

— Wszystkie drogi, droga Gladys, prowadzą do tego samego celu.

— A jest nim?

— Rozczarowanie.

— To był mój debiut życiowy — westchnęła.

— Przyszedł, aby cię ukoronować.

— Znużyły mnie liście poziomek²⁰³.

— Dobrze ci z nimi.

— Tylko na zewnątrz.

— Żal by ci ich było — rzekł lord Henryk.

— Nie uronię też ani listeczka.

— Monmouth ma uszy.

— Starość ma tępy słuch.

— Czy nigdy nie był zazdrosny?

— Chciałabym, żeby był.

Rozglądał się, jakby czegoś szukał.

— Czego szukasz? — zapytała.

— Rękojeści twej szpady — odparł. — Straciłaś ją.

Zaśmiała się.

— Wciąż mam jeszcze maskę.

— Potęguje czar twych oczu — brzmiała odpowiedź.

Zaśmiała się znowu. Zęby jej wyglądały jak białe ziarna w szkarłatnym owocu.

W swym pokoju na piętrze Dorian Gray leżał na sofie, każdym włókmem jego ciała wstrząsała trwoga. Życie zaciążyło mu nagle okropnym brzemieniem. Straszna śmierć

Śmiech

²⁰²Artemida (mit. gr.) — dziewicza bogini-luczniczka, opiekunka zwierzyny łownej, bliźniacza siostra Apollina. [przypis edytorski]

²⁰³Znużyły mnie liście poziomek — tj. wysoka pozycja społeczna: liście poziomek występowały jako dekoracja diademów książęcych. [przypis edytorski]

nieszczęsnego naganiacza, zabitego w gęstwinie niczym dzikie zwierzę, wydawała mu się zwiastować jego własną śmierć. Omal nie zemdlął, gdy lord Henryk powiedział swój przypadkowy cyniczny dowcip.

O godzinie piątej zadzwonił na służącego i polecił mu spakować rzeczy na nocny ekspres do miasta i zamówić powóz na wpół do dziewiątej. Postanowił nie spać już ani jednej nocy w Selby Royal. To miejsce było złowrogie. Śmierć kroczyła tu w świetle słonecznym. Trawa leśna była zbryzgana krwią.

Napisał kartkę do lorda Henryka, zawiadamiając go, że jedzie do miasta poradzić się swego lekarza, i prosząc, aby podejmował gości pod jego nieobecność. Gdy wkładał ją do koperty, zapukano do drzwi i wszedł lokaj, oznajmiając, że leśniczy chce się z nim zobaczyć. Zmarszczył brwi i zagryzł wargi.

— Przyślij go tu — mruknął po chwili wahania.

Gdy wszedł, Dorian wyjął z szuflady książeczkę czekową i położył przed sobą.

— Przypuszczam, Thorntonie, że przychodzicie w sprawie tego nieszczęsnego porannego wypadku? — powiedział, biorąc za pióro.

— Tak, jaśnie panie — odrzekł leśniczy.

— Czy ten biedak był żonaty? Czy miał rodzinę na utrzymaniu? — zapytał Dorian z wyrazem znużenia. — Jeżeli tak, to nie chcę, aby pozostawali w nędzy i pošlę im każdą kwotę, jaką uznacie za potrzebną.

— Nie wiemy, jaśnie panie, kto to jest. Dlatego ośmieliłem się przyjść.

— Nie wiecie, kto to jest? — obojętnie mówił Dorian. — Co to ma znaczyć? Więc to nikt ze służby?

— Nie, jaśnie panie. Nigdy przedtem go nie widziałem. Wygląda na marynarza.

Pióro wypadło z ręki Dorian Graya i miał uczucie, jak gdyby serce nagle przestało mu bić.

— Marynarz? — wykrzyknął. — Mówicie, że marynarz?

— Tak, jaśnie panie. Wygląda, jak gdyby był kimś w rodzaju marynarza: oba ramiona ma wytatuowane i tego rodzaju rzeczy.

— Czy coś przy nim znaleziono? — powiedział Dorian, nachylając się i patrząc w leśniczego rozszerzonymi źrenicami. — Coś, co by wskazywało jego nazwisko?

— Trochę pieniędzy, jaśnie panie, niewiele, i rewolwer. Nigdzie żadnego nazwiska. Wygląda przyzwoicie, jaśnie panie, ale nieokrzesanie. Przypuszczamy, że był to zwykły marynarz.

Dorian zerwał się na równe nogi. Błysnęła mu straszna nadzieja. Uczepił się jej jak szalony.

— Gdzie jest trup? — wykrzyknął. — Prędko! Muszę go zaraz zobaczyć.

— Złożyliśmy go, jaśnie panie, w pustej stajni na folwarku Home. Nikt nie chce trzymać trupa u siebie w domu. Mówią, że przyniósłby nieszczęście.

— Na folwarku Home! Jedziemy tam zaraz i pokażecie mi go. Powiedzcie stajennemu, aby osiodłał mi konia. Nie. Nie trzeba. Pójdę do stajni sam. Będzie prędzej.

W niespełna kwadrans później Dorian Gray pędził galopem długą aleją tak szybko, jak tylko mógł. Drzewa zdawały się go mijać w upiornym korowodzie, a niesamowite cienie przebiegały mu drogę. Przy białym słupku bramy klacz skoczyła w bok i omal go nie zrzuciła. Ciął ją szpicrutą po szyi. Jak strzała pomknęła w ciemną dal. Kamienie rozpryskiwały się spod podków.

Wreszcie wpadł na folwark Home. W podwórzu stało dwóch ludzi. Zeskoczył z konia i jednemu z nich oddał cugle. W najdalszej stajni świeciło światło. Coś zdawało mu się mówić, że tam leży trup, pobiegł ku drzwiom i chwycił za klamkę.

Zawahał się przez chwilę, czując, że stoi przed odkryciem, od którego zależy spokój lub niepokój jego życia. Po czym pchnął drzwi i wszedł.

Na stosie worków w najdalszym kącie leżał trup mężczyzny ubranego w grubą koszulę i niebieskie spodnie. Twarz była osłonięta poplamioną chustką. Obok niego migotała lojówka²⁰⁴, zatknięta w butelkę.

Dorian Gray wdrygnął się. Poczul, iż nie byłby w stanie własną ręką odsłonić chustki, i zawołał jednego ze służby folwarcznej.

²⁰⁴lojówka — świeca z loju. [przypis edytorski]

— Zdejmijcie to z twarzy. Chcę zobaczyć — powiedział, opierając się o odrzwia.

Gdy fornał spełnił rozkaz, postąpił naprzód. Z ust jego wyrwał się okrzyk radości. Zastrzelonym w gęstwinie człowiekiem był Jakub Vane.

Przez kilka minut patrzył na trupa. Gdy wracał do domu, oczy miał pełne łez, gdyż wiedział, że jest bezpieczny.

ROZDZIAŁ XIX

— Po co mi mówisz, że chcesz być dobry — zawołał lord Henryk, zanurzając białe palce w czerwonej miedzianej czarze z wodą różaną. — Ty już jesteś w pełni doskonały. Proszę cię tylko, nie zmieniaj się.

Dorian Gray potrząsnął głową.

— Nie Henryku, popełniłem w życiu zbyt wiele okropności. To się już nie powtórzy. Wczoraj rozpocząłem moje dobre czyny.

— Gdzie byłeś wczoraj?

— Na wsi, Henryku. Zatrzymałem się w małej oberży.

— Mój drogi chłopcze — rzekł lord Henryk z uśmiechem — na wsi każdy może być dobry. Nie ma pokus. Jest to też przyczyną, dlaczego ludzie mieszkający poza miastem są zupełnie niecywilizowani. Cywilizacja pod żadnym względem nie jest łatwa do zdobycia. Osiąga się ją tylko dwiema drogami. Przez kulturę albo przez zepsucie. Ludność wiejska nie ma do tego sposobności, dlatego jest zacofana.

— Kultura i zepsucie — powtórzył echem Dorian. — Wiem cośkolwiek o obu. Wydaje mi się teraz straszne, że zawsze idą w parze. Znalazłem nowy ideał, Henryku. Chcę się zmienić. Zdaje mi się, że już się zmieniłem.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, jaki był twój dobry czyn. Czy może popełniłeś ich więcej? — zapytał towarzysz, nabierając na talerzyk karmazynową piramidkę ogrodowych poziomek i posypując je śnieżnobiałym cukrem za pomocą dziurkowanej łyżeczki w kształcie muszli.

— Opowiem ci, Henryku. Mogę to opowiedzieć wszystkim. Oszczędziłem pewną osobę. To wygląda na przechwałkę, ale zrozumiesz, o co chodzi. Była doskonale piękna i czarująca jak Sybilla Vane. Sądzę, że właśnie to pociągnęło mnie do niej. Pamiętasz Sybillę, nieprawda? Jak to już wydaje się dawno! Hetty nie jest, oczywiście, z naszej sfery. Prosta wiejska dziewczyna. Ale kochałem ją naprawdę. Jestem zupełnie pewny, że ją kochałem. Przez cały ten czarowny maj, jaki mieliśmy, jeździłem do niej dwa albo trzy razy w tygodniu. Wczoraj spotkałem ją w małym ogródku. Kwiecie jabłoni osypywało jej włosy, a ona się śmiała. Dziś rano o świcie mieliśmy odjechać. Nagle postanowiłem pozostawić ją tak samo podobną do kwiatu, jak ją poznałem.

— Wierzę, Dorianie, że nowość tego wzruszenia musiała dać ci dreszcz prawdziwej rozkoszy — przerwał lord Henryk. — Ale mogę za ciebie skończyć twoją sielankę. Dając jej dobrą radę, złamałeś jej serce. Taki był początek twego nawrócenia.

— Henryku, jesteś straszny! Nie powinieneś mówić tych okropnych rzeczy. Serce Hetty nie jest złamane. Oczywiście, że rozpaczła i tym podobne. Ale nie ma na niej hańby. Może żyć, jak Perdyta²⁰⁵, w swym ogrodzie mięty i tymianku.

— I oplakiwać niewiernego Floryzela²⁰⁶ — rzekł lord Henryk, śmiejąc się i wyciągając się na fotelu. — Mój drogi Dorianie, miewasz pomysły bajecznie dziecinne. Czy sądzisz, że tę dziewczynę zadowoli już ktoś z jej własnej sfery? Najprawdopodobniej wyjdzie kiedyś za prostackiego furmana albo za szcherzącego do niej zęby parobka. To jednak, że cię poznała i pokochała, nauczy ją gardzić mężem i uczyni nieszczęśliwą. Ze stanowiska moralności niezbyt wysoko mogę ocenić twoje wyrzeczenie się. Nawet jak na początek jest bardzo mizerne. Przy tym, skąd wiesz, czy już w tej chwili ciało Hetty, jak Ofelii, nie pływa w jakimś stawie młyńskim, oblane światłem gwiazd i otoczone kwiatami lilii wodnych?

— Nie mogę tego słuchać, Henryku! Najpierw drwisz ze wszystkiego, a potem wysnuwasz najpoważniejsze tragedie. Żałuję teraz, że ci opowiadałem. Nie obchodzi mnie,

²⁰⁵ Perdyta — postać kobieca z *Zimowej opowieści* Szekspira, córka królewska, porzucona jako niemowlę w górach, znaleziona i wychowywana przez pasterza jako jego własna. [przypis edytorski]

²⁰⁶ Floryzel — postać kobieca z *Zimowej opowieści* Szekspira, księżę Czech, zakochany w skromnej pasterce Predycie. [przypis edytorski]

co mówisz. Wiem, że postąpiłem dobrze. Biedna Hetty! Gdy przejeżdżałem dziś koło jej chaty, widziałem w oknie jej twarz niby pęk jaśminu. Nie mówmy o tym więcej i nie staraj się mnie przekonywać, że mój pierwszy od lat dobry czyn, że pierwsze drobne poświęcenie, którego zaznałem, jest w rzeczywistości czymś w rodzaju grzechu. Chcę się poprawić. Poprawię się. Opowiedz mi coś o sobie. Co się dzieje w mieście? Od wielu dni nie byłem już w klubie.

— Wciąż mówią o zniknięciu biednego Bazylego.

— Myślałem, że już się znudzono tym tematem — rzekł Dorian, dolewając sobie wina i z lekka marszcząc brwi.

— Mój drogi chłopcze, mówi się o tym dopiero od sześciu tygodni, a angielska publiczność nie zdobyłaby się na taki wysiłek umysłowy, aby mieć więcej niż jeden temat na trzy miesiące. W ostatnim jednak czasie szczęściło się jej. Miała mój rozwód i samobójstwo Alana Campbella. Obecnie ma tajemnicze zniknięcie artysty. W Scotland Yardzie wciąż utrzymują, że mężczyzna w szarym płaszczu, który dziewiątego listopada wyjechał nocnym pociągiem do Paryża, był biednym Bazylim, a policja paryska twierdzi, że Bazyli wcale do Paryża nie przybył. Za kilka dni usłyszymy zapewne, że widziano go w San Francisco. Dziwna to rzecz, że wszystkich zaginionych widuje się zawsze w San Francisco. Musi to być cudowne miasto, posiadające całą przyciągającą siłę zaświatów.

— Jak myślisz, co się stało z Bazylim? — zapytał Dorian, podnosząc kieliszek z burgundem pod światło i dziwiąc się, że może rozmawiać tak spokojnie.

— Nie mam najmniejszego pojęcia. Jeśli Bazyli chce się ukrywać, cóż mnie to obchodzi. Jeśli umarł, nie mam potrzeby o nim myśleć. Śmierć jest jedyną rzeczą, która mnie zawsze przeraża. Nienawidzę jej.

— Dlaczego? — zapytał leniwie młody człowiek.

— Dlatego — powiedział lord Henryk, podnosząc do nosa otwarte pudełeczko z aromatycznymi solami — że wszystko można dziś przeżyć oprócz niej. Śmierć i pospolitość są w dziewiętnastym wieku dwoma jedynymi faktami, których nie da się wyjaśnić. Każ nam podać kawę, Dorianie, do sali koncertowej. Musisz mi zagrać Chopina. Ten człowiek, z którym uciekła moja żona, nadzwyczajnie grał Chopina. Biedna Wiktoria! Bardzo ją lubiłem. Dom jest bez niej dość pusty. Małżeństwo jest, naturalnie, przyzwyczajeniem, złym przyzwyczajeniem. Żałuje się jednak nawet najgorszych przyzwyczajzeń, gdy się je utraci. Może tych najwięcej. Poniekąd stanowią nieodłączną część naszej istoty.

Dorian nic nie odpowiadał, lecz wstał od stołu i przeszedłszy do sąsiedniego pokoju, zasiadł do fortepianu i począł przebiegać palcami po białych i czarnych klawiszach. Gdy przyniesiono kawę, przestał grać i powiedział, spoglądając na lorda Henryka:

— Henryku, czy nigdy nie przyszło ci na myśl, że Bazyli został zamordowany?

Lord Henryk ziewnął.

— Bazyli był ogólnie lubiany i zawsze nosił zegarek Waterbury²⁰⁷. Dlaczego więc miałby zostać zamordowany? Nie był na tyle mądry, aby mieć nieprzyjaciół. Bez wątpienia jako malarz był genialny. Ale można malować jak Velasquez²⁰⁸, a jednak być zupełnie ograniczonym. Bazyli był rzeczywiście dość ograniczony. Tylko jeden raz był dla mnie zajmujący, gdy ongi, przed laty, opowiadał mi, że się ubóstwia i że jesteś najpotężniejszą pobudką jego sztuki.

— Bardzo lubiłem Bazylego — rzekł Dorian z odcieniem smutku w głosie. — Mówią jednak, że został zamordowany?

— Och, kilka dzienników. Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Wiem, że w Paryżu istnieją okropne nory, ale Bazyli nie należał do ludzi, którzy tam uczęszczają. Nie był wcale ciekawy. To było jego główną wadą.

— Co byś powiedział, Henryku, gdybym ci wyznał, że to ja zamordowałem Bazylego? — rzekł młody mężczyzna. Mówiąc to, patrzył na niego uważnie.

— Powiedziałbym ci, drogi chłopcze, że przybierasz rolę, z którą ci wcale nie do twarzy. Każda zbrodnia jest pospolita, tak jak każda pospolitość jest zbrodnią. Morderstwo

²⁰⁷zegarek Waterbury — marka tanich zegarków z fabryki firmy Waterbury Clock, w amerykańskim stanie Connecticut, założonej w 1854, ob. Timex Corporation. [przypis edytorski]

²⁰⁸Velasquez, Diego (1599–1660) — hiszpański malarz barokowy, związany z dworem Filipa IV; znany portrecista. [przypis edytorski]

nie byłoby w twoim stylu, Dorianie. Przykro mi, jeśli obrażam twoją próżność, ale zapewniam cię, że to prawda. Zbrodnia należy wyłącznie do klas niższych. Wcale ich za to nie potępiam. Wyobrażam sobie, że zbrodnia jest dla nich tym, czym dla nas sztuka, po prostu sposobem przeżywania nadzwyczajnych wzruszeń.

— Sposób przeżywania wzruszeń? Sądzisz więc, że człowiek, który popełnił morderstwo, zdolny jest do powtórzenia tej zbrodni? Nie mów mi tego.

— Och, każda rzecz staje się rozkoszą, gdy zbyt często do niej wracamy — zawołał lord Henryk, śmiejąc się. — To jedna z najważniejszych tajemnic życia. Wydaje mi się jednak, że morderstwo bywa zawsze omyłką. Nie powinno się nigdy czynić nic takiego, o czym nie można swobodnie rozmawiać po obiedzie. Pozostawmy jednak w spokoju biednego Bazylego. Chciałbym uwierzyć, że mógł naprawdę skończyć tak romantycznie, jak to przypuszczasz, ale nie mogę. Przypuszczałbym raczej, że spadł z omnibusu do Sekwany, a konduktor przemilczał to z obawy o skandal. Tak, wyobrażam sobie, że taki mógł być jego koniec. Niemal go widzę leżącego na wznak w brudnozielonej wodzie, ponad nim suną obładowane barki, a długie wodorosty czepiają się włosów. Wiesz, że nie wierzę, aby mógł być stworzyć jeszcze coś dobrego. W ostatnich dziesięciu latach jego twórczość bardzo podupadła.

Dorian westchnął, a lord Henryk, przeszedłszy przez pokój, gładził po głowie rzadką papugę jawańską, dużego ptaka o szarym pierzu, z różowym czubem i ogonem, kołyszącego się na bambusowym drążku. Pod dotknięciem jego wytwornych palców ptak zsunął białe, pomarszczone powieki na czarne, szkliste oczy i przestępował z nogi na nogę.

— Tak — mówił dalej, odwracając się i wyjmując chustkę z kieszeni — jego twórczość była w zupełnym upadku. Jak gdyby był coś stracił. Stracił ideał. Gdy przestaliście być wielkimi przyjaciółmi, przestał być wielkim artystą. Co was rozłączyło? Nudził cię zapewne. Jeśli tak, nigdy ci tego nie wybaczył. Tak bywa zawsze z ludźmi nudnymi. Ale co się stało z tym twoim cudownym portretem, który namalował? Zdaje mi się, że nie widziałem go od chwili, gdy go skończył. Och! Przypominam sobie, iż opowiadałeś mi przed laty, że odesłałeś go do Selby i że po drodze go zgubiono czy skradziono. Czy nigdy go nie odzyskałeś? Co za szkoda! To było naprawdę arcydzieło. Pamiętam, że chciałem je kupić. Żałuję, że mi się nie udało. Należał do najlepszego okresu Bazylego. Od tego czasu jego prace były dziwną mieszaniną złego malowania i dobrych pomysłów, co najzupełniej uprawnia, aby artystę nazywano czołowym przedstawicielem sztuki angielskiej. Czy ogłaszałeś o zgubie obrazu? Powinieneś był to zrobić.

— Nie pamiętam — powiedział Dorian. — Zdaje się, że ogłaszałem. Jakkolwiek nigdy tego obrazu nie lubiłem. Żałuję, że do niego pozowałem. Nienawidzę nawet wspomnienia o nim. Po co mi o nim mówisz? Przypomina mi zawsze te dziwne wiersze z jakiejś sztuki, zdaje się, że z *Hamleta*, jakżeż one brzmią?

Jako obraz bólu,
Oblicze bez serca.²⁰⁹

Tak, taki był ten portret.

Lord Henryk roześmiał się.

— Dla człowieka patrzącego na życie z punktu widzenia sztuki sercem jest mózg — odparł, opadając na fotel.

Dorian Gray potrząsnął głową i wydobyl z fortepianu kilka cichych akordów.

— „Jako obraz bólu” — powtarzał — „oblicze bez serca”.

Starszy mężczyzna wyciągnął się i patrzył na niego spod półprzymkniętych powiek.

— Nawiasem mówiąc, Dorianie — powiedział po chwili — „na co zda się człowiekowi zdobyć cały świat”... jakże brzmią te słowa?... „jeśli zatraci swą duszę?”²¹⁰

Muzyka brzęknęła fałszywą nutą, Dorian Gray zerwał się, bystro spoglądając na przyjaciela.

— Dlaczego mnie o to pytasz, Henryku?

²⁰⁹Jako obraz bólu, oblicze bez serca — *Hamlet*, akt IV, scena 7 (Król do Laertes). [przypis edytorski]

²¹⁰na co zda się człowiekowi zdobyć cały świat (...) jeśli zatraci swą duszę? — Mt 8, 36; Mt 16, 26; Łk 9, 25. [przypis edytorski]

— Mój drogi przyjacielu — powiedział lord Henryk, ze zdziwieniem wznosząc brwi — pytałem cię o to, gdyż sądziłem, że będziesz umiał odpowiedzieć. Nic więcej. Zeszłej niedzieli szedłem przez park i tuż koło Marble Arch natknąłem się na nędznie wyglądającą gromadkę ludzi, słuchających jakiegoś marnego ulicznego kaznodziei. Gdy przechodziłem, słyszałem, jak ów człowiek postawił pytanie, o którym mowa. Wydało mi się dość dramatyczne. W Londynie równie ciekawe wrażenia są na porządku dziennym. Słotna niedziela, dziwny chrześcijanin w nieprzemakalnym płaszczu, kółko chorowitych, białych twarzy pod dziurawą osłoną ociekających parasoli i jakieś cudowne zdanie rzucone w powietrze przeraźliwym, histerycznym głosem — było to coś w swoim rodzaju bardzo ładnego, niemal porywającego. Miałem ochotę odpowiedzieć prorokowi, że sztuka ma duszę, a człowiek jej nie posiada. Wątpię jednak, czy byłby mnie zrozumiał.

— Daj spokój, Henryku. Dusza jest straszną rzeczywistością. Można ją kupić, sprzedać, zamienić. Można ją zatruć lub udoskonalić. W każdym z nas jest dusza. Wiem o tym.

— Czy jesteś tego zupełnie pewny, Dorianie?

— Najzupełniej.

— Ach, w takim razie musi to być złudzenie. Rzeczy, których się jest bezwzględnie pewnym, nigdy nie są prawdą. To właśnie jest fatalizmem wiary i wyznaniem romantyzmu. Jakież stałeś się poważny! Nie bądź taki poważny. Cóż cię lub mnie mogą obchodzić przesady naszego czasu? Nie, my wyrzekliśmy się naszej wiary w duszę. Zagraj mi coś. Zagraj mi nokturn, Dorianie, i grając, opowiedz mi cichym głosem, jakim sposobem zachowałeś swą młodość. Musisz znać jakąś tajemnicę. Jestem od ciebie tylko o dziesięć lat starszy, a mam zmarszczki, jestem przeżyty i żółkły. Jesteś naprawdę cudowny, Dorianie. Nigdy nie wyglądałeś bardziej czarująco niż dziś wieczór. Przypominasz mi dzień, w którym cię poznałem. Byłeś nieco zuchwały, bardzo nieśmiały i bezwzględnie nadzwyczajny. Zmieniłeś się, oczywiście, ale nie co do wyglądu. Chciałbym, abyś mi wyznał swą tajemnicę. Aby odzyskać młodość, uczyniłbym wszystko, z wyjątkiem ćwiczeń, rannego wstawania i cnotliwości. Młodość! Nic nie ma ponad nią. Niedorzecznością jest mówić o niedoświadczeniu młodości. Jedyni ludzie, których sądów słucham z uwagą, to ludzie znacznie młodsi ode mnie. Zdaje mi się, że mnie wyprzedzili. Życie odsłoniło im swe ostatnie cuda. Co do starszych, to zawsze się im sprzeciwiam. Czynię to z zasady. Jeśli spytasz ich o ocenę jakiegoś wczorajszego zdarzenia, z namaszczaniem powtórzą ci sądy panujące w roku tysiąc osiemset dwudziestym, kiedy noszono wysokie halsztuki²¹¹, wierzono we wszystko i nic o niczym nie wiedziano. Jakże to ładne, co grasz teraz! Ciekawy jestem, czy Chopin napisał to na Majorce, gdy morze szumiało dokoła willi i obryzgiwało jej szyby słoną pianą? To cudownie romantyczne. Jakże to błogosławieństwo dla nas, że istnieje sztuka, która nie była naśladownictwem! Nie przerywaj. Potrzeba mi dziś wieczór muzyki. Zdaje mi się, że jesteś młodym Apollinem²¹², a ja słuchającym cię Marsjaszem²¹³. Mam swoje troski, Dorianie, o których nic nie wiesz. Tragedią starości jest nie tylko to, że człowiek się starzeje, ale że pozostaje młodym. Chwilami lękam się swej własnej szczeroci. Ach, Dorianie, jaki ty jesteś szczęśliwy! Jakże nadzwyczajne miałeś życie! Wysączyłeś wszystko do dna. Winne grona miażdżyłeś na swym podniebieniu. Nic przed tobą nie było ukryte. I wszystko było dla ciebie niby dźwiękiem muzyki. Nic cię nie dotknęło. Wciąż jesteś ten sam.

— Nie jestem ten sam, Henryku.

— Owszem, jesteś ten sam. Chciałbym wiedzieć, jak upłynie ci reszta życia. Nie psuj go wyrzeczeniem. Obecnie jesteś doskonały. Nie rób się niedoskonałym. Jesteś teraz bez błędu. Nie musisz kręcić głową, sam o tym wiesz. Nie lódź się jednak, Dorianie. Życie nie da się ująć w karby woli i zamiarów. Życie jest sprawą nerwów i włókien, i powoli urabianych komórek, gdzie ukrywa się myśl, gdzie drzemie namiętność. Możesz wyobrazić sobie, że jesteś bezpieczny, i czuć się silnym. Lecz przypadkowy odcień barwy pokoju lub porannego nieba, jakiś szczególnie zapach, kiedyś przez ciebie lubiany i niosący nikię

Kondycja ludzka

²¹¹*halsztuk* — chustka na szyję, wiązana wysoko pod brodą przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]

²¹²*Apollo* (mit. gr.) — bóg słońca, opiekun sztuki, przewodnik dziewięciu muz, klasyczny ideał męskiego piękna; jego atrybutami były łuk i lira. [przypis edytorski]

²¹³*Marsjasz* (mit. gr.) — satyr z Frygii, mistrz gry na aulosie (rodzaj podwójnego fletu); wyzwał na pojedynek muzyczny Apolla, a po przegranej został przez niego żywcem obdarty ze skóry. [przypis edytorski]

wspomnienia, wiersz zapomnianego poematu, który ongi czytałeś, urywek dawno niegranej melodii — Dorianie, mówię ci, że od tych drobiazgów zależy nasze życie. Pisał o tym gdzieś Browning²¹⁴, ale możemy sobie to wyobrazić naszymi zmysłami. Są chwile, kiedy nagle przenika mnie zapach białego bzu, a wtedy przeżywam na nowo najdziwniejszy miesiąc mego życia. Pragnąłbym się z tobą zamienić, Dorianie. Świat przeklina nas obu, ale ciebie zawsze ubóstwiał. I zawsze będzie cię ubóstwiał. Jesteś istotą, której poszukiwał nasz wiek i jest przestraszony, że ją znalazł. Tak jestem rad, że nigdy nic nie zrobiłeś, nie wyrzeźbiłeś posągu, nie namalowałeś obrazu, nigdy nie objawiłeś się poza sobą! Twoją sztuką było życie. Cały ułożyłeś się do muzyki. Twe dni były twymi sonetami.

Dorian powstał od fortepianu i zanurzył palce we włosach.

— Tak, życie było cudne — mamrotał — ale nie chcę już, Henryku, takiego życia. A ty nie powinieneś mi mówić takich przesadnych rzeczy. Nie wiesz o mnie wszystkiego. Gdybyś wiedział, odwróciłbyś się ode mnie. Śmiejesz się. Nie śmieję się.

— Dorianie, czemu przestałeś grać? Siądź i zagraj mi jeszcze ten nokturn. Patrz na ten wspaniały księżyc o barwie miodu, zawieszony w mroku. Czeka na ciebie, abys go oczarował, i jeśli zagrasz, zbliży się do ziemi. Nie chcesz? Chodźmy do klubu. Był to czarujący wieczór i musimy go zakończyć w czarujący sposób. Jest ktoś u White'a, kto bardzo pragnie cię poznać — młody lord Poole, najstarszy syn Bournemoutha. Naśladuje już twoje krawaty i prosił mnie, bym ci go przedstawił. Jest zachwycający i nieco przypomina mi ciebie.

Księżyc

— Mam nadzieję, że tak nie jest — rzekł Dorian ze smutnym wyrazem w oczach. — Jestem dziś znużony, Henryku. Nie pójdę do klubu. Dochodzi jedenasta, a chciałbym się wcześniej położyć.

— Więc nie chodź. Nigdy nie grałeś tak pięknie. W twym uderzeniu było coś cudownego. Było w nim więcej wyrazu, niż kiedykolwiek wcześniej słyszałem.

— To dlatego, że chcę stać się dobry — odparł uśmiechem. — Już się nieco zmieniłem.

— Dla mnie, Dorianie, nie zmienisz się — rzekł lord Henryk. — Pozostaniemy zawsze przyjaciółmi.

— A jednak zatrąłeś mnie kiedyś książką. Nie powinienem ci tego wybaczyć. Henryku, przyrzeknij, że nie pożyczysz tej książki nikomu. Ona jest szkodliwa.

— Mój drogi chłopcze, ty naprawdę zaczynasz moralizować. Niebawem zaczniesz wędrować po kraju jak nowo nawróceni i odnowiciele wiary i ostrzegać ludzi przed grzechami, którymi już się znużyłeś. Jesteś na to zbyt czarujący. Poza tym na nic się to nie zda. Ty i ja jesteśmy, czym jesteśmy, i będziemy, czym będziemy. Co do zatrucia książką, jest to niemożliwe. Sztuka nie ma wpływu na czyny. Ona niweczy pragnienie czynu. Jest wspaniale bezpłodna. Książki, które nazywają niemoralnymi, są to książki ukazujące światu jego hańbę. Nic nadto. Nie mówmy jednak o literaturze. Przyjdź do mnie jutro rano. O jedenastej wyjeżdżam konno. Pojedziemy razem, a potem zabiorę cię na śniadanie z lady Branksome. To czarująca kobieta i chce się ciebie poradzić w sprawie kupna jakichś gobelinów. Spodziewam się, że przyjdiesz. Albo może chcesz, abyśmy zjedli śniadanie z naszą małą księżną? Mówiła mi, że wcale cię nie widuje. Może znudziła cię już Gładys? Domyślałem się. Jej mądry języczek działa na nerwy. W każdym razie bądź u mnie o jedenastej.

Książka

— Czy koniecznie muszę przyjść, Henryku?

— Oczywiście. W parku jest teraz cudownie. Zdaje mi się, że takich bzów nie było od tego roku, gdy cię poznałem.

— Więc dobrze. Będę o jedenastej — powiedział Dorian. — Dobranoc, Henryku.

Gdy doszedł do drzwi, zawahał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć. Po czym westchnął i poszedł.

ROZDZIAŁ XX

Noc była piękna i tak ciepła, że płaszcz przerzucił przez ramię i szyi nie okrywał jedwabnym szalem. Gdy pałac papierosa, kierował się w stronę domu, minęło go dwóch młodych mężczyzn w wieczorowym stroju. Słyszał, jak jeden szeptał do drugiego: „To Dorian

²¹⁴Browning, Robert (1812–1889) — angielski poeta i dramatisarz. [przypis edytorski]

Gray”. Przypomnił sobie, jak bywało mu miło, gdy zwracano nań uwagę, przyglądano mu się lub mówiono o nim. Teraz sam dźwięk jego nazwiska nużył go. Połowa uroku małej wioski, gdzie ostatnio przebywał tak często, polegała na tym, że go tam wcale nie znano. Dziewczynie, którą w sobie rozkochał, mówił często, że jest biedny, a ona mu wierzyła. Powiedział jej raz, że jest złym człowiekiem, a ona roześmiała się i odpowiedziała, że źli ludzie są zawsze bardzo starzy i bardzo brzydzy. Jak ona umiała się śmiać! — przypominała śpiewającego kosa. A jaka była ładna w bawelnianych sukienkach i w dużych kapeluszach! Nic nie wiedziała, ale posiadała wszystko, co on utracił.

W domu zastał oczekującego nań służącego. Kazał mu iść spać, a sam wyciągnął się na sofie w bibliotece, rozmyślając nad rzeczami, o których mówił lord Henryk.

Czy jest to istotnie prawdą, że nie można się zmienić? Czuł dziką tęsknotę za nieskałaną czystością swych lat chłopięcych, swej różano-białej młodości, jak ją kiedyś nazwał lord Henryk. Wiedział, że się zbrukał, że znieprawił swój umysł i okropnie skałał swą wyobraźnię, że miał zły wpływ na otoczenie i że doznawał z tego powodu straszliwej radości, że najpiękniejszych i najwięcej obiecujących ludzi, którzy się z nim zetknęli, doprowadził do hańby. Ale czy nie ma dlań drogi powrotnej? Czy nie ma już żadnej nadziei?

Ach, w jakże przekłętej chwili pychy i namiętności modlił się, ażeby portret wziął na siebie brzemień jego dni, on zaś zachował nieskałany wdzięk wiecznej młodości! Stąd pochodził cały jego upadek. Byłoby lepiej, gdyby każdy grzech jego życia sprowadził za sobą doraźną, szybką karę. W karze jest oczyszczenie. Modlitwa człowieka do Boga sprawiedliwego powinna brzmieć nie „Odpuść nam nasze winy”, lecz „Uderz nas za nasze nieprawości”.

Przedziwnie zrobione zwierciadło, będące darem lorda Henryka sprzed tylu lat, stało teraz na stole, a okalające je białe amorki śmiały się doń jak dawniej. Wziął je do ręki, jak owej strasznej nocy, gdy po raz pierwszy zauważył zmianę na nieszczęsnym obrazie, i dzikimi, przyćmionymi przez łzy oczami wpatrywał się w gładką tarczę. Ktoś ogromnie go kochający napisał doń kiedyś szalony list, zakończony tymi bałwochwalczymi słowami: „Świat się zmienił, ponieważ ty jesteś stworzony z kości słoniowej i złota. Łuki twoich ust piszą od nowa dzieje świata”. Zdanie to przypomniło mu się i wciąż je sobie powtarzał. Znienawdził swą własną piękność i rzucając zwierciadłem o ziemię, rozbił je w srebrzyste drzazgi i tłukł nogami. To piękność go zgubiła, piękność i młodość, o którą się modlił. Gdyby nie one, jego życie mogłoby być wolne od skazy. Piękność była mu jednak maską, młodość szyderstwem. Bo czymże w najlepszym razie jest młodość? Zielonym, niedojrzałym okresem płytkich zachcianek i wątych myśli. Czemuż zachował jej szatę? Wszak młodość go zgubiła.

Lepiej nie myśleć o przeszłości. Nic nie zdoła jej zmienić. Winien myśleć o sobie i o swej przyszłości. Jakuba Vane pochowano w bezimiennym grobie na cmentarzu w Selby. Alan Campbell zastrzelił się pewnej nocy w swym laboratorium, ale nie zdradził wymuszonej na nim tajemnicy. Poruszenie, jakie by nie było, wywołane zniknięciem Bazylego Hallwarda, rychło się uspokoi. Już omal minęło. Jest teraz zupełnie bezpieczny. Właściwie to nie śmierć Bazylego Hallwarda najbardziej ciążyła na jego umyśle. Niepokoiła go żywa śmierć własnej duszy. Bazyli namalował portret, który zmarnował jego życie. Nie mógł mu tego wybaczyć. Wszystko zawinił ten portret. Bazyli mówił mu rzeczy nie do zniesienia, a on jednak zniósł je cierpliwie. Morderstwo było po prostu chwilowym obłędem. Alan Campbell popełnił samobójstwo z własnej woli. Tak mu się podobało. Nic go to nie obchodzi.

Nowe życie! Oto, czego pragnął. Oto, czego oczekuje. Już je nawet rozpoczął. Oszczędził raz niewinne dziewczę. Już nigdy nie będzie nastawał na niczyją niewinność. Będzie dobry.

Gdy myślał o Hetty Merton, zaczął się zastanawiać, czy portret w zamkniętym pokoju nie zmienił się. Zapewne nie jest już taki straszny jak poprzednio? Może wraz z oczyszczeniem życia uda mu się zetrzeć z jego twarzy wszystkie ślady złych namiętności. Może ślady zła już znikają. Pójdzie i zobaczy.

Wziął lampę ze stołu i poszedł po schodach. Gdy otwierał drzwi, uśmiech radości przemknął po jego dziwnie młodocianej twarzy i na chwilę zatrzymał się na ustach. Tak,

stanie się dobry, a ohyda, którą tam ukrył, przestanie go przerażać. Miał uczucie, jakby to brzemień już zostało mu odjęte.

Spokojnie wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi, jak to robił zazwyczaj, i odsunął z portretu purpurową zasłonę. Krzyk bólu i oburzenia wydarł mu się z piersi. Nie widział żadnej zmiany, tylko w oczach lśniła chytrość, a koło ust rysowała się zmarszczka obłudy. Był tak samo wstrętny, jeżeli to możliwe, bardziej wstrętny niż poprzednio, a kalająca rękę szkarłatna plama wydała mu się jaśniejsza, jakby było na niej więcej świeżo rozlanej krwi. Zadrżał. Czy istotnie tylko próżność skłoniła go do jego jedyne go dobrego czynu? Czy też pragnienie nowego wzruszenia, jak to z szyderczym śmiechem określił lord Henryk? Lub może owa żądza odegrania roli szlachetniejszej, niż wypływa to z naszej własnej istoty? Lub może wszystko to razem? I dlaczego czerwona plama rozszerzyła się? Niby potworna rana wżarła się w obrzękłe palce. Krew widnieje na nogach portretu, jakby ściekła z ręki, krew także na ręce, która nie trzymała noża. Wyznać? Czyż nie wiedział, co to znaczy wyznać? Oddać się w ręce władz i dać się zabić? Roześmiał się. Czuł, że ta myśl była potworna. A jeśliby nawet wyznał, któż mu uwierzy? Nie ma nigdzie śladu po zamordowanym człowieku. Cokolwiek po nim pozostało, zostało unicestwione. On sam spalił to, co pozostało na dole. Świat powiedziałby po prostu, że zwariował. Gdyby obstawał przy swoim, zamknięto by go... Jego obowiązkiem jest jednak wyznać, odcierpieć publiczną hańbę, odpokutować publicznie. Istnieje Bóg nakazujący wyznawać swe grzechy ziemi i niebu. Nic, cokolwiek uczyni, nie oczyści go, dopóki nie wyzna swego grzechu. Swego grzechu? Wzruszył ramionami. Mało go obchodzi śmierć Bazylego Hallwarda. Myślał o Hetty Merton. Gdyż niesprawiedliwe było zwierciadło, zwierciadło jego duszy, w które spoglądał. Próżność? Ciekawość? Obłuda? Czy w jego wyrzeczeniu się nie było nic więcej? Było w nim coś więcej. Tak przynajmniej mniemał. Kto jednak może powiedzieć?... Nie. Nie było nic więcej. Oszczędził ją przez próżność. Z obłudy włożył na siebie maskę dobroci. Przez ciekawość próbował wyrzeczenia się. Teraz to widzi.

Ale czyż pamięć tego morderstwa będzie go prześladowała przez całe życie? Czyż zawsze przeszłość będzie mu brzemieniem? Czy miałby naprawdę wyznać? Nigdy. Jedno tylko istnieje przeciw niemu świadectwo. Świadectwem tym jest ten obraz. Zniszczy go. Po cóż zachowywał go tak długo? Dawniej sprawiało mu przyjemność obserwowanie, jak się zmienia i starzeje. Ostatnio nie odczuwał już tej przyjemności. Nieraz spędzał z jego powodu bezsenne noce. Gdy był poza domem, przejmowała go trwoga, aby nie spojrzały nań cudze oczy. Przez niego wszystkie jego namiętności były posępne. Sama pamięć o nim zepsuła mu niejedną chwilę radości. Był dla niego jak sumienie. Tak, był sumieniem. Zniszczy go.

Rozglądając się i zobaczył nóż, którym zabił Bazylego Hallwarda. Nieraz go czyścił, aby nie pozostała na nim ani jedna plama. Świeci i błyszczy się. Nim zabił malarza, nim też zabije jego dzieło i wszystko, co ono oznacza. Zabije przeszłość, a gdy ona zostanie zabita, poczuje się wolny. Zabije to potworne życie duszy, a bez jej okropnych ostrzeżeń będzie miał spokój. Chwycił nóż i przebił nim obraz.

Rozległ się krzyk i łoskot. Krzyk przedśmiertny był tak straszny, że służba obudziła się przerażona i wybiegła ze swych pokoi. Dwaj panowie, przechodzący właśnie przez plac, przystanęli i przyglądali się wielkiemu domowi. Potem poszli, dopóki nie spotkali policjanta i wrócili z nim. Policjant kilkakrotnie dzwonił, ale nikt się nie odzywał. Oprócz jedyne go światła w oknie na samej górze, w całym domu było ciemno. Po chwili odszedł i stanąwszy pod sąsiednią bramą, bacznie obserwował.

— Czyj to dom, przodowniku? — zapytał starszy z dwóch panów.

— Pana Doriana Graya, jaśnie panie — odparł policjant.

Popatrzyli się na siebie i odeszli, śmiejąc się. Jeden z nich był wujem sir Henryka Ashtona.

Tymczasem w należącej do służby części domu na wpół ubrani domownicy naradzali się szeptem. Stara pani Leaf lkała, załamując ręce. Franciszek był blady jak trup.

Może w kwadrans potem wszedł na górę ze stangretem i jednym z lokai. Zapukali, ale nie było odpowiedzi. Zawołali. Wciąż było cicho. W końcu, gdy na próżno usiłowali wyłamać drzwi, wdarli się na dach i stamtąd przedostali się na balkon. Okna ustąpiły z łatwością — zasuwki były stare.

Gdy weszli, zobaczyli zawieszony na ścianie wspaniały portret ich pana, jakim go znali do ostatniej chwili, w całym czarze cudownej młodości i urody. Na podłodze leżał trup mężczyzny w wieczorowym stroju z nożem w sercu. Twarz miał zwiędłą, pomarszczoną i wstrętną. Rozpoznali go dopiero wtedy, gdy obejrżeli pierścienie.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/wilde-portret-doriana-graya>

Tekst opracowany na podstawie: Oscar Wilde, Portret Doriana Graya, Wydawnictwo "Panteon", Kraków 1928.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Julia Baker@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5765-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.